

C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD



TAJEMNE
MIASTO

KONTYNUACJA BESTSELLERA
TAJEMNY OGIEN

moondrive

C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD

TAJEMNE
MIASTO

TLUMACZENIE
MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA

moondrive
KRAKÓW 2017

– Nie zachowuj się jak dziecko i spróbuj jeszcze raz – zażądała Louisa.

Podniosła następny masywny kamień i ruszyła w kierunku chybotliwego stosu. Głaz niemal dorównywał wielkością ludzkiej głowie, więc mięśnie Louisy napinały się z wysiłku, a skomplikowane tatuaże na jej skórze drżały, gdy z trudem stąpała po ciemnym, mokrym piasku na brzegu rzeki.

Położyła kamień na stosie i cofnęła się pośpiesznie jakby z obawy, że sterta wybuchnie.

Taylor z założonymi rękami obserwowała to widowisko w ostrym świetle popołudniowego słońca. Stary hangar na łodzie był jedynym budynkiem w polu widzenia, dalej rozpościerały się tylko migoczące zielenią łąki.

Louisa i Taylor były tu całkiem same. Wcześniej nieopodal przemknęło kilku wioślarzy, błyskawicznie sunąc po wodzie, i od tamtej pory nikt się nie pojawił. Ciszę zakłócały jedynie syk wiatru w trawie i bzyczenie pszczoł wśród polnych kwiatów.

Okolica idealnie nadawała się na trening.

Upał stawał się trudny do wytrzymania. Jasne loki kleiły się do wilgotnych policzków Taylor, gdy z powątpiewaniem spoglądała na kamienie.

– Daj spokój, Lou – westchnęła. – Dlaczego aż tyle?

Louisa oparła się o mur hangaru i popatrzyła na nią zboląłym wzrokiem.

– Gdyby płacili mi za wysłuchiwanie twojego stękania, nie zbierałabym teraz kamieni po polach – burknęła. – Skupisz się wreszcie, czy nie?

Jej niebieskie włosy zalśniły w promieniach słońca, przemieniając je w lazurowe iskierki.

Taylor dała za wygraną i zamknęła oczy.

W ciemności pod jej powiekami raptownie ożył świat alchemii. Cząsteczki energii roztańczyły się wokół, a umysł Taylor nadał im formę namacalnych obiektów – falujących, złocistych pasm mocy z wysokiej trawy na łące za hangarem i jedwabistych, miedzianych sznurów molekuł światła w powietrzu.

Największy potencjał skrywał się w rzece. Z perspektywy Taylor wyglądała jak strumień bursztynowej lawy spływającej nieśpiesznie przez kwiecistą przestrzeń.

Taylor nauczyła się dostrzegać niewidzialne dla ludzkiego oka cząsteczki. Musiała widzieć to, czego miała dotknąć, by tym manipulować lub to zmienić.

Odetchnąwszy głęboko, starannie wybrała jedno z cieńszych pasemek w wodzie i przekierowała je na kamienie.

„W górę”.

Czuła, kiedy alchemia zaczęła działać. W takich chwilach żyły Taylor wypełniały się struzkami oszałamiającej energii, zniewalającej mocy.

Otworzyła oczy.

Ciężkie głazy ze sterty unosiły się niczym baloniki, wysoko nad powierzchnią ociążonej rzeki. Starannie ułożone jeden na drugim, tworzyły wielopiętrowy kamienny tort.

Taylor z satysfakcją przyglądała się swojemu dziełu.

– Gotowe – oznajmiła.

– Fenomenalnie. – W głosie Louisy nie było słyhać podziwu. – A teraz delikatnie ułóż je na wodzie.

Z tym zadaniem Taylor próbowała się uporać przez cały dzień. Przekonała się, że podnoszenie kamieni to jedno, a odkładanie ich na konkretne miejsce to zupełnie co innego.

W skupieniu marszcząc brwi, uczepiła się pasma energii i spróbowała delikatnie opuścić głazy na powolne fale.

„Na wodę”.

Niemal wyczuwała potężny ciężar kamieni, które zdawały się przeciwstawiać jej mocy. Przyciąganie ziemskie było nieubłagane.

Na czole Taylor perliły się krople potu. Zacisnęła pięści, usiłując nie stracić kontroli nad sytuacją.

Przez krótką chwilę sterta zachowywała się zgodnie z jej życzeniem, opadając ku tafli szarobłękitnej wody łagodnie niczym płatki róż. Potem, całkiem nieoczekiwanie, złociste pasmo molekularnej energii raptownie wyrwało się spod kontroli i jak duch zatańczyło na obrzeżach pola widzenia Taylor.

– Nie! – Wyciągnęła ręce, jakby mogła powstrzymać to, co się miało wydarzyć, ale było już za późno.

Kamienie wystrzeliły na wszystkie strony. Jeden z nich pomknął prosto w kierunku Louisy, która zaklęła i błyskawicznie uniosła rękę. Wyglądało to tak, jakby głaz uderzył w niewidzialną ścianę nad nią, odbił się i z głuchym łupnięciem upadł na skraj łąki. Dwa inne wpadły w wodę daleko w górze rzeki. Jeden zniknął na drugim brzegu.

Po tym pokazie nawet ptaki umilkły, jakby potrzebowały chwili na kontemplację nieudolności Taylor.

– Szlag. – Taylor otarła mokre czoło. – Głupie kamulce. – Odwróciła się do Louisy. – Nie mogłybyśmy znowu pozapalać świeczek? Uwielbiam świeczki.

Louisa pokręciła głową.

– Chodzi o kontrolę, blondyno – odparła. – Masz tę swoją naturalną odjazdową zdolność, a teraz musisz się nauczyć, jak ją okiełznać, zanim kogoś ukatrupisz.

– Och, dzięki, Lou. – Taylor ze zmęczeniem odgarnęła włosy z lepkiej twarzy. – Od razu mi lepiej.

Zanim Louisa zdążyła powiedzieć coś uszczypliwego, zadzwonił jej telefon. Gestem pokazała Taylor, że zaraz wraca, i odeszła do hangaru, żeby odebrać na osobności.

Taylor powiodła za nią wzrokiem. Louisa nie przekazała jej jeszcze wielu informacji. Oksfordzkie Kolegium Świętego Wilfreda skrywało tajemnice nagromadzone przez wieki, a najważniejsza dotyczyła właśnie Taylor.

Westchnęła i ciężko usiadła na starej drewnianej ławce, wygładzonej przez wiatr i deszcz. Trening wymagał intensywnej koncentracji, która ogromnie ją wyczerpała. Czowała się tak, jakby przebiegła maraton. Pot zalewał jej twarz, była osłabiona. Biała koszulka z napisem „Lubię grube książki i nie umiem kłamać” kleiła się jej do ciała.

Taylor wypła łyk ciepławej wody z butelki i spojrzała w dal, za łąkę, na wysokie kamienne iglice kolegium. Wyglądało zupełnie jak biały zamek połyskujący w słońcu.

Nadal nie mogła uwierzyć, że teraz to jej dom. Każdego ranka budziła się w nieznannej sypialni i wodziła wzrokiem po białych ścianach i staroświeckich meblach, zastanawiając się, gdzie do diabła jest. Potem powracały wspomnienia. Walka w Londynie. Zwiastuni otaczający ją na ulicy, miażdżący ją. Sacha, który przybył jej z pomocą na ryczącym, pięknym motocyklu. Przytłaczający napływ mocy, kiedy oboje połączyli siły i wspólnie pokonali demoniczne stwory.

Z zamyślenia wyrwało ją brzęczenie telefonu. Wyjęła go i na ekranie ukazał się SMS od mamy.

Tęsknię, skarbie. Zadzwoń wieczorem?

Taylor poczuła ucisk w piersi i przycisnęła do siebie komórkę.

Louisa i inni alchemicy zabrali ich do Oksfordu, by zapewnić im bezpieczeństwo, i może rzeczywiście byli tu w miarę bezpieczni. Taylor nie czuła się jednak w kolegium jak w domu. Tęskniła za mamą bardziej, niż byłaby to skłonna przyznać. Odpisała:

Tak! Zadzwonię przed kolacją.

Ogromnie brakowało jej domu, nawet młodszej siostry Emily, no i naprawdę tęskniła za Georgie. Najlepsza przyjaciółka często pisała do niej SMS-y, ale obie dziewczyny dzielił znaczny dystans, i to pod wieloma względami. Georgie była w Woodbury, zdawała egzaminy i marzyła o letnim wyjeździe z rodziną do Hiszpanii, kiedy już skończy się szkoła, Taylor zaś uczyła się walczyć z potworami.

Dyskretnie zerknęła na Louise, która nadal rozmawiała przez telefon, wzięła głęboki oddech i otrząsnęła się z melancholii. Nikt nie mógł się domyślić, jak naprawdę się czuła. Musieli wierzyć, że sobie poradzi. Nie mieli wyboru.

Louisa w końcu wepchnęła komórkę do kieszeni obciętych dzinsów i wróciła do Taylor.

– Musimy wracać – oświadczyła. – Jones chce mnie widzieć.

Jonesem wszyscy nazywali dziekana Kolegium Świętego Wilfreda, Jonathana Wentwortha-Jonesa. W kolegium nie istniała wyraźna

hierarchia władzy, niemniej trudno było się nie denerwować, kiedy wzywał dziekan.

Zadowolona z zakończenia treningu Taylor ruszyła za Louisa do ścieżki prowadzącej przez podmokłą łąkę do kolegium.

Dróżka była wąska i wiodła wśród wysokich traw oraz polnych kwiatów, które napierały z boków, łaskocząc dziewczyny po nogach. W drodze Taylor spięta niesforne blond loki w luźny kok, dzięki czemu łagodny wietrzyk chłodził skórę na jej karku.

Nie przypominała sobie gorętszego lipca. Każdego dnia skwar był nieznośny, zupełnie jakby zbliżał się koniec świata.

Tak bardzo zatoneła w myślach, że dopiero w połowie drogi przez łąkę zauważyła, że Louisa nic nie mówi. W innych okolicznościach Taylor z pewnością dostałaby po uszach za porażkę z kamieniami i czekałoby ją parę dodatkowych godzin szkolenia. Tymczasem Louisa milczała, wyraźnie spięta i zafrasowana.

Taylor popatrzyła na nią z ciekawością.

– Co się dzieje? – zapytała.

Louisa podniosła wzrok. W jaskrawym świetle słońca jej oczy przybrały barwę ciepłego toffi.

– Nic takiego. – Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. – Jones zawsze się przejmuje, jak nie tym, to tamtym.

Taylor widziała, że Louisa coś ukrywa, ale nie drążyła tematu. Miała własne problemy na głowie.

Z każdym gorącym letnim dniem doskonaliła swoje alchemiczne umiejętności. Może i nie dawała sobie rady z głupimi kamulcami, ale bez wątpienia szło jej coraz lepiej. Nawet teraz trudno jej się było skupić na ścieżce, gdyż miała wrażenie, że podążają za nią cząsteczki energii, której złociste kule wyrastały na drodze. Wielkie miodowe plamy i strumienie mocy otaczały Taylor ze wszystkich stron. Ten widok nieustannie ją rozpraszał, do tego stopnia, że kręciło się jej w głowie, kiedy próbowała patrzeć na niego i jednocześnie iść, więc musiała się uczyć koncentracji na postrzeganiu świata takim, jakim widzieli go zwykli ludzie. Niebieskie i różowe kwiatki. Jedwabista zielona trawa. Światło słoneczne.

Na końcu ścieżki, pośrodku kamiennego muru z głęboko osadzonymi oknami, znajdowały się podniszczone drewniane drzwi,

nad którymi widniały wyryte w kamieniu stare znaki. Za pierwszym razem Taylor ledwie je zauważyła, teraz jednak przez cały czas gdzieś je dostrzegała, gdyż w kolegium widniały dosłownie wszędzie. Urzekła ją złowroga moc uroborosa, węża pożerającego własny ogon, podziwiała prostotę idealnego okręgu splecionego z trójkątem, a także doskonałość wszechwidzącego oka. Tych znaków było kilkadziesiąt, w różnych miejscach, a każdy symbolizował pierwiastek ważny dla dawnej alchemii – miedź, rtęć, cynę – z odpowiednią mocą, która chroniła przed mroczną energią. Złoto, symbolizowane przez słońce, oraz srebro, oznaczane znakiem księżyca, były najsilniejsze. Symbole słońca i księżyca widniały nad wszystkimi framugami drzwi i okien, na każdej ścianie.

Wszystkie razem tworzyły ochronną barierę wokół kolegium. W zwykłych okolicznościach to wystarczyłoby do zapewnienia szkole bezpieczeństwa. Rzecz w tym, że sytuacja się zmieniła.

Nic już nie było bezpieczne.

W drzwiach brakowało klamki. Louisa przycisnęła opuszki palców do porysowanego drewna. Kilka sekund później rozległo się metaliczne szczęknięcie i drzwi się otworzyły.

Po drugiej stronie studenci i nauczyciele pośpiesznie przemierzali czworokątny, porośnięty trawą i otoczony wysokimi, kamiennymi budynkami dziedziniec. Wysoko w górze piętrzyły się eleganckie wieże i iglice. To miejsce wyglądało jak najzwyklejsze w świecie oksfordzkie kolegium, i w pewnym sensie takie było.

Dziewczyny włączyły się w potok wędrujących studentów.

– Posłuchaj, nie denerwuj się z powodu treningów. – Louisa odezwała się tak nieoczekiwanie, że przestraszona Taylor drgnęła. – Załapiesz. Robisz postępy.

– Wiem – odparła. – Szkoda tylko, że idzie mi tak wolno.

– Idzie ci szybko. – Louisa uśmiechnęła się ponuro. – Nie dostrzegasz tego, bo czas nas goni.

Grupka studentek zebrała się przy kamiennej kolumnie i wbiła wzrok w Taylor. Nawet nie próbowały ukryć zainteresowania, a ich szepty dźwięczały w jej uszach.

– To ona?

– Wydaje się całkiem zwyczajna.

Takie sytuacje zdarzały się na okrągło i Taylor wiedziała, że powinna się już z nimi oswoić, ale nie potrafiła. Jej policzki poczerwieniały i poczuła, jak wzbiera w niej złość.

Odkąd przyjechali do kolegium, musiała nieustannie wysłuchiwać plotek o sobie i o Sachy. Studenci nie znali całej historii, gdyż Jones zachowywał dyskrecję, żeby uniknąć paniki. Wszyscy jednak wiedzieli, że obecne kłopoty w szkole mają związek z nimi dwojgiem, i nie byli zachwyceni.

Zanim Taylor zdążyła wymyślić odpowiednio kąśliwą odpowiedź, Louisa podeszła do dziewczyn i stanęła przed nimi z założonymi rękami.

– Co się takiego stało w waszym życiu, że tak się zachowujecie? – spytała, mierząc je płonącym wzrokiem. – To nie liceum, do cholery. Spadajcie stąd albo poskarżę się na was Jonesowi.

Dziewczyny skuliły się, wystraszone jej spojrzeniem. Wystarczyło kilka sekund, żeby cała gromadka rozpierzchła się i wtopiła w hałaśliwy tłum na dziedzińcu.

– Kretynki – wymamrotała Louisa. – Idziemy.

Chwyła Taylor za łokieć i pociągnęła ją po kamiennym chodniku. Po chwili przystanęła przed schodami wysokiego gotyckiego budynku administracji, ocienionymi przez maszkarony o wyglądzie jaszczurów, które złowrogo łypały na ludzi w dole.

– Możesz zaczekać tutaj, jeśli chcesz, ale nie wiem, jak długo to potrwa. – Zmarszczyła brwi. – Może zgłosisz się do Alastaira i pozostałych?

– Jasne. – Taylor wzruszyła ramionami.

Louisa spojrzała na nią surowo.

– Pójdiesz prosto tam, jasne?

Taylor chciała coś odburknąć, ale znowu ugryzła się w język. Ona i Sacha byli nieustannie strzeżeni, nawet na terenie kolegium, i oboje mieli dość tego, że wszyscy traktują ich jak dzieci.

– Obiecuję – odparła z kamienną miną i skinęła głową.

Kiedy jednak Louisa weszła do środka, Taylor nie skierowała się do laboratorium, gdzie naukowcy nadal badali przywiezione z Londynu szczątki martwych zwiastunów.

Ruszyła zdecydowanym krokiem w przeciwnym kierunku.

Biblioteka Kolegium Świętego Wilfreda była okrągłym gmachem z kolumnami, wzniesionym z tego samego złocistego wapienia co większość budynków w Oksfordzie. Kopała miedzianego dachu lśniła zielenią w palącym słońcu.

Taylor minęła szerokie drzwi, zdobione alchemicznymi symbolami, i weszła w chłodny półmrok głównej czytelni. Na blatach ustawionych w symetrycznych półkolach stołów znajdowały się po dwie mosiężne lampy, krzesła były obite skórą. Większość miejsc świeciła pustkami, ale nie dlatego, że studenci kolegium się nie uczyli – po prostu całe to pomieszczenie było zasadniczo na pokaz. Używane na co dzień sale biblioteki rozciągały się poza reprezentacyjną częścią budowli, zajmując obszar większy niż kwartał dużego miasta. Na tysiącach półek na czterech kondygnacjach ustawiono gigantyczną liczbę książek, w podziemiach znajdowało się ich jeszcze więcej. To był olbrzymi labirynt czytelniczy.

Mimo rozmiarów tego miejsca Taylor domyślała się, gdzie znajdzie Sachę. Szybkim krokiem przeszła przez cichą salę, minęła rzeźbione w marmurze kolumny, grube niczym pnie drzew, i ruszyła prosto ku wysokim podwójnym drzwiom do obszernego atrium. Tam poczuła zapach kawy parzonej w studenckim bufecie na dole i pomyślała tęsknie o pysznych ciastkach z kawałkami czekolady, ale nie przystanęła, tylko poszła do głównych schodów, które zakręcały wokół posągu czterech skaczących koni.

Sacha i Taylor trafili do kolegium zaledwie trzy tygodnie wcześniej, ale ona już zdążyła przywyknąć do tej nietypowej sytuacji. Zmuszeni do funkcjonowania w skomplikowanym, nowym świecie, gdzie wszyscy byli starsi od nich, bardziej pewni siebie i najprawdopodobniej wolni od obawy przed rychłą śmiercią, Taylor i Sacha szybko oswoili się z codzienną rutyną, której przestrzegali z niemal nabożną czcią. Każdego popołudnia Taylor trenowała

z Louisą, a Sacha otaczał się stertami starych francuskich ksiąg w bibliotece, by poszukiwać odpowiedzi.

Ledwie zaszyciwszy spojrzeniem rozszalałe kamienne zwierzęta, pobiegła na górę, mijając snujących się studentów i powłóczących nogami profesorów. Gdy tylko dotarła na następne piętro, skręciła w prawo i ruszyła prosto między wypełnione stosami książek regały.

Sacha, jak zwykle ubrany w czarną koszulkę i džinsy, siedział sam przy ostatnim stole w kącie i pochylał się nad tomami, lekko opierając głowę na palcach jednej dłoni. Wyciągnął długie nogi w stronę przejścia, a kosmyki opadających mu na czoło prostych brązowych włosów zasłaniały jego twarz.

Energia alchemików była ciepła i jasna – energia Sachy w niczym jej nie przypominała. Kojarzyła się raczej z oazą chłodnego, spokojnego błękitu okolonego ciemnością. Chłopak skrywał w sobie niebezpieczeństwo, które niezwykle pociągało Taylor.

Odkąd razem zabili zwiastunów, czuli, że coś ich łączy. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Taylor była pewna, że Sacha zdaje sobie z tego sprawę. Miał to wypisane na twarzy, widziała to również w zamyślnym wyrazie jego oczu.

Teraz jednak na nią nie patrzył. Był tak zajęty czytaniem, że podskoczył, gdy bezceremonialnie usiadła na obitym skórą krześle naprzeciwko niego.

– Merde, Taylor – obruszył się. – Nie podkradaj się tak.

Wypowiadane z aksamitnym francuskim akcentem słowa brzmiały tak niesamowicie, że mimowolnie się uśmiechnęła.

– Wybacz.

Popatrzył na nią, na jej zaróżowione policzki i rozczochrane włosy. Jego irytacja natychmiast się ulotniła.

– Jak trening?

– Kicha – westchnęła.

Sacha zmarszczył brwi i niepewnie przyjrzał się jej twarzy.

– Kicha? Nie wiem, co masz na myśli.

Taylor uczyła go ważnych aspektów angielskiego, których nie mógł poznać w szkole, na przykład przekleństw i powiedzonek.

– Kicha, bo idzie powoli i opornie – wyjaśniła i rozparła się na krześle. – Innymi słowy, jestem najgorszą alchemiczką w historii.

Nie daję sobie rady z kamieniami. To żenada.

– Jesteś na tyle dobra, żeby zabijać zwiastunów – zauważył. – Czyli lepsza niż inni.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Szkoda, że cię tam nie było. Powiedziałbyś to Louisie.

– Nadal ten sam problem? Chodzi o panowanie nad sytuacją?

Taylor skinęła głową.

– Louisa mówi, że jestem jak pocisk raketowy z głowicą atomową, który wyrwał się spod kontroli.

– Ostro. – Jego usta drgnęły.

– Prawda?

Sacha znowu spowaźniał i postukał palcami otwartą, ciężką księgę, która przed nim leżała. Był to jedyny znak, że się niepokoił.

– Jak sądzisz, co to takiego? Co cię powstrzymuje? Przecież widziałem, jak kontrolujesz moc, zdawałoby się bez wysiłku.

W jego głosie nie było słycać potępienia, ale Taylor się zawahała. Nie chciała odpowiadać „Nie wiem”. Jego życie zależało od tego, czy uda się jej zrozumieć, jak być dobrą alchemiczką. W tej chwili na pewno nie była dobra.

– Trudno ją kontrolować, kiedy nikt nie stoi mi nad głową i nie próbuje mnie zabić... To znaczy nas – powiedziała po dłuższej chwili. – Jestem lepsza niż kiedyś, ale nadal tracę kontrolę i nie wiem dlaczego. Louisa mówi, że to kwestia wprawy, ale przecież zostało nam niewiele czasu.

– Dasz sobie radę – odparł. – Po prostu dalej rób swoje.

Jeśli był zdenerwowany, jeśli się bał, że Taylor zawiedzie i w rezultacie on umrze, dobrze to ukrywał.

Nie chciała zdradzić, jak bardzo się niepokoi, więc postanowiła zmienić temat. Wyciągnęła książkę ze stosu na stole, spojrzała na francuski tytuł i od razu go przetłumaczyła.

– Stosy Carcassonne. – Zmarszczyła nos. – Pogodna lektura.

– No tak... Wiesz, Taylor, naprawdę nie mam...

Uniósł rękę, żeby zabrać jej książkę, ale zdążyła już ją otworzyć. Na pierwszej stronie widniała grafika przedstawiająca płonący stos, na którym stała kobieta ze związanymi za plecami rękoma. Mimo że

rysunek był niewyraźny, Taylor dobrze widziała jej twarz, wykrzywioną strachem i bólem.

– To bardzo przejmująca lektura – powiedział cicho Sacha.

Nie odpowiedziała. Nie było potrzeby.

Niewiele wiedzieli o klątwie, która zagrażała życiu Sachy, ale było jasne, że zaczęła się od Isabelle Montclair, jednej z przodkiń Taylor. Alchemiczka Isabelle, żyjąca w siedemnastowiecznej Francji, odrzuciła swoją wiarę i zwróciła się ku demonologii, którą alchemicy nazywali mrocznymi praktykami. Podobnie jak wielu z nich, spłonęła na stosie jako czarownica, jednak dwie kwestie sprawiły, że jej egzekucja różniła się od pozostałych.

Po pierwsze, osoba, która spaliła Isabelle, była przodkiem Sachy. Po drugie, umierająca alchemiczka wykorzystwała nieznanne mroczne moce, żeby przekląć trzynastcie pokoleń rodziny swojego oprawcy. Właśnie z tego powodu w ciągu wieków zmarło w niej dwunastu pierwotnych synów.

Sacha był trzynasty.

Taylor niecierpliwie wertowała strony, jakby liczyła na to, że wskazówki same z nich wyskoczą.

– Jest tu coś o klątwie? – zapytała.

– Nic nowego. Znalazłem wzmiankę o spaleniu Isabelle Montclair, ale informacje są szczątkowe. Nic z tego, czego potrzebujemy. – Zatrzasnął starą księgę tak nieoczekiwanie, że Taylor ledwie zdążyła zabrać palce. – Gdzieś muszą być informacje o tym, jak odczynić taką klątwę. W tej bibliotece zebrano tysiące ksiąg o alchemii i o mrocznych praktykach. Na pewno jest tu coś, co się przyda. Musi być.

Słyszała frustrację w głosie Sachy i zrobiło się jej przykro, że nie może go pocieszyć, ale prawda była taka, że jeśli mieli go uratować, musieli zrozumieć klątwę. Alchemicy z Kolegium Świętego Wilfreda od lat bezowocnie poszukiwali rozwiązania tego problemu, a tymczasem urodziny Sachy przypadały już za tydzień. Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej.

– Musi być i jest – zapewniła go Taylor i sięgnęła po następną książkę ze stosu na stole. – Znajdziemy to. Pomogę ci.

Sacha nie protestował. Kiedy jednak Taylor przeglądała starą francuską księgę, którą ledwie rozumiała, nie wziął innego tomu, tylko wstał i się przeciągnął. Jego czarna koszulka podjechała do góry, odsłaniając opaloną skórę na płaskim brzuchu.

– Wertuję te książki od rana – powiedział. – Muszę stąd wyjść. – Zerknął na Taylor z łobuzerskim błyskiem w oczach. – Chodź, porzucamy kamieniami.

Dziesięć minut później szli pośpiesznie przez skąpany w popołudniowym słońcu dziedziniec. Sacha założył ciemne okulary, ignorując ciekawskie spojrzenia mijanych studentów. W przeciwieństwie do Taylor bardzo lubił, gdy go obserwowano i o nim szeptano. Uważał, że to zabawne.

„Idzie ten Francuz, który wie, kiedy dokładnie umrze”.

Idiotyczny powód do sławy.

– Louisa wpadnie w szal, kiedy się zorientuje, że nas nie ma. – Taylor wydawała się tak zaniepokojona, jakby ukradli samochód.

Sacha ledwie zdołał ukryć uśmiech. Przez cały czas stosowała się do zasad, co było zarazem urocze i frustrujące. Świat dosłownie się kończył, a ona nadal chciała prosić o pozwolenie na wyjście.

– Jeśli rozwiążemy twoje problemy z kontrolą, Louisa nam wybaczy – zapewnił ją.

– Wątpię – wymamrotała, ale nie zwolniła.

Jej blond loki wymknęły się ze spinki i rozsypały wokół twarzy, otaczając ją złocistą aureolą. Policzki miała zarumienione od upału.

Taylor podniosła wzrok i zobaczyła, że Sacha się w nią wpatruje.

– Co? – spytała, niepewnie dotykając włosów.

Szybko odwrócił wzrok.

– Nic – mruknął.

Gdy opuścili dziedziniec i weszli w cień pod sklepieniem przejściem przy wydziale nauk ścisłych, Sacha przyśpieszył kroku. Chciał jak najszybciej się stąd wydostać, choćby na kilka minut.

Nie przeszkadzały mu spojrzenia studentów, jednak nie lubił kolegium. Ani trochę tu nie pasował. Nie chodziło o barierę językową – Sacha dobrze znał angielski – lecz o to, że w przeciwieństwie do pozostałych nie był alchemikiem i czuł się tutaj nie na miejscu.

Wszystko wokół przypominało mu o jego normalności. Profesorowie prowadzący badania w bibliotece zdejmowali książki,

nawet po nie nie sięgając. Wcześniej tego dnia widział, jak jeden z nich spojrzeniem podgrzewa kubek zimnej herbaty.

Sacha zdawał sobie sprawę z tego, że alchemia to coś więcej niż takie sztuczki, jednak tego nie dostrzegał. Taylor opowiadała mu o strumieniach energii i cząsteczkach, których nigdy nie widział. Widział za to, jak bardzo różni się od wszystkich tutaj i jaki jest zwyczajny.

Jego odmienność miała znaczenie. Przez nią czuł się wyrzutkiem, nawet gdy znajdował się w samym centrum zdarzeń.

Kiedy doszli do ukrytych w cieniu drzwi na skraju dziedzińca, Sacha machinalnie sięgnął po klamkę i nagle uświadomił sobie, że jej tam nie ma. Jego dłoń przez sekundę wisiała w powietrzu, jakby zastanawiając się, co tam robi.

– Ja się tym zajmę – powiedziała Taylor z nutą skruchy w głosie.

Cofnął się i patrzył, jak przykładła palce do drewna. Zamek natychmiast zachrobotał i masywne drzwi stanęły przed nimi otworem.

Sacha był świadkiem, jak robiła znacznie bardziej zadziwiające rzeczy niż otwarcie drzwi, jednak uświadomił sobie, że ostatnio przychodzi jej to z coraz większą łatwością. Nieustannie powątpiewała w swoje możliwości, ale jej pewność siebie rosła z dnia na dzień, nawet jeśli Taylor nie zdawała sobie z tego sprawy. Już nie bała się tego, co potrafi, ani tego, kim jest.

Ruszył za nią na skraj rozległej, dzikiej łąki, porośniętej trawą i polnymi kwiatami. Przez chwilę ze zdumieniem tylko się w nią wpatrywał. Taylor opowiadała mu o łące, jednak nigdy jej nie widział, gdyż pod żadnym pozorem nie pozwalano mu wychodzić z kolegium. Dziekan był bardzo stanowczy w tej kwestii i Sacha od przyjazdu nie opuszczał uniwersyteckich murów.

Teraz czuł się tak, jakby odzyskał wolność i trafił do innego świata.

Napięcie, które od wielu dni ścisnęło go niczym żelazna obręcz, ustąpiło. Przez moment stał nieruchomo, napawając się widokiem. Taylor, która zdążyła już zrobić kilka kroków po ścieżce, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

– Nic. – Wepchnął dłonie do kieszeni i ruszył za nią, oddychając głęboko.

Powietrze słodko pachniało trawą i kwiatami, a ziemia pod stopami Sachy była bardzo miękka. Po tygodniach zamknięcia w zakurzonych, starych pomieszczeniach czuł się cudownie.

W oddali słyszał szum samochodów. Gdzieś tam toczyło się normalne życie, ale sprawiało wrażenie bardzo odległego.

– Chyba jestem w niebie – westchnął, wystawiając twarz do słońca.

Taylor zerknęła na niego z uśmiechem.

– Cieszysz się, że wyszedłeś z biblioteki?

Skinął głową, nie opuszczając wzroku. Sama myśl o powrocie do ksiąg sprawiła, że miał ochotę pobiec przed siebie i nigdy się nie zatrzymać. W końcu popatrzył Taylor w oczy.

– Najgorsze nie jest czytanie – wyznał. – Ani nie studenci, którzy plotkują o nas, jakby liczyli na to, że zacznę latać czy coś. Najgorsi są profesorowie.

– Fakt – przyznała Taylor. – Ten z brodą...

Sacha skrzywił się wymownie.

– Jest okropny. Przez pewien czas czytałem księgi w tamtym pomieszczeniu na parterze, ale musiałem się wynieść, bo ciągle kichał i to naprawdę głośno. I za każdym razem patrzył na mnie, jakby to była moja wina.

Taylor wybuchnęła śmiechem.

– Poważnie?

– Chyba jest uczulony na Francuzów.

Roześmiała się jeszcze głośniej, a Sacha nagle uświadomił sobie, że od dawna nie widział jej tak rozbawionej. Ostatnio wszystko było okropnie poważne.

– A co u ciebie? – zapytał.

Jej uśmiech znikł.

– Przecież wiesz. – Odwróciła wzrok. – Przychodzę tu codziennie i naprawdę bardzo się staram. I wszystko chrzańię.

Przez chwilę wędrowali w milczeniu. Sacha znowu włożył ręce do kieszeni i co pewien czas ukradkiem zerkał na Taylor, która marszczyła czoło, skupiona na swoich problemach.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo zależało jej na sukcesie. Powinien jej powiedzieć, aby nie była dla siebie tak surowa, ale jeśli miał być szczery, za każdym razem, kiedy informowała go, że coś poszło źle podczas treningu, czuł się tak, jakby oberwał pięścią w brzuch. Taylor bardzo pragnęła odnieść sukces, lecz on potrzebował tego jeszcze bardziej.

Rozpaczliwie zależało mu na tym, żeby okazała się silna i mogła stawić czoło mrocznemu wyznawcy. Wściekało go, że nie jest w stanie sam się ocalić i potrzebuje jej do tego. Obarczanie jej taką odpowiedzialnością było niesprawiedliwe. W końcu znali się dopiero od kilku tygodni, a teraz musiała uratować mu życie.

Właśnie dlatego Sacha spędzał każdy dzień w bibliotece i dlatego zatonął pod stosem starych francuskich ksiąg. Musiał jakoś przyczynić się do własnego ocalenia i nie zamierzał wywierać jeszcze większej presji na Taylor.

– Jesteś coraz lepsza – zapewnił ją.

Popatrzyła na niego, a w jej chłodnych, zielonych oczach pojawiły się wątpliwości.

– Jesteś – upierał się. – Nie widzisz tego, bo dostrzegasz tylko to, czego nie potrafisz zrobić. Za to ja widzę wszystko, co potrafisz, i wiem, że jesteś coraz lepsza.

Przeszli jeszcze kilka kroków, zanim odpowiedziała tak cicho, że na początku nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Ale za wolno to przebiega.

Nie zdążył wymyślić żadnej odpowiedzi, gdyż nagle wskazała ręką przed siebie, zmieniając temat.

– Idziemy tam – oświadczyła.

Przyśpieszyła kroku, kierując się ku srebrnej wstędze rzeki, która wiła się wśród drzew. Sacha ruszył za nią po kamiennych schodach, prowadzących w dół, do podniszczonego, kamiennego hangaru na łodzie.

Łagodny wietrzyk znad spokojnej wody rozwiewał włosy Sachy, przez co wpadały mu do oczu. Powietrze pachniało zielenią oraz wilgocią, i było chłodniejsze niż w kolegium.

– To tu. – Taylor rozłożyła ręce. – Tutaj przychodzę każdego dnia.

Poza hangarem, starą ławką i błotnistym brzegiem znajdowała się tu jedynie urokliwa wierzba płacząca. Jej długie gałęzie wisały nad wodą, która szarpała i ciągnęła ją za liście. Miejsce było ciche i odosobnione, wręcz idealne na trening.

Sacha podniósł kamień z mokrego piachu i puścił kaczkę na rzecę. Kamień odbił się kilka razy od wody i cicho zatonął w falach. Chłopak odwrócił się do Taylor.

– Pokaż, co potrafisz – zażądał.

Przez chwilę spodziewał się protestów czy wręcz odmowy. Taylor jednak wzruszyła tylko ramionami i się odwróciła, wodząc wzrokiem po brzegu. Gdy udało jej się znaleźć to, czego szukała, wyciągnęła przed siebie rękę.

Ciężki kamień na brzegu rzeki drgnął i wzbił się w powietrze, jakby nic nie ważył. Na czole dziewczyny pojawiły się krople potu. Utrzymywała kamień nad ziemią przez kilka sekund, po których dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie.

Taylor wzdrygnęła się i cicho krzyknęła, a kamień spadł, lądując z głuchym plaśnięciem w miękkiej, mokrej ziemi nad wodą. Zapadła cisza.

– Ups – odezwał się w końcu Sacha.

– No właśnie. – Rozgoryczona Taylor otarła pot z czoła. – Ups.

– Zawsze tak się dzieje? – zapytał, wpatrując się w kamień.

Zacisnęła zęby i pokiwała głową.

– Za każdym razem – potwierdziła.

To, że nie potrafiła podnieść tego głazu, na tym etapie powinno być zupełnie bez znaczenia. Powinna mieć lata na doskonalenie umiejętności, na studia, na naukę. Niestety, nie miała lat, lecz zaledwie kilka dni.

Historia jej rodziny nie pozostawiała wątpliwości, że to właśnie Taylor może zdjąć klątwę ciążącą na Sachy i pokrzyżować demoniczne plany mrocznego wyznawcy. Nie wiedzieli jedynie, jak ma to zrobić.

Dlatego to, że nie radziła sobie podczas treningów, było takie istotne. Dlatego ludzie szeptali po kątach o nich obojgu. Wszyscy czuli strach. Mroczny wyznawca zamierzał się do nich dobrać, a czas uciekał.

Sacha wyciągnął ręce z kieszeni.

– Spróbujemy czegoś innego – oznajmił.

Zebrawi najcięższe kamienie, jakie udało im się znaleźć, i usypali z nich stos na brzegu rzeki. To była ciężka praca, więc gdy skończyli, oboje ociekali potem.

Taylor wycofała się tak daleko, że stanęła niemal na łące. Sacha wydawał się zdumiony jej zachowaniem.

– Lepiej się schowaj – ostrzegła go. – Możesz oberwać kamieniem. Parsknął śmiechem.

– Nic mi się nie stanie – powiedział. – Puśćmy kilka kaczek.

Wyprostowała ramiona i odetchnęła głęboko, wyciągając rękę. Sacha chwycił ją i splótł palce Taylor ze swoimi. Mimo upału miała aksamitnie miękką i chłodną skórę.

Zacisnąwszy jego dłoń, popatrzyła na Sachę oczami zielonymi jak liście wierzby.

– Nie puszczaj – mruknęła.

Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć, oszołomiony jej roziskrzonym spojrzeniem. Z trudem zebrał myśli.

– Nie puszczę – odparł w końcu.

Nagły prąd przeszył ciało Sachy i chłopak gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. Poczul, jak mięśnie Taylor sztywnieją.

– Teraz – oznajmiła głębokim głosem.

Spoglądała prosto przed siebie. Odwrócił się, żeby zobaczyć, na co patrzyła.

Kamienie, które przed chwilą zebrawi, wzbiły się w powietrze i fruwały wysoko nad wodą, lekkie jak baloniki, podskakując niczym latawce.

Serce Sachy zabiło mocniej. Czul, jak wzbiera w nim energia, przenika do Taylor i wraca, wiążąc ich oboje. To połączenie między nimi było niczym przewód pod napięciem, tak jak wtedy kiedy razem walczyli ze zwiastunami w Londynie. Mogli osiągnąć wszystko.

Nigdy jeszcze nie czul się tak żywy jak w tej chwili.

– Co teraz? – zapytał bez tchu.

– Teraz je ustawimy – odparła, boleśnie zaciskając palce na jego dłoni.

Nieustannie wpatrywała się w kamienie, które, całkowicie pod jej kontrolą, zaczęły powoli sunąć ku rzece. Gdy dotarły do wody, ustawiły

się w linii i zakołysały na powierzchni niczym gromadka kaczek.

– Hallucinant – wymamrotał Sacha z podziwem. – Jak to zrobiłaś?

Taylor uśmiechnęła się do niego. Po jej czole spływał pot, miała zarumienione policzki.

– Nie wierzę – wyszeptała. – Od wielu dni próbuję. Nie mogłam zrobić tego sama, ale z tobą to była pestka.

– Otóż to – oznajmił. – Tego właśnie nie rozumiem. Musimy zrobić to razem. Przez cały czas powinienem z tobą trenować.

– Ja też tak uważam – przytaknęła. – Razem mogłoby nam się udać.

Przez jedną krótką chwilę Sacha odważył się poczuć iskierkę złudnej nadziei. Może dlatego nie od razu zwrócił uwagę na ten dziwny dźwięk – niski, huczący ryk, jaki wydają rozbijające się na brzegu fale oceanu. Nagle jednak odwrócił się ku wodzie i jeszcze mocniej ścisnął rękę Taylor.

– Taylor...

Słyszając ostrzegawczą nutę w jego głosie, popatrzyła w tym samym kierunku.

Rzeka wystąpiła z koryta i ruszyła w ich stronę, coraz bardziej oddalając się od przeciwległego brzegu. W spinała się po podmokłym gruncie i zdawała się wyginać niczym kwiat ku tarczy słońca.

Ciężkie kamienie przez cały czas podskakiwały wesoło na szczytach fal.

Taylor zbladła.

– O, nie... – wyszeptała, po czym wrzasnęła ile sił w płucach: – DOŚĆ!

Wyciągnęła przed siebie rękę, koncentrując całą swoją moc na rzece.

Woda jednak wciąż toczyła się w ich kierunku. Koryto rzeki stopniowo się opróżniało, ciemny muł lśnił w słońcu. Cała woda zalewała teraz plażę, zmierzając ku łące, fale rozbijały się o mury hangaru na łodzie. Nic nie mogło powstrzymać powodzi.

Sacha odwrócił się i popatrzył na Taylor.

– Wiesz co...

– Probuję. No już... – Spanikowana, zwróciła się do rzeki: – Błagam, dość.

– Musicie puścić ręce – dobiegł ich z łąki głos Louisy.

Oboje się odwrócili. Louisa stała za nimi w rozkroku, z rękami na biodrach, a jej niebieskie włosy połyskiwały w świetle. Wydawała się wściekła.

– Musicie puścić ręce, albo utoniecie.

– Nie mogę go puścić. – Wargi Taylor drżały.

– Znajdź moc, której używałaś do kontrolowania kamieni, i powstrzymaj rzekę. Zrób to, zanim porwie mój cholerny hangar.

Głos Louisy brzmiał spokojnie, ale lodowato, co, jak podejrzewał Sacha, z pewnością nie uszło uwadze Taylor.

Taylor odwróciła się do rzeki i zamknęła oczy. Oddychała szybko, ściskając dłoń Sachy tak mocno, że czuł kości pod jej skórą. Usłyszał, jak wyszeptala coś niezrozumiałego, i nagle uświadomił sobie, że łącząca ich więź pęka. Moc wypełniająca jego żyły światłem wycofała się nieoczekiwanie.

Ogarnęła go pustka.

Woda z westchnieniem powróciła do koryta, a kamienie, które wbrew prawom fizyki unosiły się na powierzchni, cicho zatoneły.

Taylor puściła rękę Sachy, a wtedy Louisa ciężkim krokiem ruszyła w ich kierunku.

– Niech was diabli, oboje! – wybuchnęła. – Co wy tu robicie, do cholery? Wszędzie was szukałam.

– Widziałaś kamienie? – Taylor starała się skupić na dobrych stronach. – Udało się nam. I to idealnie.

– A potem niemal zatopiłaś Oksford – warknęła Louisa. – Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Nie wolno ci przychodzić tu beze mnie. To zbyt niebezpieczne i dobrze o tym wiesz. Nie możesz być tu sama.

– Nie jest sama – zauważył Sacha spokojnie. – Jest ze mną.

Louisa skierowała na niego surowe spojrzenie.

– A to nasz drugi problem. Posłuchaj, dzieciaku, jesteś chodzącym celem, który nie potrafi się bronić. Coś ty sobie myślał, do diabła?

Sacha nawet nie drgnął.

– Myślałem, że mógłbym pomóc Taylor w treningu – wycedził.

Louisa chciała warknąć coś kąśliwego, ale ugryzła się w język. Gdy znów przemówiła, w jej głosie pobrzmiwało współczucie.

– Rozumiem, dzieciaku, naprawdę – powiedziała. – Ale Taylor musi nauczyć się to robić bez niczyjej pomocy. Nie może liczyć na to, że wasza połączona moc zapewni jej bezpieczeństwo. A jeśli stracisz przytomność i będzie walczyła sama? Albo trafisz do niewoli i będzie musiała cię ratować? – Louisa wyciągnęła rękę i pomachała nią, jakby rozrywając niewidzialną nić między Taylor i Sachą. – Polegając na łączącej was mocy, będzie bezbronna za każdym razem, kiedy się oddalisz. Chcę, żebyś teraz odszedł. Muszę ją nauczyć samodzielnej walki.

Sacha poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie cierpiał, kiedy Louisa przemawiała protekcyjnym tonem, i irytowało go, że szkolenie Taylor przebiega tak opornie. Nie znosił Kolegium Świętego Wilfreda i wszystkich, którzy byli z nim związani. Wściekało go, że bez nich nie miał szans na przeżycie.

– Przestań nazywać mnie dzieciakiem, dobrze? – zażądał ostro. – Chcesz, żebym zachowywał się jak odpowiedzialny dorosły? To traktuj mnie w ten sposób, albo będę dzieciakiem, za którego mnie bierzesz. Naprawdę. – Zrobił krok w jej kierunku. – Czy tego chcesz? Użerać się z dzieckiem? Uważaj na to, czego sobie życzysz, Louiso.

– Opanuj się, dzieciaku. – Louisa przewróciła oczami. – Jezu.

– Louisa, zamkniesz się wreszcie? – warknęła Taylor, stając między nimi.

Sacha i Louisa patrzyli na siebie ponuro nad jej ramieniem.

Sacha musiał przyznać, że bardzo chętnie starłby się z Louisą. Czepiała się go, odkąd przyjechał do Świętego Wilfreda, a on zupełnie nie rozumiał dlaczego. W żaden sposób nie potrafił sprostać jej wymaganiom. To było niesprawiedliwe.

Problem polegał jednak na tym, że akurat teraz Louisa miała rację. Taylor była kluczem do wygrania tej bitwy i dla własnego bezpieczeństwa powinna stać się silniejsza. Sacha wiedział, że nie zawsze zdoła jej towarzyszyć.

To jednak nie oznaczało, że łatwiej mu było znosić zachowanie Louisy. Zbyt wiele przeszedł w życiu, żeby teraz tolerować protekcyjność niebieskowłosej, wytatuowanej czarodziejki.

– Louisa, powinnaś przeprosić. – Taylor nadal się gotowała.

Sacha cofnął się o krok.

– W porządku, Taylor. Idę. Mam dość. – Rzucił ostrzegawcze spojrzenie Louisie. – Ale jeśli ona nie przestanie się na mnie wyżywać, to stąd spadam. Je me casse.

Nie czekając na odpowiedź, ze zwieszoną głową ruszył przez łąkę. Po raz setny żałował, że nie jest w Paryżu. Mógłby stąd zniknąć, nie zdołałyby go powstrzymać – w sypialni miał powrotny bilet na prom. Sacha nie chciał jednak odjeżdżać bez Taylor, a nawet bez pytania wiedział, że nie zgodziłaby się mu towarzyszyć.

Poza tym nie miał pojęcia, gdzie trzymają jego motocykl. Zabrali kluczyki, kiedy się tu zjawił, i oświadczyli, że maszyna będzie „w bezpiecznym miejscu”. To też go wkurzało. Przecież motocykl należał do niego.

Z wściekłością kopnął kamień na ścieżce, posyłając go w wysoką trawę. To jednak nie wystarczyło. Miał ochotę pobiec i komuś przyłożyć.

W takie dni tęsknił za swoim dawnym, beznadziejnym życiem. Może i tylko siedział, czekając na śmierć, ale przynajmniej był wolny.

Teraz czuł się jak więzień.

Dopiero kiedy dotarł do drzwi w kamiennym murze, uświadomił sobie swój błąd. Tylko alchemicy mogli je otworzyć. Nie był w stanie sam wrócić.

Typowe.

– Nienawidzę tego miejsca! – Z okrzykiem jałowej wściekłości rąbnął pięścią w drewno.

Drzwi nawet nie drgnęły.

Sacha zaklął pod nosem i posnuł się wzdłuż okalającego kolegium muru w kierunku frontowej bramy. Nigdy tu nie był, więc nie wiedział, dokąd zmierza, po prostu szedł przed siebie.

Kolegium Świętego Wilfreda zajmowało spory teren, dlatego dopiero po kwadransie dotarł na skraj łąki, gdzie miękka trawa ustępowała pola twardemu betonowi. Ucichło urocze ćwierkanie ptaków i bzyczenie owadów, a przestrzeń wypełniła się dudnieniem silników samochodów i autobusów.

Sacha po chwili znalazł się w wąskiej uliczce. Po prawej wznosił się wysoki, złowrogi mur Świętego Wilfreda, a po drugiej stronie jezdni

inny mur odgradzał teren nieznanego Sachy kolegium. Spacer tą uliczką przypominał wędrówkę przez kamienną dolinę.

Dotąd właściwie nie miał okazji zwiedzić Oksfordu, więc teraz rozglądał się z ciekawością. Zza murów po obu stronach uliczki wystawały iglice wież kolegiów i kościołów. Nienawidził Kolegium Świętego Wilfreda, ale miasto było bez wątpienia niezwykle. Ojciec Sachy mieszkał tu dawno temu i je uwielbiał – może nawet spacerował tą samą trasą.

Ta myśl trochę go uspokoiła i jego gniew zaczął powoli ustępować.

Mur wokół Kolegium Świętego Wilfreda skręcał na prawo, więc Sacha także skręcił. Teraz mijało go więcej ludzi, głównie studentów w parach lub grupkami, rozgadanych i roześmianych. Nie brakowało także turystów i miejscowych. Zza bezpiecznej osłony okularów przeciwsłonecznych Sacha obserwował ich z zainteresowaniem, do którego za żadne skarby by się nie przyznał. Sprawiali wrażenie odprężonych i całkiem zwyczajnych. Nigdy nie widzieli zwiastuna, który zbliżałby się do nich, niosąc śmierć. Nie mieli nawet pojęcia, że istnieje taka istota jak zwiastun.

„Mój Boże, chciałbym żyć w tak błogiej nieświadomości”, pomyślał.

Było tu goręcej niż na łące. Sacha otarł pot z czoła. Maszerował tak już od wieków. Gdzie była ta durna brama? Na pewno niedaleko.

Przyśpieszył kroku i przepchnął się przez tłumek pogrążonych w rozmowie studentów, którzy stali mu na drodze. Dopiero gdy się rozstąpili, żeby go przepuścić, ujrzał wysoką bramę kolegium z czerwonymi i złotymi flagami, które zwisały smętnie, jakby zmęczone upałem.

Odetchnął z ulgą. Był już prawie na miejscu. W tej samej chwili rozległ się złowróżbny, niski pomruk i Sacha zamarł.

Odgłos nie był donośny, ale niepokojący, wręcz nieludzki. Stopniowo przybierał na sile. Wydawał się zgrzytliwy, mechaniczny, tak jakby głęboko pod ziemią przesuwano się coś okropnego.

Sacha poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku, i odwrócił się w poszukiwaniu źródła hałasu. Nie tylko on usłyszał dziwny dźwięk. Także studenci rozglądali się niepewnie, wymieniając półgłosem uwagi.

Chciał ich ostrzec, tylko nie bardzo wiedział, przed czym. Nie zdążył jednak powiedzieć ani słowa, gdyż ziemia zatrzęsała się tak gwałtownie, że musiał chwycić się latarni, aby nie upaść. Świat wokół niego eksplodował z ogłuszającą siłą.

Gdy Sacha odmaszerował do kolegium, między pozostawionymi nad rzeką Louisą i Taylor wybuchła awantura.

Louisa czuła, że posunęła się za daleko, ale wcześniej gorączkowo szukała Taylor i Sachy w całym kolegium, a do tego dziekan oskarżył ją o brak odpowiedzialności. Kiedy w końcu znalazła podopiecznych tam, gdzie zdecydowanie nie powinno ich być, jej napięcie i frustracja z ostatnich tygodni wybuchły z całą mocą.

Pożałowała tego niemal natychmiast, widząc urazę i wściekłość w oczach Sachy oraz zdumienie i rozczarowanie na twarzy Taylor. Upór, który winiła za większość swoich błędnych decyzji, nie pozwolił jej jednak przyznać się do błędu i przeprosić.

– Nie chcesz być bezpieczna? – warknęła do Taylor. – Wolisz zginąć?

– Głupie pytanie. – Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi.

– Odpowiadaj. – Louisa pochyliła się ku niej.

– Nie odpowiem – odparła Taylor z napięciem w głosie. – Poza tym tylko ja mogę zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Louisa otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie zdążyła, bo poczuła, że ziemia się trzęsie, i momentalnie zapomniała, o co się kłóć. – Co to było, do cholery? – wymamrotała i odwróciła się w kierunku kolegium.

W nagłej ciszy usłyszała ciężkie łupnięcie, a tuż potem potężny ryk i odległe, mrożące krew w żyłach wrzaski. W oddali, wśród kamiennych iglic, unosiła się cienka kolumna dymu, czarna na tle krystalicznie czystego błękitu nieba.

– Lou... – Cichy głos Taylor był pełen przerażenia.

Zanim zdążyła dokończyć, Louisa już biegła do kolegium.

– Trzymaj się mnie! – zawołała przez ramię, nie zwalniając kroku. – Blisko.

Ostrzeżenie nie było potrzebne, bo Taylor wręcz deptała jej po piętach.

– Co się dzieje?! – krzyknęła.

– Nie wiem. – Głos Louisy drżał przy każdym kroku. – Nic dobrego.

Biegły tak szybko, że kwiaty wokół nich zlewały się w zielonobiałą plamę. Owady przestały brzęczeć, ptaki również umilkły. Teraz Louisa słyszała tylko własne dyszenie i przenikliwe krzyki, tym głośniejsze, im bardziej zbliżały się do uniwersytetu.

Gdy znalazły się tuż pod drzwiami w murze, kolejny potężny huk wstrząsnął ziemią i całym ciałem Louisy. Nagle poczuła bliskość oleiście lśniącej czarnej magii.

Niebo pociemniało, a żwir i kamienie posypały się z góry niczym twardy, boleśnie kłujący grad. Dziewczyny skuliły się przed drzwiami, osłaniając głowy dłońmi.

Gdy nawałnica ustała, Louisa chciała wejść do środka, ale Taylor chwyciła ją za rękę.

– Sacha. – Popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. – Odesłaliśmy go.

Louisa poczuła ucisk w żołądku. W panice zupełnie zapomniała o Sachy. W milczeniu przeklinała swój temperament. Dlaczego nie uparła się, żeby wrócili wszyscy razem? Jak mogła być taka głupia?

Postanowiła za wszelką cenę zachować spokój.

– Znajdziemy go – zapowiedziała z pewnością siebie, której wcale nie czuła. – Taylor... Myślę, że pojawił się mroczny wyznawca. Jesteś gotowa?

Taylor przełknęła ślinę, po czym pokiwała głową.

– Tak, jestem gotowa.

Wcale nie była i obie o tym wiedziały, jednak brakowało czasu na planowanie.

– Idziemy. – Louisa położyła dłoń na drzwiach, które natychmiast się otworzyły.

Po drugiej stronie, niegdyś schludny kampus Kolegium Świętego Wilfreda wyglądał jak po trzęsieniu ziemi. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu i dymu, przez co wszystko wydawało się spowite mgłą nie z tego świata.

– Trzymaj się mnie! – krzyknęła Louisa raz jeszcze i pognąła w sam środek chaosu.

Studenci, profesorowie i pracownicy pędzili we wszystkich kierunkach, wpadając na siebie i zanosząc się kaszlem. Czujniki dymu w budynkach piszczały ostrzegawczo. Obie dziewczyny ramię w ramię przebiegły przez tłum, aż w pewnej chwili zdeorientowana Louisa zatrzymała się gwałtownie.

Przed bocznymi drzwiami do biblioteki stał portier w czarnym uniformie pokrytym kurzem i w przekrzywionym meloniku.

– Wszyscy do schronów! – wrzeszczał. – Wszyscy studenci do schronów!

Przerażeni młodzi ludzie ruszyli ku pogrążonemu w półmroku wnętrzu. Louisa zacisnęła zęby i pobiegła w drugą stronę, przepychając się pod prąd, ku słupowi dymu. Przez jej głowę przelatywało tysiące myśli. Próbowwała zrozumieć, jak to możliwe, że wszystko się zawaliło akurat w ciągu tych kilku minut, które spędziła nad rzeką.

Mroczny wyznawca zapewne zorientował się, że Taylor i Sacha są w kolegium, i postanowił działać z zaskoczenia.

„Sprytnie – pomyślała niechętnie, gdy dym wirował wokół niej. – Jak go powstrzymać?”

Im bliżej głównego wejścia do kolegium się znajdowały, tym więcej czarnej magii wypełniało powietrze. Louisa czuła, że krew w jej żyłach lodowacieje. Wszystko zaczęło się zbyt wcześnie. Nie byli gotowi. Myśleli, że mają więcej czasu.

Co chwila obracała się, żeby sprawdzić, gdzie jest Taylor, która, blada i przejęta, nadal biegła tuż za nią. W sercu Louisy zatliła się iskierka dumy. Taylor okazała się twarda, twardsza niż można się było spodziewać.

Studenci znikali w bezpiecznych podziemiach biblioteki. Teraz słyhać było jedynie syreny. Ich wycie przecinało powietrze niczym noże.

Louisa nie była pewna, co robić. Musiała jednocześnie zapewnić Taylor bezpieczeństwo, walczyć w bitwie, która się w tej chwili toczyła, i znaleźć Sachę. To było niemożliwe.

W ułamku sekundy postanowiła zatrzymać przy sobie Taylor i ruszyć do walki. Coś jej podpowiadało, że skoro pojawiły się problemy, znajdzie tu Sachę.

Dym był najgęstszy w pobliżu głównego wejścia, tuż obok ceglanej wieży, nad którą zawadiacko powiewały szkolne flagi.

– Tędy! – krzyknęła Louisa do Taylor.

Gdy dotarły do frontowej bramy, z powodu kurzu i dymu niemal nic nie widziały. Przypominało to wędrówkę w toksycznej mgłę.

Kaszłąc, naciągnęły koszulki na usta.

Dopiero z bliska mogły ocenić rozmiar zniszczeń.

Z powierzchni ziemi znikł cały trzypiętrowy budynek. Cegły i gruz pokrywały teren wokół pustego dołu, gdzie wcześniej znajdowało się biuro portierów.

– Co jest, do cholery? – wymamrotała Louisa.

Skala zniszczeń była ogromna. Louisa odtwarzała w pamięci gmach, który tam stał – jego stromy dach, ceglane mury, okna z szybkami w ołowianych ramkach. Kiedy jednak patrzyła przed siebie, nie widziała nic, całkiem jakby po budynku przejechał buldożer.

Grupka wykładowców z kolegium, zebrana wśród gruzów, spoglądała na ulicę. Niektórzy mieli na sobie czarne profesorskie togi, inni tweedowe marynarki albo dżinsy. Wszyscy ustawili się w ciasnym szeregu, a wokół nich iskrzyło się od alchemicznej energii. Z lewej strony, tam gdzie jeszcze niedawno znajdował się budynek, płonął ogień.

Wirujący dym wzbijał się wysoko i zasłaniał słońce.

– Nie widzę Sachy! – krzyknęła Taylor, rozglądając się wokoło.

– Ja też nie. – Louisa zmarszczyła brwi. – Podejdźmy bliżej. Ruszyły po trawie i zatrzymały się za alchemikami. Dopiero wtedy zauważyły tego mężczyznę.

Stał po drugiej stronie starej, wąskiej ulicy. Z siwymi włosami, wypielegnowanym wąsem i wyprostowaną sylwetką przypominał generała w stanie spoczynku. Miał na sobie elegancką tweedową marynarkę, a w dłoni trzymał czarną laskę. Przeciętny człowiek nie uznałby go za groźnego, Louisa i Taylor dostrzegły jednak to, czego nie zauważali zwykli śmiertelnicy. Mężczyzna zdawał się wręcz kipieć mroczną energią, otaczała go ze wszystkich stron. Louisa nigdy nie zetknęła się z niczym w tym rodzaju.

– O Boże – wyszeptała Taylor. – To on, prawda?

Louisa nie odpowiedziała. Jej serce łomotało jak oszalałe.

Już kiedyś widziała tę pociągłą, zimną twarz – w Woodbury, gdzie mieszkała Taylor. Wtedy mężczyzna śmiertelnie ją przeraził, a teraz czuła jeszcze większy lęk, bo stał się znacznie silniejszy. Przerastał mocą nie tylko zwiastunów, ale wszystko, z czym miała do czynienia. A więc tak wyglądała mroczna energia? Wydawała się... niepokonana.

W tej samej chwili Louisa uświadomiła sobie, że alchemicy nie stoją w zwykłym szeregu, tylko tworzą zaporę, usiłując ocalić kolegium.

Próbowali uratować wszystkich tu zebranych.

Louisa chwyciła Taylor za ramiona i mocno ją przytrzymała.

– Nie ruszaj się stąd – rozkazała. – Nie może cię zobaczyć.
Wypatruj Sachy.

Gdy Taylor skinęła głową, Louisa poczuła ulgę. Wiedziała, jak bardzo Taylor chce pomóc. Któregoś dnia miała szansę zostać liczącą się siłą, ale jeszcze nie była jeszcze gotowa – w każdym razie nie na to.

Zostawiwszy ją w bezpiecznym miejscu za alchemikami, Louisa pobiegła, żeby dołączyć do grupy i stawić czoło siwowłosemu mężczyźnie. Każdy w szeregu unosił rękę i kierował alchemiczną moc na wroga, co miało powstrzymać fale mrocznej energii, które mężczyzna słał ku nim jednostajną, oleistą strugą.

Nietrudno było znaleźć Alastaira. Był idiotycznie wysoki, a jego złociste, wiecznie rozczochrane włosy lśniły nawet mimo dymu. Louisa stanęła obok niego i uniosła dłoń, po czym uspokoiła umysł, skupiając się na ściąganiu molekuł energii z każdego dostępnego źródła.

– Miło, że do nas dołączyłaś – powiedział Alastair przez zaciśnięte zęby.

Nie odrywał wzroku od mężczyzny po drugiej stronie ulicy. Louisa się wyprostowała.

– Nie mogę znaleźć Francuza – odparła, kierując całą energię na mrocznego wyznawcę.

Alastair zerknął na nią z niedowierzaniem.

– Chyba nie mówisz poważnie – mruknął.

Fala mrocznej energii mocno uderzyła Louise, która jęknęła jak po ciosie pięścią. Dopiero po chwili zdołała się odezwać.

– Jakoś nie przyszło mi do głowy, że dziś jest apokalipsa, Alastair.

Nie dostałam informacji.

Alastair zaklął, ponownie spojrzął na przeciwnika i posłał ku niemu jeszcze mocniejszą falę energii.

– Oto plan – odezwał się cicho. – Jeśli przeżyjemy, znajdziemy Sachę i zostaniemy bohaterami. Jeśli zginiemy, będzie musiał radzić sobie sam.

Louisa uśmiechnęła się szeroko, po czym posłała strumień alchemicznej mocy prosto na mrocznego wyznawcę. Odwrócił się szybko i wypatrzył ją świdrującym wzrokiem małych, czarnych oczu. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, uśmiechnął się niegodziwie i powoli uniósł laskę, która wiła się w jego dłoni niczym wąż.

Myśli o Sachy momentalnie wyparowały z głowy Louisy. Nigdy jeszcze nie sparaliżował jej strach, a teraz czuła, że nie może ruszyć rękami.

To, co robił ten człowiek, było wręcz niewiarygodne.

– Jasna cholera – wyszeptała, próbując skupić jak najwięcej mocy. Mięśnie jej rąk napięły się z wysiłku. Alastair również walczył o odzyskanie kontroli. Po raz pierwszy Louisa zrozumiała, że niekoniecznie uda się im wyjść z tego cało.

Wszyscy w szeregu mieli trudności z utrzymaniem energii, a mężczyzna po drugiej stronie ulicy dobrze o tym wiedział, sądząc po triumfalnym wyrazie jego twarzy. Uniósł wijącą się laskę jeszcze wyżej. Louisa poczuła ucisk w piersi. Wpatrywała się w węża, w jego otwarty pysk, wyprostowane zęby jadowe, długie i śmiertelnie niebezpieczne.

Właśnie wtedy Taylor zrobiła krok naprzód i dołączyła do szeregu.

Taylor początkowo zamierzała posłuchać polecenia Louisy. Stała z tyłu i obserwowała bitwę z bezpiecznego miejsca. Z podziwem patrzyła, jak obie strony rażą się strumieniami mocy i jak błyski energii molekularnej pozostawiają w powietrzu ślady spalenizny przypominającej dym po wystrzałach z broni palnej.

Gdy walka przybrała na sile, szereg alchemików się przesunął i Taylor nagle zyskała doskonały widok na drugą stronę ulicy. Zapatrzyła się na stojącego tam mężczyznę. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Wydawał się dziwnie znajomy, jednak nie była w stanie go zidentyfikować.

Obserwując uważnie Louise, uniósł laskę, która zdawała się wic w jego dłoni jak wąż.

Ale to przecież nie było możliwe...

Taylor zrobiła krok do przodu, a po chwili następny.

Spojrzenie mężczyzny przeniosło się na nią. Widziała, że ją zauważył, rozpoznał i zareagował dziwną mieszanką radości i zjadliwej nienawiści. Dopiero wtedy poczuła przenikającą do głębi moc jego mrocznej energii. Miała wrażenie, że zderzyła się z pociągiem towarowym pełnym zabójczej dla duszy nienawiści.

Odetchnęła nerwowo, ale zanim zdążyła przykucnąć i się ukryć, zrobić coś, dzięki czemu zdołałaby uciec od tego okropnego spojrzenia, mężczyzna wycelował w nią węzową laskę.

Taylor wydawało się, że z powietrza zniknął cały tlen. Jej serce było teraz wolniej, każde uderzenie sprawiało ból. Instynktownie zrozumiała, że to mroczna moc i że powinna z nią walczyć – tyle tylko, że mężczyzna wyraźnie przyciągał ją do siebie, a ona nie potrafiła się oprzeć jego sile. Zapraszającym gestem wyciągnął do niej rękę. W drugiej trzymał węza, którego oczy lśniły czerwienią w świetle rozproszonym przez dym.

„Tędy – zdawały się mówić. – Tu będzie ci dobrze. Tędy”. Taylor przestała myśleć. Musiała z nim być. Nogi same poniosły ją do niego.

Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku. Nie zwracał uwagi na pozostałych alchemików, ona była jego nagrodą. W głębi duszy Taylor zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to nie mogła się zatrzymać. Była już blisko. Zrobiła jeszcze jeden krok i jeszcze jeden...

– Taylor! – Sacha nieoczekiwanie przedarł się przez szereg alchemików, obiema rękami chwycił ją w talii i odciągnął. – Co ty wyprawiasz, do cholery?

Przez moment zastanawiała się, o co mu chodzi. Nagle drgnęła z przerażeniem, kiedy uświadomiła sobie jednocześnie dwie rzeczy. Po pierwsze, dostrzegła panikę na twarzach zebranych alchemików, którzy usiłowali osłonić ją swoją energią przed mroczną mocą wyznawcy. Po drugie, stała na skraju chodnika.

Sacha nie dał jej czasu do namysłu. Chwycił ją za rękę i powlókł z powrotem za szereg. Puścił ją dopiero wtedy, gdy byli już bezpieczni, i spojrzał na nią ze zdumieniem w błękitnych oczach.

– Co to miało być, do cholery? – wybuchnął. – Co ty sobie myślałaś, Taylor?

Pokręciła głową, próbując otrząsnąć się z wpływu czarnej magii. – Nie wiem – odburknęła. – Coś mi zrobił. Nie mogę... – Nagle oprzytomniała i zapatrzyła się na Sachę. – Nic ci nie jest? Gdzieś ty był? – Szukałem cię – odparł z frustracją w głosie. – Nie wiedziałem, co się dzieje ani jak wrócić, ani gdzie jesteś. To było okropne.

W chwili napięcia Sacha nieświadomie mówił z mocniejszym francuskim akcentem i miał trudności z doborem angielskich słów. Ścisnęło ją za gardło, gdy pomyślała, jak bardzo był wrażliwy.

– Przepraszam – powiedziała szczerze. – My też cię szukałyśmy. Wszystko zdarzyło się tak szybko...

W oddali usłyszała nasilające się wycie policyjnych syren. Starcie musiało się skończyć, i to szybko, żeby nie ucierpieli zwykli ludzie.

– Co się dzieje? – zapytał Sacha, marszcząc brwi. Spojrzał na mrocznego wyznawcę, a potem na alchemików. – Co to za facet i dlaczego z nim nie walczą?

Taylor w pierwszej chwili zdumiało tak oczywiste pytanie, ale przypomniała sobie, że Sacha nie widzi złocistych pasm energii, ścierających się z ciężką mroczną mocą. Zwykły człowiek nie mógł tego zobaczyć. Dla niego jacyś ludzie piorunowali się tylko wzrokiem.

Szybko opisała mu, co się dzieje. Alchemicy ściągali cząsteczki energii, skąd tylko się dało, choćby z powietrza czy z drzew. Przewody elektryczne na słupach drżały pod wpływem spływającej zewsząd mocy.

Mroczny wyznawca z kolei emitował ścianę kleistej ciemnej mocy.

– Czuję tę energię. – Sacha się wzdrygnął. – Pachnie śmiercią.

– Bo to jest śmierć – oznajmiła Taylor.

– Kto ma przewagę?

Taylor odwróciła głowę, żeby spojrzeć na szereg stojących ramie w ramie alchemików.

– Chyba jest remis – odparła. – On jeden na nas wszystkich.

Jakby usłyszawszy jej pesymistyczną ocenę sytuacji, Dziekan okrzykiem zachęcił towarzyszy do zwiększenia wysiłku. Mroczny wyznawca cofnął się o krok, zaskoczony siłą ataku.

– Czekaj, chyba go mają – dodała Taylor z ożywieniem i wychyliła się, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

Połączona moc alchemików była oślepiająca. Dziekan, wysoki i szczupły, stał w samym środku szeregu, kierując energię na drugą stronę ulicy. Taylor nie miała pojęcia, jak ich przeciwnik może to wytrzymać.

Wtedy jednak mroczny wyznawca przemówił:

– To tylko początek. Znasz mnie, Jonathanie, i wiesz, do czego jestem zdolny. Zniszczę wszystko, co jest ci bliskie. – Mówił zwyczajnym, niczym niewyróżniającym się głosem, przez co jego słowa brzmiały jeszcze bardziej złowieszczo. – Zakończ to, nim będzie za późno. Oddaj chłopaka, a ja zostawię was w spokoju.

Taylor poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Sacha zamarł. Dziekan nie spuszczał wzroku z mężczyzny. Gdy się odezwał, Taylor usłyszała nietypową wściekłość w jego głosie.

– Nigdy go nie dostaniesz i nie zdołasz nas zniszczyć. – Jego oczy błyszczały. Zrobił krok do przodu. – Już wiem, kim jesteś. To my ciebie zniszczymy, Mortimerze. Poniesiesz karę za to, co zrobiłeś.

„Mortimerze?” Taylor zmarszczyła czoło. Również wyznawca zwrócił się do Jonesa po imieniu. Najwyraźniej się znali.

Mroczny wyznawca zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Och, Jonathanie, przez wzgląd na ciebie niemal chciałbym, żeby to była prawda. Ale mam o wiele większą moc, niż potrafisz sobie wyobrazić. Dostanę, czego pragnę. Koszty są bez znaczenia.

Gdy mówił, szereg alchemików lekko się poruszył. W zamieszaniu nikt nie zauważył wyłomu w ich polu energetycznym. Mężczyzna natychmiast podniósł laskę i skierował mroczną moc prosto w szczelinę. Trwało to tylko sekundę, ale tyle wystarczyło.

Alchemicy zorientowali się, że popełnili błąd, i w pośpiechu usiłowali naprawić wyrwę, jednak byli zbyt powolni. Strumień mrocznej energii wystrzelił z ogromną prędkością i przebił się przez obronę alchemików.

Sacha nie zdawał sobie sprawy z ataku, więc nieświadomy zagrożenia, nie miał szansy się uchylić.

– Sacha! – Taylor rzuciła się ku niemu, ale zbyt późno.

Energia uderzyła go niczym żelazna pięść. Taylor z przerażeniem przyglądała się, jak jego ciało frunie w powietrzu i twardo ląduje na kamiennym chodniku biegnącym wzdłuż dziedzińca. Przez chwilę nie mogła się poruszyć, zupełnie jakby jej stopy przyrosły do ziemi. Podświadomie zarejestrowała, że mroczny wyznawca już nie stoi po drugiej stronie ulicy. Słyszała okrzyki ludzi, którzy go szukali. Nagle zorientowała się, że biegnie. Była ledwie świadoma hałasu wokół siebie, tego, że ktoś pędzi za nią i ją woła, a pierwsze policyjne samochody z piskiem opon hamują przy bramie.

Nie odwracając się za siebie, padła na kolana przy zmaltretowanym ciele Sachy.

Sacha – wyszeptała cienkim, pozbawionym tchu głosem. – Sacha, nie.

Miał głowę wykręconą pod nienaturalnym kątem. Jego oczy, otwarte i niewidzące, były skierowane w przestrzeń nad jej ramieniem. Skóra przybrała szarą barwę, jakby znikła z niej krew, a usta zrobiły się sine.

Nie żył.

Drżąc, klęczała na chodniku w cieniu starego budynku i trzymała zimną, pozbawioną życia dłoń Sachy w swojej.

– Jest ranny? – Zadyszana Louisa opadła na kolana obok niej.

– Jest martwy – odparła Taylor głucho.

Martwy? – Louisa wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. – Nie mógł zginąć.

Pochyliła się nad ciałem Sachy i złapała go za drugą rękę, po czym mocno przycisnęła palce do jego nadgarstka po wewnętrznej stronie.

Zapadło długie milczenie.

Louisa puściła rękę Sachy, która wylądowała na jego piersi z głuchym stuknięciem. Taylor odczuła je w głębi serca.

Nie rób tego – warknęła, delikatnie poprawiając mu rękę, żeby leżała w pozycji, która wydawała się wygodniejsza. – Nic mu nie będzie. – Nic mu nie będzie? – powtórzyła Louisa podniesionym głosem. – Jak to... Ach...

W jej oczach pojawiło się zrozumienie. Ponownie zapadła cisza.

– I... Co dalej? – zapytała ostrożnie. – Czy on się po prostu... obudzi?

Taylor uściśnęła rękę Sachy.

– Tak. Tak jakby.

Louisa wpatrywała się w niego z powątpiewaniem. Taylor nagle uświadomiła sobie, że choć Louisa rozumiała klątwę, nie wydawała się jej ona realna. Bo niby jak? Nawet Taylor wątpiła wcześniej, czy Sacha rzeczywiście powróci.

Nie oddychał, jego skóra pobladła, a serce nie biło. Ciało przestało funkcjonować.

Taylor odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

– Nic mu nie będzie – powtórzyła, próbując pokrzepić przede wszystkim siebie.

– Co się stało? – Dziekan Wentworth-Jones stanął za Louisą i popatrzył na pokiereszowanego chłopca u swoich stóp. – Mortimer uciekł. Co z chłopakiem? Odniósł obrażenia?

Louisa podźwignęła się, otrzepując dłonią szorty. Wydawała się oszołomiona.

– Nie żyje – oznajmiła.

– Nie żyje? – W głosie dziekana słychać było szok.

– Ale wróci – podkreśliła Louisa, jednak bez szczególnego przekonania.

Taylor nie chciała wysłuchiwać dyskusji, która z pewnością miała teraz nastąpić, pełnej wątpliwości i analiz. Odnosiła dziwne wrażenie,

że musi bronić Sachy.

– Czy moglibyście... zostawić nas samych? – zapytała.

– Słucham? – Dziekan popatrzył na nią z nieskrywaną dezaprobatą na twarzy.

– To osobista sprawa. – Taylor nie odpuszczała. – Moglibyście porozmawiać gdzie indziej?

Jones spojrzał na Louise, jakby ona była w stanie wyjaśnić mu zachowanie Taylor, jednak niebieskowłosa dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

– Raczej nie – powiedział w końcu.

Taylor nawet nie przeszło przez myśl, że mógłby odmówić. Odruchowo mocniej zacisnęła palce na chłodnej, bezwładnej dłoni Sachy i odwróciła się do Jonesa. Był tak wysoki, że musiała zadzierać głowę, aby spojrzeć mu w twarz: pociągłą, wyrazistą i, jak uznała, arogancką.

– Jak to? – zapytała.

– Uważam za wskazane obejrzenie tego procesu na własne oczy. – Dziekan mówił stanowczym, chłodnym i pozbawionym zrozumienia tonem. – Inni też powinni się temu przyjrzeć. Prodziekan zajmie się policją. Mortimer bez wątpienia uciekł.

Odwrócił się do alchemików.

– Alastairze! – zawołał i pomachał ręką. – Chodź tu szybko, jeśli możesz.

Taylor rzuciła Louisie wściekłe spojrzenie, a ona tylko pokręciła głową. To dziekan ustanawiał zasady.

Już wcześniej do ruin podjechał wóz strażacki i teraz strażacy rozwijali długi wąż, żeby połączyć wodę tłące się ruiny budynku. Policjanci rozmawiali z grupą profesorów, którzy robili, co mogli, by wyjaśnić, co się zdarzyło. Bez wątpienia opisywali to jako fatalny w skutkach, ale całkiem zwyczajny wypadek.

Alastair pobiegł szybko przez dziedziniec, żeby dołączyć do Jonesa. Jego grzywa w kolorze jasnoblond wydawała się złocista w popołudniowym świetle słońca. Był cały czerwony po walce.

– Co jest? – spytał, przenosząc spojrzenie z dziekana na Louise. – Chyba powinienes to zobaczyć. – Dziekan wskazał głową ciało Sachy. – Chłopak umarł i właśnie czekamy, aż... hm... ożyje.

Taylor odwróciła głowę, żeby nie widzieć reakcji Alastaira na te słowa, ale ją usłyszała.

– Umarł? Chryste...

Alastair ukląkł naprzeciwko Taylor i ostrożnie ujął dłoń Sachy, żeby sprawdzić puls. Nie wyczuł tętna, więc wyraźnie zaszokowany, bardzo delikatnie odłożył rękę na miejsce.

– Psiakrew, Sacha – westchnął. – Co jest?

– Nic mu nie będzie. Tak mnie przynajmniej poinformowano. – Dziekanowi najwyraźniej nie przypadł do gustu pokaz emocji w wykonaniu Alastaira.

Doktorant go jednak zignorował i popatrzył nad ciałem Sachy na Taylor.

– Naprawdę nic mu nie będzie?

Wydawał się przestraszony, a ją wzruszyły jego łagodność i niewątpliwie szczere przygnębienie. Ze wszystkich osób tylko on zareagował tak, jak należało, przynajmniej zdaniem Taylor.

– Chyba nic – odparła chrapliwie, bo zaschło jej w gardle.

– Ile to potrwa? – dopytywał się Alastair. – Zanim... wróci?

– Nie wiem. Podobno za każdym razem jest inaczej, coraz dłużej. Ostatnim razem to trwało wieki.

– Fatalna niedogodność. – Dziekan popatrzył na bramę. – Są tu policjanci i strażacy. Nie chcemy, żeby zauważyli nasz mały problem.

Mały problem?

Taylor zacisnęła zęby. Miała ochotę powiedzieć dziekanowi, co o nim myśli, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, odezwał się Alastair. – Jak to przebiega? – spytał, przyciągając jej uwagę z powrotem do Sachy. – Czy to boli?

Przygryzła wargę i skinęła głową.

– Chyba bardzo – potwierdziła. – I to jest w tym wszystkim najgorsze.

– Do dupy. – Zakołysał się na piętach. – Nie to chciałem usłyszeć.

Alastair sporo klął i między innymi dlatego Sacha tak go lubił.

Obaj spędzali dużo czasu w swoim towarzystwie. Alastair od samego początku opiekował się Sachą, a on, ku zdumieniu Taylor, nie miał nic przeciwko temu. Odnosiła wrażenie, że traktował

Alastaira jak kogoś w rodzaju starszego brata. Nawet zaczął od czasu do czasu przeklinać po angielsku.

– Czekamy tu na ciebie, Sacha – powiedział teraz Alastair, kładąc rękę na jego ramieniu. – Nie zostawimy cię.

W tym momencie ciało chłopaka wyprężyło się tak gwałtownie, że Alastair krzyknął cicho i natychmiast cofnął rękę.

– Zaczęło się – oświadczyła Taylor ponuro.

Przyglądali się z pełną przerażenia fascynacją, jak Sacha się wygina raz w jedną, raz w drugą stronę. Wydawał z siebie koszmarnie świsty i zachłystywał się powietrzem, kiedy jego płuca usiłowały powrócić do życia. Długimi, szczupłymi palcami drapał kamienne płyty, na które upadł. Jego powieki były mocno zaciśnięte, a rzęsy wydawały się czarne jak węgiel na tle bladej skóry.

– Jasna cholera – wymamrotała Louisa.

Po sekundzie oczy Sachy otworzyły się szeroko. Teraz błyszcząły i przytomnie patrzyły na Taylor. Rozchylił usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie ponownie przeszył go spazm, a jego twarz wykrzywiła się z bólu.

– Boże drogi – wymamrotał dziekan, wyraźnie poruszony.

Taylor widziała już ten proces, ale teraz było gorzej niż poprzednio. Zasłoniła usta ręką, w duchu zachęcając Sachę, żeby oddychał, żeby żył.

– Merde – jęknął Sacha, po czym dodał bez tchu i nieprzekonująco: – Przepraszam. Nic mi nie jest.

Taylor chciała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa i tylko zająknęła się niezrozumiale. Naprzeciwko siebie widziała bladą twarz Alastaira. Louisa zaniemówiła po raz pierwszy, odkąd Taylor ją знаła.

Ciało Sachy znów nienaturalnie mocno się wyprężyło, a w następnej chwili szarpnął nim skurcz tak silny i gwałtowny, że chłopak aż usiadł, a wszyscy podskoczyli.

Jego twarz była zalana potem, ale policzki lekko się zaróżowiły. „Niech to już się skończy – powtarzała Taylor w duchu, zwracając się do demona lub bóstwa odpowiedzialnego za męczarnię Sachy. – Już dosyć”.

Czy to za sprawą tego wewnętrznego monologu, czy też nie, Sacha odetchnął głęboko i niepewnie, po czym odwrócił się do niej.

– Taylor? – odezwał się ochryłym głosem. – W porządku?

Ogromnie jej ulżyło i chwyciła go za rękę, która znowu była ciepła.
– Czy u mnie w porządku? Nie wierzę, że o to pytasz. – Uśmiechnęła się, choć zbierało się jej na płacz. – Przecież prawie... Przecież umarłeś.

– Wiem. Sukinsyn mnie zabił. – Pocierając kark, Sacha odwrócił się do Alastaira. – Kto to był? I czym mnie walnął, do cholery? Czołgiem?

– To była mroczna moc – odpowiedział za Alastaira dziekan. – Przeżyłeś, co wydaje mi się niesłychanie interesujące. Każdy poza tobą zginąłby na miejscu. To oznacza, że nic nie może cię zabić, nawet mroczna energia. – Odwrócił się i lakonicznie machnął ręką na Louise i Alastaira. – Mamy dużo pracy. Sytuacja bardzo szybko się zmienia. Chodźcie ze mną.

– Naprawdę nic ci nie jest?

Taylor z powątpiewaniem patrzyła na Sachę. Z włosami przyprószonymi pyłem i sadzą przypominał ducha, a jego skóra wciąż miała niezdrowo blady odcień.

– Naprawdę – odparł stanowczo.

Inni udali się do budynku dziekanatu, kilku profesorów rozmawiało ze strażakami. Sacha i Taylor szli powoli przez opustoszałe kolegium. Chłopak nie poruszał się spokojnym wyluzowanym krokiem jak zazwyczaj, tylko z wielką ostrożnością, jakby nie był pewien, czy przy jego następnym ruchu nie zadrży ziemia.

– Może powinieneś iść do lekarza, żeby cię przebadał – zasugerowała.

Popatrzył na nią z miążdżącym niedowierzaniem.

– Dobra, zapomnij – ustąpiła. – Żadnych lekarzy. Wybacz, że o tym wspomniałam.

– Po prostu chce mi się pić – powiedział. – Po umieraniu zawsze mnie suszy. Chodźmy się czegoś napić.

Taylor wiedziała, że powinni wrócić do siebie, jak żądała Louisa, ale mimo to nie sprzeciwiła się.

Alarmy przeciwpożarowe w końcu ucichły i na terenie Świętego Wilfreda panowała niepokojąca cisza. Ze względu na kamienne iglice i krużganki kolegium przypominało pusty zamek. Taylor uznała, że miło będzie spędzić trochę czasu sam na sam z Sachą.

– Co tam się stało? – Rzucił jej spojrzenie z ukosa. – Dlaczego poszłaś w jego kierunku? Hipnotyzował cię, czy co?

Taylor, która sama tego jeszcze nie rozgryzła, popatrzyła na wyludniony dziedziniec i złociste, wydłużone plamy popołudniowego słońca.

– Tak naprawdę to nie wiem – przyznała. – Nie umiem tego wyjaśnić. Cokolwiek to było, nie mogłam z tym walczyć. Nawet nie pamiętam, jak szłam do niego. Przypominam sobie laskę, węży, jego

okropne oczy i nagle byłam przed nim. Gdybyś mnie nie złapał, pewnie podeszłabym jeszcze bliżej. Sacha, on by mnie zabił. – Odetchnęła głęboko. – A ja bym mu pozwoliła.

– Dlaczego? – Wpatrywał się w nią uważnie. – Nie rozumiem.

– Nie wiem – powtórzyła z niechęcią w głosie. – Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. To była niesamowicie potężna moc, dominowała nad wszystkim. Nie czułam się już jak ja. – Wzdrygnęła się. – To było przerażające.

Cisza, która zapadła, trwała ponad minutę.

– Przynajmniej już wiesz, czego się spodziewać – oznajmił. – Następnym razem będziesz gotowa.

Całe napięcie ostatnich godzin skumulowało się w tym jednym zdaniu, które nie było zgodne z prawdą.

– Nie jestem gotowa na walkę z nim, Sacha – odparła Taylor. – Jest nieprawdopodobnie potężny, a ja nie potrafię nawet podnieść kamieni. Musisz pogodzić się z tym, że nie zdołam go pokonać.

– Nie mów tak – oświadczył ostrym głosem. – Nie mów, że nie potrafisz. – Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie dopuścił jej do głosu. – Nie jesteś słaba. Nie możesz być... – Z frustracją przycesał włosy. – ... fatalist. Merde. Nie znam angielskiego słowa.

– A co ty o tym wiesz? – natarła na niego. – Mówię ci, że gościa nie da się pokonać, a twoja odpowiedź brzmi „poradzisz sobie”? To głupie.

Oboje się zatrzymali.

– Przekręcasz moje słowa – zauważył. – Wcale tego nie powiedziałem.

– A właśnie, że tak.

Patrzyli na siebie ze złością.

– Może gdybyś razem z innymi alchemikami przestała wreszcie mnie izolować, dałbym ci bardziej użyteczną radę – warknął Sacha.

Taylor przewróciła oczami.

– Co ty w ogóle gadasz?

– Dobrze wiesz co. – Był coraz bardziej zirytowany. – Wychodzisz i trenujesz beze mnie, zostawiasz mnie zamkniętego w bibliotece. Wszyscy tylko stoicie dookoła i patrzycie, jak umieram, a potem ożywam, jakbym był szczurem laboratoryjnym, na którym ktoś

eksperymentuje. To okropne, nieludzkie. – Nikt na tobie nie eksperymentuje.

– Na pewno nie ty. – Założył ręce na piersi. – Cały czas spędzasz z Louisą na treningach.

Uraza w jego błękitnych oczach sprawiła, że burza minęła tak szybko, jak się zaczęła. Taylor zrobiła niepewny krok ku niemu. – Och, Sacha, wybac mi – powiedziała. – Nie wiem, dlaczego się rozłościłam. Masz rację, to okropne.

Odetchnął głęboko.

– To nie twoja wina, Taylor – przyznał łagodniej. – Ale musisz wiedzieć, że nie podoba mi się tutaj. Poza tobą tylko Alastair jest dla mnie miły. Wszyscy inni traktują mnie jak dziwadło. – Kopnął kamyk. – To mnie wkurza.

– Mnie też tak traktują. – Pomyślała o spojrzeniach i szeptach. – Nieprawda. – Nie spuszczał z niej wzroku. – Ty jesteś jedną z nich, a ja nigdy nie będę.

Z tym nie mogła dyskutować.

– Mówiłem poważnie – ciągnął. – Nie chciałem cię obrazić ani udawać, że wszystko wiem, ale naprawdę dasz sobie z nim radę.

Taylor ścisnęła za gardło. Bardzo chciała wierzyć w jego słowa, jednak już czuła się pokonana. Swoim postępowaniem doprowadziła do tego, że Sacha zginął, a mroczny wyznawca kontrolował ją jak marionetkę.

– Skąd to wiesz? – zapytała.

– Znam cię. – Nieoczekiwanie chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Wiem, jaka jesteś silna. Nic więcej nie muszę wiedzieć.

Stali teraz tak blisko siebie, że Taylor czuła ciepło jego ciała, zapach mydła i kurzu. Trudno jej było oddychać, nie mogła złapać tchu, kiedy Sacha znajdował się tuż obok.

Przysunął się jeszcze bardziej, tak blisko, że mógłby ją objąć albo pocałować. Czy tego chciał? Czy ona tego chciała?

– Proszę, nie złość się, Taylor – wyszeptał.

Poczuła jego ciepły, delikatny oddech na swojej twarzy.

– Nie złościę się.

Rozchyliła usta, żeby dodać coś jeszcze albo go pocałować – nie była pewna, co woli. Zakręciło jej się w głowie. Ręka Sachy przesunęła

się w górę jej ramienia. – O, świetnie, tu jesteście.

Błyskawicznie odskoczyli od siebie z minami winowajców, a odwróciwszy głowy, ujrzeli Alastaira, który szedł od strony budynku administracji.

– Wszędzie was szukałem – powiedział i popatrzył na nich domyślnie.

Taylor poczuła, że płoną jej policzki.

– Tylko rozmawialiśmy – usłyszała swój głos i natychmiast zapagnęła ugryźć się w język.

Alastair uniósł brwi.

– Wysłano mnie jako posłańca – dodał, jakby jej nie usłyszał. – Dziekan chce, żebyście przyszli do jego gabinetu. Podobno musi was o czymś poinformować.

Kiedy weszli do imponującego holu w budynku administracji, zachodzące słońce rzucało długie cienie na szary marmur podłogi.

W miejscu, w którym zwykle roіło się od wykładowców i pracowników biurowych, panowała dziwna pustka. Idealnie równe rzędy wysokich kolumn podtrzymywały ozdobnie otynkowane sklepienie. Przez wielkie okna wlewało się cytrynowe, gasnące światło.

Tu nawet dzieła sztuki wydawały się onieśmielające. Na ścianach wisiały ogromne olejne obrazy z imponującymi żagłowcami, które unosiły się na szczytach wzburzonych, sinych fal. Gdzieś w jednym z niewidocznych gabinetów nieustannie dzwonił telefon, którego nie miał kto odebrać.

Przez całą drogę Taylor milczała, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Czy naprawdę mieli się pocałować, czy tylko się jej zdawało? Może Sacha po prostu chciał być uprzejmy?

Jego zachowanie nic nie zdradzało. Szedł obok Alastaira, zaledwie kilka kroków przed nią. A jeśli czuł się zażenowany? Jeśli źle rozumiała sygnały, a on nie wiedział, jak jej wytłumaczyć, że nie lubi jej w ten sposób?

„O, Boże – pomyślała z nagłym, mrozącym krew w żyłach przekonaniem. – Na pewno o to chodzi”.

Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy, że chciałby ją pocałować. Przecież byli tylko przyjaciółmi. Od czasu

do czasu, gdy czuła się przygnębiona, obejmował ją i pocieszał, ale nic więcej.

Po prostu się pomyliła, a teraz on nawet nie chciał na nią spojrzeć. Co z nią było nie tak? Szkoła wkrótce mogła ulec zniszczeniu, wszyscy mogli zginąć, a ona myślała o całowaniu Sachy, któremu się nawet nie podobała.

„Jestem w szoku – uznała. – Albo przechodzę załamanie nerwowe”. Postanowiła, że tak się usprawiedliwi, jeśli Sacha poruszy ten temat.

„Przepraszam, że próbowałam cię pocałować – wyjaśni. – Miałam załamanie nerwowe”.

W pośpiechu szli po szerokich, kręconych schodach z marmuru. Alastair i Sacha przeskakiwali teraz po dwa stopnie, a Taylor biegła za nimi.

Zanim dotarła na szczyt, jej towarzysze już zmierzali długim korytarzem do miejsca, gdzie Louisa stała razem z dziekanem przed jego gabinetem. Taylor skręciła, żeby za nimi podążyć, lecz w tym samym momencie w jej kieszeni zabrzączał telefon. Wyciągnęła go pośpiesznie i popatrzyła na ekran. To była wiadomość od Georgie:

Nudno i nie wiem, na jaki kolor pomalować paznokcie. Wieczorna Lawa czy Organiczna Fuksja. POMOCY.

Ta wiadomość mogła równie dobrze pochodzić z innej planety. Taylor wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

Po jednej stronie korytarza wisiały portrety wszystkich poprzednich dziekanów Kolegium Świętego Wilfreda. Na początku były obrazy mężczyzn i kobiet w staromodnych ubiorach i o surowych obliczach. Potem miejsce obrazów zajmowały fotografie, najpierw czarno-białe, następnie kolorowe. Ostatnie zdjęcie przedstawiało obecnego dziekana, który właśnie teraz patrzył na Taylor. Wysoki i szczupły, w granatowym garniturze, Jones stał w pewnym oddaleniu od studentów, z rękoma za plecami. Z jego bladej twarzy o ostrych rysach nie sposób było czegokolwiek wyczytać.

Od przybycia do kolegium Taylor zastanawiała się, czy lubi dziekana, czy niekoniecznie. Był niezmiennie uprzejmy, ale pełen rezerwy. Czuła, że uważnie ją obserwował i oceniał. Nie podobało się jej, jak potraktował śmierć Sachy, ale jego zachowanie w trakcie starcia

zrobiło na niej wrażenie. Był nieustraszonym i groźnym przeciwnikiem. Wcześniej tego nie dostrzegła.

– Dobrze, jesteśmy wszyscy – oświadczył dziekan, kiedy podeszła.
– Możemy zaczynać. Przejdę od razu do sedna sprawy. – Jego niebieskie oczy wydawały się chłodne, kiedy spoglądał na słuchaczy. – Dzisiaj się dowiedzieliśmy, z kim przyjdzie nam się zmierzyć. Wiadomo już, że chodzi o Mortimera Pierce’a.

W skazał na fotografię, która wisiała na ścianie obok jego własnego zdjęcia. Uwieczniony na niej mężczyzna stał przed biurkiem. Miał gęste ciemne włosy oraz cienkie wąsy, i wyglądał absolutnie zwyczajnie. Taylor podeszła bliżej, żeby uważnie przyjrzeć się jego twarzy. Zdjęcie z pewnością zrobiono ponad dziesięć lat wcześniej. Teraz włosy mężczyzny posiwiały, a na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, jednak małe, groźne oczy ani trochę się nie zmieniły. Taylor usłyszała, jak stojąca za nią Louisa wstrzymuje oddech, a Alastair cicho klnie. Najwyraźniej było to dla nich zaskoczenie.

Odwróciła się do dziekana, czując, jak lęk ściska jej serce.

– Dlaczego to zdjęcie wisi na ścianie? – zapytała.

– Jeszcze piętnaście lat temu Mortimer Pierce był dziekanem Świętego Wilfreda – odparł spokojnie Jones. – Zniknął po odejściu z kolegium. Teraz wiemy dlaczego.

Alastairowi najwyraźniej pierwszy raz w życiu zabrakło przekleństw, bo tylko wpatrywał się w dziekana z niedowierzaniem na zmęczonej twarzy.

– Powiedz, że to żart, Jones. No powiedz. – Gniew w jego głosie wskazywał jednak na to, że zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Bardzo bym chciał – oświadczył cicho dziekan.

– Szlag by to. – Alastair zacisnął pięści.

Louisa zrobiła krok do przodu.

– Jak nam to umknęło? – spytała.

– Zawsze wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z kimś z wewnątrz. – Jones nie podnosił głosu. – Nigdy jednak nie sądziłem, że to będzie Mortimer. Jak to możliwe?

Przez ułamek sekundy na jego twarzy widać było emocje. Szybko odwrócił głowę, po czym potarł ręką oczy.

– Dobrze, zastanówmy się nad tym. – Louisa odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. – To wszystko wyjaśnia. Teraz już wiemy, jak udało mu się pokonać nasze zabezpieczenia i dopaść Aldricha. To jasne, skąd tyle wie o tym, jak działamy.

– Nie wyjaśnia jednak tego, co stało się dzisiaj – zauważył Alastair.
– On dysponuje wielką mocą. To, co zrobił z laską... To nie alchemia.

– To demoniczna energia. – Dziekan uniósł głowę. – Bez wątplenia. Zapadło milczenie. Wszyscy zastanawiali się nad jego słowami.

– Demoniczna... – powtórzyła Louisa.

– Nieprawdopodobne – mruknął Alastair.

Ich wcześniejsze urazy poszły w niepamięć. Teraz znowu wszyscy tworzyli jedną drużynę.

Taylor nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– I tyle? – Patrzyła na nich. – Przeszliście nad tym do porządku? Dziekan od Świętego Wilfreda zmienił strony i nikt o tym nie wiedział?

Dziekan zamordował mojego dziadka? Tego też nie wiedzieliście?

Jej wściekły głos roznosił się echem w cichym budynku.

Zamiast odpowiedzieć, Jones otworzył drzwi do swojego gabinetu i ruchem ręki zaprosił zebranych do środka.

– Wejdźcie – powiedział. – Wyjaśnię wam wszystko, co wiem.

Gabinet dziekana prezentował się raczej spartańsko. Unosił się w nim świeży, cytrynowy zapach środka do czyszczenia mebli. Przy ścianie stało nowoczesne biurko, a w kącie znajdowała się czerwono-złota flaga kolegium.

Jones poprowadził wszystkich do stołu po drugiej stronie pokoju. Taylor przycupnęła na krześle, przygryzając wargę i marszcząc brwi. Sacha usiadł naprzeciwko niej, po czym rozejrzał się nieufnie, a Louisa i Alastair zajęli miejsca obok siebie na końcu stołu.

Jones usiadł samotnie po drugiej stronie i położył przed sobą beżową kopertę.

– Za chwilę omówię wszystkie „jak” i „dlaczego”, ale najpierw chcę wam powiedzieć, że nasz cel pozostaje bez zmian. Musimy zrozumieć klątwę, która zagraża życiu Sachy. – Jego spojrzenie powędrowało w kierunku chłopaka. – Musimy się jej przeciwstawić. Nadal toczymy tę samą bitwę, tyle że teraz mamy coś, czego nam wcześniej brakowało. Mamy wiedzę. – Zerknął na Louise i Alastaira. – Wiem, co wy dwoje na to, obecnie jednak musimy się skupić na bezpieczeństwie kolegium i zająć się badaniami. W najbliższym czasie nie będziemy ścigali Mortimera Pierce’a. Najpierw spróbujemy zrozumieć demoniczną moc, której dziś użył, dzięki czemu zdołamy się przygotować.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Louisa popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Nie mamy czasu na czytanie książek. Trzeba powstrzymać Mortimera Pierce’a. To jeden z nas. Wie, jak funkcjonujemy, zna nasze plany, zwyczaje, wie, gdzie mieszkamy. Pokona wszystkie nasze zabezpieczenia. Musimy złapać go jak najszybciej.

– Jestem całkowicie świadomy tego, co wie Mortimer – podkreślił Jones. – Należy jednak podejść do tej sytuacji ze spokojem i profesjonalizmem. Uczy się tu ćwierć tysiąca studentów, których

trzeba strzec. Widzieliście dzisiaj, z czym mamy do czynienia. Nie pokonamy tego. Nawet nie wiemy, co to takiego.

– No to się dowiemy – oznajmiła Louisa z rozdrażnieniem.

– W którym momencie? – zapytał Jones. – I za jaką cenę? – Problem w tym, że nie mamy czasu na nic innego – zauważył Alastair.

– Musimy podejść do sprawy racjonalnie... – zaczął dziekan, jednak Louisa mu przerwała.

– Twój cholerny racjonalizm pozabija nas wszystkich.

– Przestań histeryzować, Louiso – wycedził Jones lodowato. – Aldrich być może miał do ciebie mnóstwo cierpliwości, ale ja nie zamierzam słuchać, jak wygadujesz, co ci ślina na język przyniesie, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota. Na zebraniu musisz umieć się zachować.

Louisa poczerwieniała, a Sachy po raz pierwszy w życiu zrobiło się jej szkoda. Odniósł wrażenie, że dziekan był dla niej zbyt surowy, a przecież miała całkowitą rację. Dotąd zajmowali się wyłącznie prowadzeniem badań, teraz nadszedł czas na walkę.

Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Louisa wstała i oparła dłonie na biodrach. Z tatuażami oplatającymi jej ramiona oraz gołe nogi od kostek w górę, nawet w dżinsowych szortach i koszulce bez rękawów wyglądała jak pogańska wojownicza księżniczka.

– Pieprzyć twoje zasady – warknęła.

– Usiądź, Louiso – zażądał Jones. – Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie.

Sacha jednak wiedział, że Louisa nie ustąpi. Wszystkie mięśnie w jej ciele były napięte do granic możliwości.

– Nasze życie lada chwila legnie w gruzach, a ty chcesz, żebyśmy się zachowywali jak cywilizowani ludzie?

– Szczerze mówiąc, i owszem – odparł dziekan.

– No to jesteś idiotą – oznajmiła. – Nie będę siedzieć na jakimś biznesowym zebraniu w sprawie Mortimera Pierce'a. Idę go znaleźć. Wypadła z gabinetu, nie oglądając się za siebie. Wściekły tupot jej głańców o marmurową posadzkę po chwili ucichł.

Alastair najwyraźniej chciał pójść za nią, ale dziekan go powstrzymał.

– Alastairze, poczekaj – poprosił znużonym głosem. – Musisz jej później przekazać, o czym dyskutowaliśmy. Będzie chciała wiedzieć. Alastair się zawahał i choć już uniósł się z krzesła, usiadł z powrotem.

– Ma sporo racji – zauważył. – Za ostro ją potraktowałeś.

– Wezmę pod uwagę jej punkt widzenia – powiedział dziekan z westchnieniem.

Sacha uznał, że w tym momencie powinien włączyć się do rozmowy.

– Chciałbym tylko wiedzieć, jak powstrzymacie Mortimera Pierce’a – oświadczył. – A gdyby to Taylor dzisiaj zginęła, a nie ja? Byłby... – Umilkł, usiłując dobrać odpowiednie angielskie słowo. – ... bałagan. – Nie o to mu chodziło, ale musiał się tym zadowolić. – Myślałem, że jesteśmy tu bezpieczni.

– Obawiam się, Sacha, że dopóki Mortimer Pierce żyje, nigdzie nie jesteście bezpieczni. – Dziekan otworzył teczkę. – Pierce to jeden z najbardziej utalentowanych alchemików, jakich spotkałem w swoim życiu. Był profesorem, kiedy się tu uczyłem. – Jego spojrzenie na moment powędrowało do Taylor. – Twoja niezwykła moc, panno Taylor, to naturalny dar, odziedziczony po przodkach. Dar Mortimera to owoc czystej determinacji i błyskotliwego umysłu. Naprawdę rozumiał, na czym polega to, co robimy. Zgłębiał historię alchemii, badał stare manuskrypty, miał nienasycony apetyt na wiedzę. Został prodziekanem jeszcze przed trzydziestką, a dziekanem piętnaście lat później. Szybko zmierzał na sam szczyt, tyle że w pewnej chwili coś poszło nie tak.

Wszyscy milczeli. Nawet Alastair pochylił się, chłonąc każde słowo.

– Nasze reguły bardzo surowo ograniczają możliwość wykorzystywania naszych zdolności – ciągnął Jones. – Nie wolno nam wpływać ani na rząd, ani na sądy. To, co robimy, musi być korzystne dla społeczeństwa i mieć charakter naukowy. Takie rozwiązanie obowiązuje od wieków. Mortimer złamał zasady i uwierzył w nowy dobór naturalny. Sądził, że dodatkowy gen, który wszyscy dzielimy, to przejaw ewolucji w praktyce. Powiedział mi kiedyś, że jesteśmy współczesnymi bogami. – Pokręcił głową. – Im więcej studiował, tym głębiej wierzył w tę szaloną teorię. Uważał, że ze względu na naszą wyjątkowość powinniśmy sprawować władzę. Że to nasze

przeznaczenie, gdyż my, alchemicy, jesteśmy... Bogiem. – Postukał palcami o teczkę. – Jak było do przewidzenia, w końcu posunął się za daleko i rzucił wyzwanie władzom uniwersytetu. Zagroził życiu byłego dziekana, który miał śmiałość powiedzieć głośno, że jego teorie są niebezpieczne. Władze uczelni postanowiły zwolnić Mortimera i pozbawić go prawa do nauczania. To było bezprecedensowe posunięcie, największe możliwe upokorzenie.

Sacha czekał na ciąg dalszy, jednak Jones milczał.

– Kiedy przeszedł na mroczną stronę? – spytała Taylor.

– W tym sęk – odparł Jones. – Do dziś nie wiedzieliśmy, że tak się stało. – Podniósł dokument, który leżał w teczce przed nim. – Przez pewien czas po zwolnieniu Pierce mieszkał w Oksfordzie. Spędził tu najprawdopodobniej trzy lata, nim zniknął. Twierdził, że przenosi się do Londynu, aby rozwijać inne zainteresowania, lecz chyba właśnie wtedy zaczął parać się demonicznymi praktykami. W następnych latach odwiedzał alchemiczne instytuty w Niemczech, Hiszpanii, Maroku i Francji, prowadząc badania w tamtejszych bibliotekach. Teraz wydaje się oczywiste, że szukał czegoś konkretnego. Potrzebował książki, która wyjaśniłaby mu, jak przywołać demona. – Ostrożnie, starannie zamknął teczkę. – Jasne jest również, że gdzieś po drodze znalazł to, czego szukał.

W jego ustach wszystko to wydawało się całkiem proste. Tak proste jak wbicie ostrego noża w ciało. Tak proste jak morderstwo.

Taylor z uwagą wysłuchiwała całej przemowy.

– Mówi pan, że Pierce studiował demonologię, że znalazł księgę, której szukał – odezwała się. – Spróbował wezwać demona i mu się udało. Teraz jest jednym z naszych wrogów. To naprawdę było takie łatwe?

Sacha zauważył, że była bardzo zbulwersowana.

– Tak uważamy – przyznał dziekan. – Stare księgi mówiły o dwóch drogach, które prowadzą do mocy. Jedna wiedzie przez naukę, druga przez mroczne praktyki. Demoniczna moc to ich skrajna postać. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś korzystał z niej w taki sposób.

Rozumiem... Ale jak z czymś takim walczyć? – zapytała. – Dzisiaj nie daliśmy sobie rady.

– Właśnie dlatego musimy nadal prowadzić badania – wyjaśnił dziekan. – Dzięki temu zrozumiemy, jak go pokonać.

– Na litość boską, Jones! – Alastair trzasnął pięścią w stół. – Byłeś tam dzisiaj, wiesz, że nie możemy się już ukrywać i czekać na pomoc albo radę. Na to jest za późno. Louisa ma rację, trzeba walczyć.

– Będziemy walczyć – odparł Jones z nieszczęśliwą miną. – Gdy tylko znajdziemy odpowiednią broń.

Alastair uniósł ręce.

– A kiedy to będzie? – jęknął.

– Wkrótce.

Sacha słyszał zwątpienie w jego głosie. Wyglądało na to, że w rzeczywistości dziekan nie ma pojęcia, co robić.

Po zakończeniu zebrania Sacha i Taylor wyszli razem z budynku administracji. Taylor usiłowała zaciągnąć go do biblioteki, ale natychmiast wymyślił wymówkę.

– Muszę się przewietrzyć – powiedział. – Nie chcę teraz tam wracać.

Kiedy Taylor zniknęła w głębi gmachu, ruszył do frontowej bramy, żeby się upewnić, czy Mortimer odszedł na dobre.

Jego telefon zabrzączał, a na ekranie ukazała się wiadomość od Laury. Na widok imienia siostry Sacha gwałtownie zatęsknił za domem.

Wszystko OK? Maman i ja się martwimy. Żyj, proszę.

Natychmiast jej odpisał. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, będzie go męczyła, aż przeczyta, że nie dzieje się nic złego.

Wszystko w porządku. To był bardzo nudny dzień. Jeszcze bardziej nienawidzę bibliotek. Ty też żyj.

Po wysłaniu wiadomości schował telefon i starał się nie myśleć o domu, o słonecznych paryskich ulicach i miękkiej sofie, o oglądaniu telewizji z Laurą i pakowaniu się w kłopoty z Antoine'em. Nie podejrzewał, że kiedykolwiek zatęskni za tamtym życiem, tak się jednak stało.

Kiedy pojawił się przy głównej bramie, robotnicy w odblaskowych kamizelkach już zdążyli się zabrać do naprawy szkód. Wokół dziury w ziemi ustawiono tymczasowe ogrodzenie i lampy. Ogień został ugaszony, ale w powietrzu unosił się drażniący zapach dymu.

Wszystkie samochody służb ratowniczych odjechały, na miejscu były jeszcze tylko dwie furgonetki pogotowia gazowego. Zgodnie z oficjalną wersją, do wybuchu doszło w wyniku ulatniania się gazu.

Louisa i Alastair stali nieopodal zgliszczy, pogrążeni w rozmowie.

Alastair popatrzył na nadchodzącego Sachę.

– Sacha. – Wydawał się zdziwiony. – Co tu robisz?

– Szukam człowieka, który próbuje mnie zabić.

Już dawno temu zniknął – oświadczyła Louisa szorstko. – Niestety.

Alastair zmarszczył brwi i zerknął nad ramieniem Sachy.

– A gdzie Taylor?

– W bibliotece.

– Sama? Jonesowi odbiło? – Odwrócił się do Louisy. – Zostawia ich samych, kiedy Mortimer może być wszędzie?

– Nie, nie odbiło mu. Po prostu nie chce dostrzec tego, co ma przed nosem. – Louisa przejechała palcami przez niebieskie włosy. – Jedno z nas musi być przy niej. Na pewno nie ja, bo mam coś do załatwienia. Popatrzyła na Alastaira. Sacha wyczuwał milczącą walkę między nimi. W końcu Alastair wzruszył ramionami.

– Będę miał na nią oko. – Rzucił Louisie ostrzegawcze spojrzenie. – Ale nie waż się działać na własną rękę.

– Dlaczego w ogóle przyszło ci to do głowy? – spytała niewinnie, jednak Alastair tego nie kupił.

– To niebezpieczne, Lou. – Jeśli zamierzasz opuścić teren kolegium, weź kogoś ze sobą. Obiecuj, że nie pójdziesz sama.

– Obiecuję. – Nawet nie starała się ukryć irytacji. – W porządku?

– Dlaczego ci nie wierzę? – mruknął.

– Człowieku małej wiary. – Uśmiechnęła się do niego. – To twój problem, Alastairze, brak zaufania.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Pewnego dnia dasz się zabić, Lou.

– Nigdy w życiu.

Zrezygnowany Alastair odwrócił się i sprężystym krokiem odszedł w kierunku biblioteki. Jego sztywne plecy wyraźnie wskazywały na to, że wciąż się niepokoił.

Louisa zamieniła kilka słów z robotnikami, po czym wróciła do Sachy.

- Idziemy - rzuciła dziarskim tonem. - Trzeba złapać demona.

– Dokąd idziemy? – spytał Sacha z zainteresowaniem, ale i z irytacją w głosie.

Chodzili po kolegium już od dziesięciu minut, nie zatrzymując się ani na chwilę, a on nadal czuł się zmęczony i słaby po śmierci. Louisa wędrowała przed nim przez pogrążony w ciemnościach teren uczelni. Jej włosy lśniły na niebiesko za każdym razem, gdy mijała źródło światła, po czym znowu gasły, gdy znikwała w mroku. Mimo niego Sacha widział tatuaże na jej rękach i łydkach, czarne jak smoła na tle bladej skóry. Właściwie nie rozumiał, dlaczego za nią idzie. Miał jej po dziurki w nosie.

– Najpierw przeszukamy kolegium i upewnimy się, że Mortimer Pierce niczego tutaj nie zostawił – oświadczyła Louisa, nie odwracając się do niego. – Żadnych paskudnych, demonicznych podarków. – Pchnęła drzwi budynku wydziału historii z taką siłą, że odbiły się od ściany. – A potem go znajdziemy.

Sacha wpatrywał się w tył jej głowy.

– To znaczy kogo? Mortimera?

– A kogo innego? – Pruła przez długi, wąski korytarz, zaglądając do każdej z pustych sal.

Sacha włókł się za nią i próbował przetrwać to, co mu powiedziała.

– Chyba nie mówisz poważnie – oznajmił w końcu. – Będziemy go szukać we dwoje? Ty i ja?

Na końcu korytarza Louisa skręciła na schody.

– Alastair powiedział, że nie mogę iść sama. – Jej głos roznosił się tu głuchym echem. – No więc nie idę. Zabrałam cię ze sobą.

Tego było już zbyt wiele dla Sachy. Nie zdołał opanować złości i frustracji po tym długim, męczącym dniu.

– Chyba cię porąbało – odparł wściekle. – Nie zamierzam opuszczać kolegium, żeby walczyć z facetem, który zabił mnie trzy godziny temu, tylko dlatego że nie potrafisz się dogadać z dziekanem, jasne? T'es complètement tarée, ma pauvre. Sama sobie z nim walcz.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Podeszwy gładów Louisy stuknęły głośno o podłogę, gdy za nim biegła.

– Czekaj, nie odchodź! – zawołała. – Wysłuchaj mnie.

W jej głosie usłyszał błagalny ton. To było coś.

Sacha zawahał się przed drzwiami. Wiedział, że powinien je otworzyć, popędzić do biblioteki i powiedzieć Alastairowi, co knuje Louisa. Nie zrobił tego jednak. W głębi duszy chciał z nią iść bez względu na ryzyko.

– Nie będziemy z nim walczyć. – Louisa wpatrywała się w niego na słabo oświetlonym korytarzu. Teraz mu nie rozkazywała, tłumaczyła jedynie, co się dzieje. – Chcę go tylko zlokalizować, a potem wezwać pozostałych, żeby go dorwali. Nie zdołam zrobić tego sama, Alastair ma rację. Ktoś musi mnie wesprzeć.

– To wszystko? – Przyglądał się jej podejrzliwie. – Przysięgasz?

– Przysięgam na Boga. – Uniosła prawą rękę.

Sacha nie potrafił jej rozgryźć. W jednej chwili traktowała go jak dziecko, a w następnej jak równorzędnego partnera.

– Nie będę z nim walczył – poinformował ją na wszelki wypadek.

– Nikt cię nie zmusza – odparła.

W jej głosie słyszał wyłącznie szczerość.

– No to do czego jestem ci potrzebny?

Louisa przez chwilę milczała.

– Obiecałam Alastairowi, że nie pójdę sama – oznajmiła w końcu. – Każdy poza tobą natychmiast by mu na mnie doniósł. Poza tym nie znam nikogo innego, kto nie może umrzeć.

„Cóż – pomyślał. – Przynajmniej jest szczerą”.

– W porządku. – Puścił kłamkę. – Pomogę ci. – To dobrze. – Wyglądało na to, że jej ulżyło.

– Ale nazwij mnie jeszcze raz dzieciakiem i stąd spadam – dodał szybko.

Po chwili na twarzy Louisy pojawił się uśmiech.

– Umowa stoi.

Wymienili spojrzenia, nie tyle przyjazne, ile porozumiewawcze, jak złodzieje, którzy znają powody, dla których zamierzają dopuścić się kradzieży.

– Po pierwsze, musimy dopilnować, żeby kolegium było bezpieczne
– powiedziała Louisa. – Twoja pomoc przyda mi się także w tej sprawie.

Z lekceważeniem wzruszył ramionami.

– Jasne. Nie jestem szczególnie zajęty, jak widzisz.

– Lubię, kiedy ironizujesz po angielsku. – Uśmiechnęła się i ruszyła w górę szerokich, pustych schodów.

Marszcząc czoło, Sacha poszedł za nią.

– A co w tym było ironicznego? – zdumiał się.

– Trudno powiedzieć – rzuciła przez ramię. – Angielski to dziwny język.

Po tej wymianie zdań umilkli i wzięli się do roboty.

Louisa przeszukiwała piętra tak samo jak parter – prawie biegła po pustych korytarzach i zaglądała do każdego pokoju. Sacha podążał za nią i wypatrywał wszystkiego, co wydawało mu się podejrzane.

Co pewien czas zatrzymywał się, żeby zerknąć do pogrążonych w półmroku sal, gdzie krzesła stały w schludnych rzędach przed podestem dla wykładowcy. Te pomieszczenia o łukowatych oknach z szybkami w ołowianych ramkach nie mogłyby bardziej się różnić od tych, do których przywykł w swojej nowoczesnej szkole w Paryżu.

Sacha nie był na żadnych zajęciach w Kolegium Świętego Wilfreda. Od przyjazdu zajmował się tylko własną sprawą, nic innego nie miało znaczenia. Teraz, gdy patrzył na te sale, w których studenci uczyli się, śmiali i dorastali, czuł się jak człowiek poza nawiasem. Jak wyrzutek.

– Sprężaj się, Sacha! – zawołała Louisa.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wcześniej wypowiedziała jego imię.

Tu było ciszej i ciemniej. Sacha stąpał ostrożnie po starej dębowej podłodze. Louisa, która szła z jego prawej strony, zaglądała do każdego pokoju, czujna i gotowa. Pod osłoną mroku przyglądał się jej z ciekawością.

– Ja wiem, dlaczego to robię, ale ty? – spytał.

Spodziewał się, że każe mu pilnować własnego nosa albo rzuci jakiś obraźliwy żart o Francuzach, którzy niczego nie rozumieją. Nie zrobiła tego jednak.

Weszła do niewielkiego pomieszczenia i gestem wskazała, żeby poszedł za nią. Znaleźli się w typowym gabinecie wykładowcy uniwersytetu, zabałaganionym i pełnym książek, których stosy sięgały niemal pod sufit. Większość przestrzeni zajmowało biurko, uginające się pod stertami papierów. O ścianę opierał się parasol.

Louisa stanęła przy pustym fotelu. W półmroku Sacha ledwie widział zarys jej twarzy, niebieskie włosy i błyszczące oczy.

– Robię to, bo nikt inny tego nie zrobi. – Mówiła cicho, ale dobitnie. – I dlatego, że Aldrich Montclair chciałby, abym znalazła osobę, która go zabiła. Dopilnuję, żeby ten sukinsyn za to zapłacił.

Położyła dłoń na oparciu fotela, dotykając go niemal czule, i Sacha nagle zrozumiał, czyj to był gabinet. Wycofał się i sprawdził tabliczkę na drzwiach. „Aldrich Montclair”.

– To jest gabinet dziadka Taylor – powiedział.

Było tak cicho, że słyszał szelest włosów ocierających się o ramię, kiedy Louisa skinęła głową.

– To był jego gabinet – potwierdziła.

Sacha rozejrzał się z ciekawością. Nigdy nie miał okazji poznać dziadka Taylor i wiedział o nim bardzo niewiele, pamiętał jednak, że Aldrich przyjaźnił się z jego ojcem. Usiłował przyjrzeć się bliżej czarno-białym fotografiom na ścianach i przeczytać tytuły książek na półkach. Nikt o tym nie wspomniał, ale był niemal pewien, że Mortimer Pierce zabił także jego tatę.

Dlatego Sacha rozumiał, co czuła Louisa. Jeśli chciała się zemścić, zamierzał jej w tym pomóc.

Nagle oderwała dłoń od fotela i ruszyła do wyjścia. Gdy wypadła na korytarz, Sacha niemal deptał jej po piętach.

– Dorwijmy go. – Usłyszał w mroku jej słowa.

Nocą kolegium wydało się Sachy jeszcze bardziej obce niż w dzień.

Nieznane twarze na niezliczonych obrazach spoglądały na niego z półmroku, gdy szedł z Louisą przez ciemny korytarz w budynku administracji. Podejrzewał, że dziekan nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że kręcą się tutaj o tej porze, a już na pewno by się wściekł, gdyby znał powód, dla którego się zjawili.

Louisa najwyraźniej nie miała żadnych wątpliwości, że postępuje właściwie. Jej kroki były pewne i szybkie, gdy prowadziła Sachę w dół

betonowych schodów do piwnicy za ciężkimi metalowymi drzwiami. Drzwi z łupnięciem zatrzasnęły się za Sachą, a on natychmiast pożałował, że ich nie przytrzymał. Po drugiej stronie panowały egipskie ciemności, nie dało się niczego zobaczyć.

Moment później zderzył się z czymś dużym, ciężkim i niewidocznym.

– Putain – zaklął, łapiąc się za kolano. – Gdzie jest światło?

Louisa nie odpowiedziała. Nie widział jej ani nie słyszał jej kroków. Wstrzymał oddech, próbując dostrzec cokolwiek w tej czarnej jaskini.

Gdziekolwiek skręcił, wpadał na pokaźne i ciężkie przedmioty. Czuł też lekki, ale bardzo charakterystyczny zapach benzyny.

Nagle rozległo się ciche stuknięcie włącznika światła i lampy pod sufitem zapaliły się z buczeniem. Oślepiony Sacha zamrugał. Wszędzie wokół niego stały samochody.

Nie miał pojęcia, że w budynku administracji znajdował się podziemny parking. Spędził w kolegium wiele dni, ale dotąd się nie domyślił, gdzie trzymali jego motocykl. Teraz obrócił się powoli, próbując go dostrzec.

Zauważył maszynę niemal natychmiast, w rogu parkingu, i ze szczęścia mocniej zabiło mu serce. Natychmiast zapomniał o Louisie oraz Mortimerze. Podbiegł do motocykla, a gdy go obejrzał, przykucnął, żeby pogłaskać błyszczący czarny lakier.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – wyszeptał po francusku.

Ku jego uldze yamaha wydawała się nietknięta. Dwa srebrne kaski spokojnie leżały na siedzeniu. Wszystko było na miejscu – poza kluczykami.

Kiedy to sobie uświadomił, Louisa podeszła i stanęła za nim z błyszczącym pękiem w dłoni.

– No i jak, przejedziemy się? – zapytała. Sacha wyrwał jej kluczyki.

– Rozumiem, że tak – mruknęła z ironią.

Wręczył jej kask, drugi wsunął na głowę. Świat skurczył się do rozmiarów osłony oczu, tak jak lubił Sacha.

Louisa bez słowa usiadła za nim. Nie trzeba jej było mówić, gdzie powinna oprzeć stopy, z pewnością nieraz jeździła motocyklem. Wcale go to nie zdziwiło.

Przekręcił kluczyk i uruchomił silnik, a wtedy motor ożył. Sacha przez chwilę tylko siedział i wsłuchiwał się w warkot maszyny. Miał wrażenie, że ten dźwięk rozbrzmiewa w jego sercu.

– Alors – powiedział, zanim przypomniał sobie, że powinien mówić po angielsku. – Dokąd chcesz jechać?

– Po prostu przed siebie – odparła.

Poprowadził motor przez parking, w kierunku zamkniętej bramy. Wtedy uświadomił sobie, że nie ma jak jej otworzyć. Już miał się odwrócić do Louisy, żeby spytać, co robić, kiedy pochyliła się nad jego ramieniem. Brama uniosła się, cicho terkocząc, a Sacha zobaczył uliczkę prowadzącą ku światłom miasta. Ku wolności.

Puścił sprzęgło i dodał gazu. Z donośnym rykiem popędzili w noc.

Późną nocą Henri zapadł w sen, z którego nie sposób go zbudzić. To tak, jakby udał się na wieczny odpoczynek. Aptekarz powiada, że tylko czas pokaże, czy Henri się ocknie, czy też opuści ten padół i zda się na łaskę Pana.

O brzasku pojechaliśmy do starego kościoła, by szukać w krypcie opisanej przez niego komnaty. Znaleźliśmy w niej wszystko, o czym mówił: gwiazdę, sztylet, a także wiele śladów ofiar i upuszczania krwi. Na ten widok członkowie Sprzysiężenia popadli w rozpacz. Wspólnie spędzając czas, po wielokroć widywaliśmy już czarnoksiężników i napotkaliśmy liczne sługi zła, ale nigdy nie zdarzyło się nam ujrzeć tak okrutnej czarnej magii i mrocznego szaleństwa. Na naszą prośbę dołączyła do nas biała czarownica Marie Clemenceau. Ujrzawszy to upiorne miejsce, pobladła jak kreda. – To niemożliwe – wyszeptła i dotknęła jednej z płam na starej kamiennej posadzce.

– Powiedz, co to znaczy – nalegał brat Claude. – Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Gdy okazał jej ceremonialny sztylet o zagiętym ostrzu i rękojeści z rzeźbionej kości oraz gagatu, zakryła twarz rękami i odsunęła się gwałtownie od narzędzia.

– To najczarniejsza magia – oznajmiła. – Najgorsza i najbardziej śmiertelna moc. W tej właśnie komnacie zgromadzenie spróbuje zawezwać diabła. – Zwróciła się ku mnie. Jej piękna twarz była wykrzywiona z bólu i strachu. – Matthieu, musisz to powstrzymać.

– Obiecuję, że tak będzie – odparłem. – Muszę jednak zadać ci pytanie i pragnę, żebyś odpowiedziała tak szczerze i uczciwie, jak potrafisz.

Nadal drżąc, uniosła głowę.

– Odpowiem zgodnie z prawdą.

– Czy Isabelle Montclair może być tą, która obcuje z demonami? Przez krótką chwilę patrzyła na mnie i ujrzałem w jej oczach prawdę. Potem, poruszona, osunęła się i tylko dzięki bożej łasce zdołałem ją

złapać, nim upadła. Bez zwłoki zabrałem ją z tego niegodziwego miejsca...

Taylor odsunęła książkę i potarła oczy.

Od wielu godzin czytała ten ciężki, oprawiony w skórę tom – osiemnastowieczne tłumaczenie francuskiej księgi z kolekcji Aldricha. Tylko tutaj znajdowało się coś godnego uwagi o Isabelle Montclair, co i tak niewiele wyjaśniało.

Taylor włączyła, by dziadek uważał opis za zgodny z prawdą. Kilka minut wcześniej natrafiła na lakoniczną notatkę pozostawioną między stronami: „Przestylizowane i mało prawdopodobne”.

Powiodła palcami po znajomych, szpiczastych literach. Dziadek jak zwykle miał rację. Dałaby wszystko, żeby był tutaj teraz i powiedział jej, co robić. Czuła się zagubiona. Wokół czaiło się niebezpieczeństwo, a do tego kończył się im czas.

W bibliotece znajdowały się tysiące ksiąg o alchemii. Nie mieli szansy przeczytać ich wszystkich, by znaleźć te właściwe. Było to potwornie frustrujące.

Taylor przycisnęła pięści do oczu.

– Powinnaś zrobić sobie przerwę – poradził jej Alastair z drugiej strony stołu, gdzie siedział przed otwartą księgą.

Opuściła ręce i podniosła wzrok. Alastair zjawił się w bibliotece mniej więcej dwadzieścia minut po niej i od kilku godzin spokojnie sporządzał notatki w laptopie. Bładoniebieska poświata ekranu podkreślała cienie pod oczami doktoranta.

– Ty też jesteś zmęczony – zauważyła Taylor i sięgnęła po papierowy kubek przy łokciu.

Kawa była zimna i gorzka, ale Taylor zmusiła się, żeby wypić niesmaczny napój. Nie wolno jej było zasnąć.

Wyjęła telefon i spojrzała na godzinę. Było już po północy. Ostatni SMS przysłała mama, dwie godziny wcześniej:

Dobranoc, kochanie. Tęsknimy za tobą. Buziaki.

Taylor poczuła bolesny ucisk w piersi. Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że gdyby mama wiedziała, co się dzisiaj stało, odwiozłaby ją do domu tak szybko, że dziekan nie widziałby nic poza kurzem spod opon.

Jednak mama nie wiedziała.

Taylor sprawdziła pozostałe wiadomości. Sacha nadal milczał. Nie dał znaku życia, odkąd rozstali się na schodach budynku administracji. Przez chwilę trzymała palec nad przyciskiem wiadomości, ale się rozmyśliła. Sacha i tak pewnie już spał. Umieranie zawsze go wykańczało, a ona nie chciała fundować mu niepotrzebnej pobudki.

Z westchnieniem upuściła telefon na stół, po czym się przeciągnęła, żeby rozluźnić mięśnie. Alastair wystukał coś w swojej komórce, zanim w identycznym geście rzucił ją na blat.

– Gdzie Louisa? – spytała Taylor, zgadując, z kim próbował się skontaktować.

Alastair zerknął na nią ze zdumieniem. Jego proste, jasne włosy zawsze były potargane, ale teraz niemal stały dęba. Nieustannie przyczesał je palcami.

– Szuka Mortimera. – Jego ton wyraźnie sugerował, co o tym myśli.

– Co? Sama? – Uniosła brwi.

– Nie jest sama. Obiecała, że nie pojedzie sama. – Nie wydawał się jednak przekonany. Nerwowo bębnił palcami o blat, tuż obok telefonu.

– Może powinieneś do niej zadzwonić? – zasugerowała Taylor. Podniósł komórkę i trzymał ją w dłoni przez mniej więcej sekundę, zanim odłożył ją na stół.

– Jeśli akurat jest zajęta, tylko ją wkurzę. – Odetchnął głęboko i odchylił się na krześle. – Na pewno nic jej nie jest. Wie, co robi.

Zabrzmiało to tak, jakby usiłował przekonać samego siebie. Taylor patrzyła na niego z zadumą.

– Ty naprawdę ją lubisz – zauważyła.

W odpowiedzi Alastair spiorunował ją wzrokiem.

– Przecież wiesz, co mam na myśli – powiedziała. – Jesteście przyjaciółmi, a Louisa nie ma zbyt wielu przyjaciół.

– Fakt, nie ma – przyznał. – I owszem, jesteśmy przyjaciółmi. Mówiąc to, podniósł długopis i go podrzucił. Długopis długo się obracał, dłużej niż to powinno być możliwe.

– Zawsze byliśmy – dodał.

– Ona też cię lubi – poinformowała go Taylor. – To widać.

Alastair chwycił długopis i gruchnął nim o blat tak mocno, że pisak aż podskoczył.

– No cóż...

Odwrócił się do laptopa, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Taylor postanowiła nie naciskać.

Na jakiś czas wrócili do pracy, lecz Alastair nieustannie podnosił telefon i rzucał mu miażdżące spojrzenia, jakby to miało zmusić Louise do napisania SMS-a. Taylor w końcu odłożyła księgę.

– Posłuchaj, dlaczego jej nie poszukasz?

Alastair pokręcił głową.

– Ktoś musi się tobą zająć – odparł.

– Wiesz co? Naprawdę jestem w stanie sama posiedzieć w bibliotece. Robię to od szóstego roku życia. – Nawet nie próbowała ukrywać irytacji.

Jego usta drgnęły.

– Spokojnie, wiem, że potrafisz sama siedzieć. Ale zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

– Myślisz, że nie wiem? Byłam tam dzisiaj. Mieszkam tu od paru tygodni. Skoro przetrwałam spotkanie ze zwiastunami, z książkami też dam sobie radę.

– Jestem tego całkowicie świadomy – oświadczył spokojnie. – Mortimer jednak może wejść do kolegium w każdym momencie, bo jest jednym z nas. Mógłby w tej sekundzie zjawić się w bibliotece. Wystarczy tylko prześliznąć się obok strażników. A na zewnątrz jest ciemno, Taylor.

Miał rację. Odchyliła się na krześle.

– Okej, okej... – westchnęła. – Przepraszam, nie chciałam wyzywać się na siebie. Po prostu nie podoba mi się to, że z mojego powodu pozwalasz Louisie działać na własną rękę.

– Nie jest sama. Tak mi się przynajmniej wydaje – oznajmił i postukał palcem w księgę przed sobą. – Chciałbym cokolwiek tu znaleźć.

Taylor popatrzyła na księgę. Teraz, gdy mogła się jej przyjrzeć, uświadomiła sobie, że wolumin jest niezwykle stary. Na wytartej i postrzępionej skórzanej oprawie widniały dziwne symbole pomalowane na złoto, które zdążyło już mocno spłowić. Taylor nie rozpoznała języka księgi.

– Co to? – zapytała. – W pierwszej chwili pomyślałam, że to greka, ale chyba nie, prawda?

– Nie, to nie greka. – Pokręcił głową. – Coś innego. To bardzo stary alchemiczny język, a przynajmniej tak podejrzewamy. Przez jakiś czas sądziliśmy, że ta księga zawiera wszystkie odpowiedzi, ale nie udało się nam jej odczytać. – Przesunął ją po stole w kierunku Taylor. – Zerknij, może ty zdołasz coś z tego zrozumieć. Ja tracę nadzieję.

Taylor z wahaniem sięgnęła po wolumin. Trzymała już w rękach kilka alchemicznych księzek i wiedziała, jakie doznania temu towarzyszą. Czowała wtedy coś w rodzaju lekkiej wibracji elektrycznej, tak jakby stała pod linią energetyczną.

Teraz jednak było inaczej. Wyczuła to, nim jeszcze jej dotknęła. Księga kipiała energią, zdawała się przyciągać Taylor. Powoli, z pełną lęku fascynacją, dziewczyna uniosła ręce nad okładką, a wtedy powietrze zaiskrzyło. Taylor odniosła przemożne wrażenie, że księga pragnie dać się jej dotknąć.

Dłonie Taylor znieruchomiały, jakby z wahaniem. Alastair popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Co jest? – zapytał.

– Nie wiem – wyszeptała.

Zaniepokojony, natychmiast się wyprostował.

– Co czujesz?

– Nie potrafię tego opisać. – Jej palce znajdowały się tuż nad wyprawioną skórą. – To tak, jakby mnie... przywoływała.

– Czekaj. – Sięgnął po księgę. – Nie dotykaj jej.

Powiedział to jednak za późno. Taylor nie była w stanie oprzeć się przyciąganiu. Jej ręce zdawały się żyć własnym życiem i przysunęły się do księgi, zanim Alastair zdążył ją zabrać.

Energia uderzyła Taylor niczym podmuch huraganu. Jej serce waliło jak oszalone, a włosy sfrunęły z twarzy, jakby zwiął je wiatr. Taylor jęknęła i się odchyliła, ale nie mogła oderwać rąk od księgi.

Przywarły do niej jak przyklejone.

Alastair pochylił się, z fascynacją obserwując przebieg zdarzeń.

– Co się dzieje, Taylor? Co czujesz? – dopytywał się. – Opisz to. Dłonie Taylor wibrowały, a stary wolumin niemal zdawał się wic w jej uścisku.

– Tak jakby była... żywa – powiedziała powoli. – Tyle... mocy. Księga bez ostrzeżenia wyskoczyła z jej rąk i przesunęła się po stole. Taylor wstrzymała oddech i opadła na krzesło, przyciskając ręce do piersi.

– Co to było? – Wpatrywała się w księgę.

– Nie mam bladego pojęcia.

Alastair ostrożnie sięgnął po wolumin i przysunął go do siebie za pomocą długopisu.

– Tygodniami próbowałem zrozumieć, co oznaczają symbole w tej księdze – powiedział. – Brałem ją i nosiłem ze sobą wszędzie. Nigdy jeszcze tak się nie zachowywała.

Oboje patrzyli na leżący między nimi na stole tom. Teraz wydawał się całkiem zwyczajny – tylko papier i atrament. Taylor jednak postanowiła trzymać się od niego z daleka. Alastair spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Musi być przyczyna, dla której to się stało – oświadczył. – To na pewno nie przypadek.

Taylor przeniosła wzrok na swoje ręce. Nadal miała wrażenie, że przez czubki jej palców przebiega silny prąd elektryczny. To ją wstrząsnęło, ale jednocześnie przepełniło ją nieoczekiwane upojenie.

– Może powinniśmy spróbować ponownie – zasugerował Alastair.

– Młodej damie nie wolno dotykać tej księgi.

Oboje odwrócili się raptownie, słysząc władczy głos z niemieckim akcentem.

Z cienia wyszedł starszy mężczyzna. Miał pomarszczoną twarz i białe włosy, ale trzymał się prosto i poruszał się żwawym krokiem. Spojrzenie jego ciemnych, inteligentnych oczu krążyło między Taylor a Alastairem.

– Skąd państwo mają tę księgę? – zapytał.

– Pan profesor Zeitinger... Panie profesorze... – Alastair wydawał się pod wrażeniem. – Znalazłem ją w Bibliotece Bodlejańskiej, kiedy prowadziłem badania dla Aldricha Montclaira w kwestii francuskiej klątwy.

– Nikt mnie nie poinformował o odnalezieniu tego woluminu. – W głosie profesora pobrzmiwała oskarżycielska nuta. – Ja sprawuję pieczę nad niemieckimi tekstami alchemicznymi z okresu średniowiecza.

– Ależ, panie profesorze... – Alastair zmarszczył brwi. – Ta księga nie jest niemiecka.

– Oczywiście, że jest. – Profesor wskazał tom palcem. – Chce mi pan powiedzieć, że nie wie, co to takiego?

Zdumiony Alastair pokręcił głową.

– Nie.

– Studiowałem te symbole przez całą swoją akademicką karierę – powiedział cicho Zeitinger. – Przemierzyłem kawał świata w poszukiwaniu tego tekstu.

– Panie profesorze, co to za księga? – Alastair patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. – Księga Rozwikłania.

Zapadła cisza, a po chwili Alastair nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Jasna cholera – wymamrotał. – Idiota ze mnie. Jones mnie udusi, gdy się dowie.

– Rozwikłanie to jedna z wielu interpretacji tego słowa, rzecz jasna – ciągnął Zeitinger, jakby nie usłyszał Alastaira. – Równie dobrze można je przetłumaczyć jako Rozplątanie. Odwrócenie. Rozwiązanie. Język tamtych czasów nie był precyzyjny. – Znowu na nich popatrzył. – Sądzono, że ta księga przepadła przed wiekami, być może uległa zniszczeniu. Chcą mi państwo powiedzieć, że przez cały czas leżała w bibliotece?

Alastair otworzył usta, żeby odpowiedzieć, po czym je zamknął. Jego ramiona drżały od powstrzymanego śmiechu.

– Ciekawe, co pana tak bawi, młody człowieku? – spytał profesor z dezaprobatą.

Gdy mówił z twardym akcentem, jego „ć” brzmiało jak „cz”. „Czekawe, co pana tak bawi”.

Alastair trzasnął się ręką w kolano, próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

– Była błędnie skatalogowana – wyjaśnił w końcu.

– To oburzające. – Zeitinger zacmokał, co jeszcze bardziej rozśmieszyło Alastaira.

Zdumiona Taylor przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego.

– Nic nie rozumiem – powiedziała. – Czym jest ta księga?

Profesor spojrział na nią z uwagą. Jego ciemne oczy pod krzaczastymi, białymi brwiami były śmiertelnie poważne.

– Jest pani wnuczką Aldricha Montclaira, prawda? – zapytał.

– Tak... – Z wahaniem pokiwała głową.

Spojrzenie Zeitingera odrobinę złagodniało.

– Nazywam się Wolfgang Zeitinger i jestem profesorem. – Pokiwał palcem nad okładką, ani razu jej nie dotykając. – To, młoda damo, jest brakujący element bardzo niebezpiecznej układanki. Pani dziadek wszędzie go szukał i prawdopodobnie z jego powodu zginął.

Taylor ścisnęło w żołądku.

– Nie rozumiem – powtórzyła. – Dlaczego ktoś miałby zabić z powodu książki?

– Napisał ją niemiecki alchemik, który badał mroczne praktyki – wyjaśnił Zeitinger. – Nikt z nas nie był tak bliski zrozumienia mrocznej mocy jak on. Zgłębiał sposoby korzystania z niej i walki z nią. Dla nas to może być klucz do życia i śmierci. – Cofnął rękę i pstryknął palcami. – Musimy się śpieszyć. Potrzebuję czegoś, w co mógłbym owinąć księgę, na przykład papier albo materiał. Nikt nie powinien jej dotykać. – Tak, panie profesorze. – Alastair ruszył na poszukiwania.

– Dalej nie rozumiem – upierała się Taylor. Stała obok starszego pana, próbując pojąć, co się dzieje. – Co w tej księdze miałoby nam pomóc?

– Jej odkrycie jest ogromnie niebezpieczne – odparł profesor, gdy wrócił Alastair i zabrał się do owijania książki w papier, uważając, by jej nie dotknąć. – Jeśli Mortimer Pierce się dowie, że ją znaleźliśmy, pozabija nas wszystkich. Dotąd chroniła nas tylko nasza niewiedza, teraz i to przepadło.

Gdy księga była bezpiecznie zawinięta, profesor podniósł ją ostrożnie i ręką dał sygnał do wyjścia.

– Musimy się pośpieszyć – dodał.

– Czy to prawda? – spytał dziekan, wkraczając do swojego gabinetu. – Znaleźliście ją?

Nie miał na sobie krawata, ale jego koszula jak zwykle była nieskazitelnie biała, a garnitur bez ani jednej zmarszczki. Taylor, która nigdy nie widziała go w żadnym innym stroju, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy w nim sypiał.

Alastair i profesor Zeitinger odezwali się w jednym momencie.

– Nie rozpoznaliśmy jej... – powiedział Alastair.

– Jak to się mogło stać? – wybuchnął profesor Zeitinger, wciąż kipiąc wściekłością z powodu błędnego skatalogowania księgi.

– Spokój, panowie. – Dziekan uniósł ręce. – Jak i dlaczego to w tej chwili nieistotne. – Skierował wzrok na Zeitingera. – Wolfgangu, czy to na pewno ta księga?

– Na pewno – potwierdził profesor, patrząc mu w oczy.

Jones potarł ręką twarz, na której odmalowało się coś w rodzaju podziwu.

– Gdzie ona jest?

Zeitinger odsunął się na bok. Księga leżała na biurku Jonesa, otoczona ze wszystkich stron papierami. Dziekan z wahaniem wyciągnął rękę i natychmiast ją cofnął.

– Nie mogę uwierzyć, że ją w końcu znaleźliśmy.

– To cud – zgodził się cicho Zeitinger. – Szczerze wierzyłem, że uległa zniszczeniu.

– Przez cały ten czas...

Dziekan spojrzał na starszego profesora, który dokończył za niego myśl.

– ... mieliśmy ją pod nosem.

– Taylor – odezwał się Alastair, jakby nagle przypomniał sobie coś ważnego. – Zareagowała, kiedy jej dotknęła.

Jones natychmiast uniósł głowę.

– Dotknęła jej?

Alastair skrzywił się lekko.

– To była pomyłka. Nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. Ja w ogóle nie reagowałem, dotykając księgi, inni też nie. Aldrich zdawał sobie sprawę z tego, że jest ważna, ale nie zorientował się, że to właśnie ta księga.

– Jaki był efekt? – spytał Jones.

– Widziałem wszystko. – Zeitinger zrobił krok do przodu. – Moc księgi rozpoznała moc ukrytą w młodej damie.

Chłodne spojrzenie Jonesa powędrowało do Taylor.

– Co czułaś, kiedy dotknęłaś księgi? Przyszło ci coś do głowy?

Taylor pomyślała o przyływie energii.

– Czułam tylko moc – odparła. – I może... złość? Wszystko działa się tak szybko. – Popatrzyła na dziekana. – Dlaczego ta księga jest taka niebezpieczna?

– Większość z tego, czym dysponujemy, to apokryfy – powiedział Jones. – Chodzi o to, że są częścią tradycji, ale nikt nie wie, czy to prawda. Wierzymy, że tę konkretną księgę napisał w siedemnastym wieku niemiecki alchemik Cornelius von Falkenstein. Jego siostra dała się uwieść mrocznej mocy. Próbowwała zawezwać demona i zginęła w trakcie ceremonii, Falkenstein zaś napisał tę księgę w ramach odwetu. Ale to pan profesor jest specjalistą.

Zerknął na Zeitingera, gestem dając do zrozumienia, by przejął pałeczkę. Profesor zbliżył się do księgi.

– Rodzeństwo było sobie bardzo bliskie – podjął. – Śmierć dziewczyny złamała serce Falkensteina i pchnęła go ku obsesji na punkcie mrocznych praktyk. W przeciwieństwie do siostry, nie szukał mocy, ta obsesja dotyczyła jej zniszczenia.

Choć nie mówił głośno, jego słowa całkowicie wypełniły cichą przestrzeń.

– Ćwiczył dniem i nocą – ciągnął Zeitinger. – Sukcesy i porażki dokumentował archaicznym szyfrem alchemicznym, który sam opracował. Starannie ukrywał swoje odkrycia, żeby powstrzymać ewentualnych naśladowców, którzy mogliby sobie zrobić krzywdę podczas eksperymentów. Rada Alchemików, która w tamtym czasie ustalała nasze zasady i prawa, zabroniła mu eksperymentowania, ale to zignorował. Posuwał się w badaniach dalej niż ktokolwiek i znalazł się na krawędzi szaleństwa. – Jego oczy zaśniły. – Koniec końców zmuszony był zaprzestać dalszych działań, gdyż stały się zbyt niebezpieczne. Nikt nie wiedział, co mógł uwolnić. Nadal tego nie wiemy. Rada uznała go za szaleńca i dożywotnio osadziła w zakładzie dla obłąkanych. Podobno jego zapiski zniszczyli ci, którzy uniemożliwili mu pracę, niemniej... – Zerknął na biurko, gdzie na stercie papierów leżała oprawiona w skórę księga, pozornie równie zwyczajna jak pierwsza lepsza encyklopedia. – ... wciąż krążyły pogłoski, że prace Falkensteina przetrwały. Podobno nie uległy zniszczeniu, lecz ukryto je w domu jednego ze zwierzchników Rady.

- Teraz wiemy, że plotki były prawdziwe - powiedział dziekan. Taylor poczuła mrowienie skóry, gdy przypomniała sobie kontakt z czystą, nieujarzmioną mocą, która przez nią przepłynęła.

- Czy ta księga może pomóc Sachy? - zapytała.

- Taką mamy nadzieję - odparł Zeitinger po chwili. - Ale nadzieja to zbyt mało. - Odwrócił się do Jonesa. - Natychmiast przystąpię do pracy.

- Oczywiście - oświadczył dziekan. - Czego potrzebujesz?

- Pomieszczenia z drzwiami zamykanymi na klucz. Asystenta... - Starszy pan zerknął na Taylor. - ... i panny Montclair, która zareagowała na księgę tak, jakby ją rozpoznała. A ona ją.

Sacha i Louisa pędzili przez mroczną płataninę ulic Oksfordu. Co jakiś czas Louisa wykrzykiwała wskazówki, jednak przez większość drogi w milczeniu przyglądała się uważnie cichym średniowiecznym uliczkom, które wiły się między potężnymi murami z kamienia, kościołami o strzelistych iglicach i wysokimi wieżyczkami oksfordzkich kolegiów.

Polowała.

Tam, gdzie Sacha widział tylko ciemne ulice i jasne światła, ona postrzegła wszystko w żywiłowych, jaskrawych barwach. Wszędzie płynęły złociste strumienie alchemicznej mocy, rozświetlając noc. Emanowały z rzeki, z linii wysokiego napięcia, z wiatru. Molekularna energia była nieograniczona i niezniszczalna.

Jednak Louisa nie szukała alchemicznej mocy, tylko Mortimera Pierce'a.

– Dokąd jedziemy?! – wrzasnął Sacha, żeby przekrzyczeć ryk silnika.

– Skręć w lewo – poinstruowała go. – A potem w prawo, za Świętym Janem.

– Jakim Świętym Janem?! – odkrzyknął.

Louisa skrzywiła się. Naturalnie Sacha nie znał nawet najpopularniejszych turystycznych atrakcji. Od przybycia do Oksfordu nie wyściubił nosa z kolegium.

– Nieważne – powiedziała. – Pokieruję cię.

Przeszło jej przez myśl, że Sacha jest dobrym kierowcą, czujnym i skupionym, nawet po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło.

Z przyjemnością znowu jeździła na motocyklu, choć od poprzedniego razu minęły całe wieki. Wsłuchiwała się w gwizd wiatru, czuła warkot silnika pod sobą. Ona i motor ponownie tworzyli jedną całość.

Przypomniła sobie Toma i squat w Liverpoolu. Nagle stanęły jej przed oczami brudne, pokryte bezsensownymi bazgrołami ściany, gołe

materace na podłodze, żarówki zasilane przewodem nielegalnie podpiętym do pobliskiego mieszkania. W ruderze nie było żadnych wyjść pożarowych. Zimą panował tam nieznośny chłód, latem śmierdziało i było upalnie. Dla Louisy jednak tamten squat oznaczał bezpieczeństwo. Był schronieniem przed rodziną zastępczą, która ją dręczyła. Motocykl Toma symbolizował wolność. Louisa uwielbiała na nim jeździć.

Sądziła, że jest bezpieczna, a potem wszystko się posypało.

– Którędy?! – krzyknął Sacha.

Louisa zamrugnęła. Zbliżali się do skrzyżowania. Dopiero po chwili udało się jej pozbierać.

– Skręć w prawo.

Usiłowała mówić pewnym sobie głosem, ale najchętniej kopnęłaby się w tyłek. Ten dzień dał się jej we znaki. Musiała się skupić. A jeśli przegapiła Mortimera, rozmyślając o przeszłości?

„Przeszłość nie ma znaczenia – przypomniała sobie. – Przeszłość cię nie zrani, jeśli jej na to nie pozwolisz. Możesz uniknąć bólu, zapominając”.

Pochyliła się, ponownie skupiona na obserwacji miasta. O tej porze ulice przeważnie świeciły pustkami, choć co jakiś czas mijali nocne kluby i Sacha musiał ostrożnie lawirować wśród grupek roztańczonych, hałaśliwych studentów. W pewnym momencie pijany brodaty hipster we flanelowej koszuli zatoczył się ku nim na jaskrawo oświetlonym rogu ulicy i wyciągnął ręce do hamującego motocykla.

– Fous-toi, salaud – warknął Sacha.

Jego ostry ton najwyraźniej dotarł do zamroczonego alkoholem umysłu brodacza, bo ten wycofał się ostrożnie i Sacha mógł ponownie przyśpieszyć.

– Nawet nie zapytam, jak go nazwałeś – oświadczyła Louisa oschle.
– Skręć w lewo.

Mamrocząc pod nosem, skręcił w wąską, ciemną uliczkę, którą wskazała. Było tu znacznie mniej latarni, a reflektor motocykla oświetlał tylko szare kamienie. Nagle Louisa zorientowała się, że jadą płataniną uliczek za Biblioteką Bodlejańską. Pochyliła się i spojrzała nad ramieniem Sachy w półmrok.

Wtedy wyczuła charakterystyczny, wstrętny zapach mrocznej mocy i oddech uwiązał jej w gardle.

– Zwolnij – zażądała.

Słyszając zdenerwowanie w jej głosie, Sacha zareagował natychmiast. Teraz motocykl toczył się powoli.

– Skreć w prawo.

Louisa zamknęła oczy, szukając źródła mocy. Trudno je było zlokalizować. W jednej chwili wydawało się bardzo bliskie, w następnej odległe. Wyczuwała je tuż obok, a potem traciła z nim kontakt. Dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego tak się dzieje. Było pod ziemią.

Musieli zsiąść z motocykla.

– Zaparkuj tutaj. – W skazała zagłębienie w murze, tworzące idealną kryjówkę.

Sacha zgasił silnik. Louisa zwinnie zeskoczyła z motoru, płynnym ruchem ściągnęła kask i położyła go na ziemi. Ze zniecierpliwieniem odgarnęła pasma niebieskich włosów, które opadły na twarz. Jej serce biło jak oszalałe. Wiedziała, gdzie był Mortimer. Energia, którą emanował, zaprowadziła ich prosto do niego.

„Powinnam teraz zadzwonić do Alastaira – pomyślała z nagłą skruchą. – Nie zdejmujemy go sami”.

Mimo to nie sięgnęła po telefon. Zignorowała ostrzegawcze głosy w głowie, które powtarzały jej, że nie powinna działać sama, i podeszła do niskich, ukrytych w gęstym bluszczu na murze drzwi. Zamiast numeru wyryto na nich symbol – trójkąt z kołem w środku.

Gdy przycisnęła dłoń do podniszczonego drewna, drzwi natychmiast się otworzyły.

Louisa odwróciła się za siebie. Sacha nadal siedział na motorze z kluczykami w dłoni i patrzył na nią niepewnie.

Prawie zaczynała go lubić. Musiał mieć jaja, skoro się jej dzisiaj postawił, jak również sporo odwagi, żeby opuścić bezpieczne kolegium i ruszyć w pościg za mężczyzną, który tego dnia już zdążył go zabić. Może niesprawiedliwie go oceniła. Tak czy inaczej, wkrótce miała się o tym przekonać.

– Jest blisko. Wyczuwam go – oznajmiła. – Wchodzisz w to?

Sacha przez moment się wahał, po czym zsiadł z motocykla i położył kask na ziemi. Widziała, jak z czułością pogłaskał bok lśniącego, czarnego motoru.

Potem się wyprostował i bez słowa ruszył za nią w nieznaną.

Za drzwiami ujrzeli kamienne schody, które prowadziły w dół ciemnej, wąskiej przestrzeni. Gdzieś w oddali kapąca woda, powietrze było wilgotne i chłodne. Louisa wyciągnęła telefon i zapaliła latarkę, a wtedy ich oczom ukazał się tunel.

Ostrożnie rozejrzała się wokół, jednak nie wyczuła w pobliżu energii Mortimera. Postanowiła skierować się do miejsca, w którym po raz ostatni miała kontakt z mocą wyznawcy, i skręciła w prawo, do biblioteki.

– Tędy – wyszeptała.

Jej słowa rozniosły się głośnie echem w tunelu.

Tędy... tędy...

Każdy krok rozbrzmiewał donośnie wśród wiekowych kamiennych ścian i sufitów. Nawet odgłos oddechów wydawał się zwielokrotniony, jakby oddychały tu także mury.

– Gdzie jesteśmy? – szepnął Sacha.

Louisa popatrzyła na niego.

– W średniowiecznych tunelach – odparła.

– Myślisz, że on tu jest?

W jego głosie usłyszała powątpiewanie i wcale się temu nie dziwiła. Teraz, gdy już się tu znaleźli, w ogóle nie wyczuwała mrocznej mocy, jedynie złocistą energię wody, która płynęła pod nimi i dookoła. Gdzie on się podział? Przecież była taka pewna... – Chodźmy jeszcze kawałek – zaproponowała.

To nie była odpowiedź, ale Sacha nie naciskał.

Tuż przed nimi tunel się zwęził i musieli iść gęsiego. Przez dłuższą chwilę milczeli, a kiedy Sacha przemówił ponownie, jego głos był cichy i poważny.

– Mogę ci zadać pytanie?

– Nie mogę ci zabronić.

– Dlaczego mnie nienawidzisz?

Louisa szła dalej. Naprawdę chciał o tym gadać akurat teraz?

– Nie nienawidzę cię – odparła krótko.

– To dlaczego tak się zachowujesz? Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie traktujesz mnie jak wredna małpa, a ja nawet nie wiem dlaczego. Co takiego zrobiłem?

Louisa zatrzymała się i odwróciła, żeby na niego popatrzeć.

– Posłuchaj, dzie... Sacha. Czasami trzeba być wredną małpą, żeby przeżyć. – Jej głos odbił się echem od kamieni.

Przeżyć... żyć...

Sacha wpatrywał się w nią z uwagą.

– Nie jestem twoim wrogiem, Louiso. Jestem po twojej stronie, a przynajmniej się staram. Tylko mi na to pozwól. Zamknęła oczy, próbując zachować cierpliwość.

– Nie nienawidzę cię – powtórzyła. – Naprawdę. Kiedy się poznaliśmy, być może obwiniałam cię o to wszystko. – W skazała dłonią tunel dookoła nich, a snop światła z jej latarki zakłócił się gwałtownie. – Niepotrzebnie. Wiem, że to niesprawiedliwe.

Na więcej nie miał co liczyć. Przepraszanie przyprawiało Louise o gęsią skórkę. Sacha nie znał jej jednak na tyle dobrze, aby zrozumieć, że to przeprasiny. Wpatrywał się w ciemność na końcu tunelu.

– Ja też się za to winię.

Powiedział to tak cicho, że niemal zagłuszyły go ich oddechy i kapanie wody.

– Chciałbym jakoś to powstrzymać – dodał, nie patrząc jej w oczy. – Oddałbym się w ręce Mortimera, gdyby to znaczyło, że Taylor przeżyje i wszystko się skończy. Ale tak by się nie stało, prawda? – Spojrzał na nią.

– Nie – przyznała. – Tak by się nie stało.

– Więc mogę robić tylko to, co robię. – W jego głosie pobrzmiwały zmęczenie i dojrzałość, niepasujące do siedemnastolatka. – Chcę żyć, Louiso. I chcę, żeby Taylor żyła, a także reszta was. Chcę walczyć u waszego boku, ale jeśli uznasz, że nadal mnie nienawidzisz, nie mogę mieć o to do ciebie pretensji.

Zaskoczona Louisa zastanawiała się, co powiedzieć. Biorąc jej milczenie za wyraz potępienia, Sacha minął ją i ze zwieszonymi ramionami ruszył w głąb ciemnego tunelu.

– Mniejsza z tym – mruknął.

Louisa pobiegła za nim.

– Ej, dzie... – krzyknęła. – Znaczy... Sacha – poprawiła się. – Słuchaj, przepraszam. Czekaj.

Znalazła go parę metrów dalej. Zatrzymał się przy starych, drewnianych drzwiach.

– Wiesz, naprawdę nie chciałam... – zaczęła.

I wtedy to poczuła, bardzo słabo, zza drzwi. To wrażenie nie pozostawiało jednak żadnych wątpliwości. W ułamku sekundy wszystkie pomysły związane z przeprosinami wyparowały jej z głowy.

– Jest tutaj – szepnęła.

Przyłożyła dłoń do drzwi i w skupieniu zamknęła oczy. Po drugiej stronie wyczuła energię elektryczną w ścianach, płynącą wodę pod stopami, cząsteczki powietrza. Żadnych alchemików ani zwykłych ludzi.

Jednak czaiło się tam coś mrocznego i niebezpiecznego.

Adrenalina rozpała jej żyły niczym ogień.

„Mam cię, draniu”.

Delikatnie i precyzyjnie przesunęła zapadki w zamku, a wtedy drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Po wilgotnym tunelu pomieszczenie z drugiej strony zdawało się mienić niczym fatamorgana. Było ciepłe i suche. Kamienną podłogę przykrywały luksusowe dywany, a wszystko oświetlał łagodny blask nowoczesnych kinkietów.

Louisa zobaczyła, że Sacha szeroko otwiera usta. Nadeszła pora zadzwonić do Alastaira. Kiedy jednak wzięła do ręki telefon, nie było zasięgu.

„Oczywiście – pomyślała i ścisnęło się jej serce. – Jesteśmy pod ziemią”.

Byli zdani tylko na siebie.

Schowała komórkę i stanęła w przejściu, sprawdzając przestrzeń, ściany i wszystko, co się dało, na obecność mrocznej energii. Wyczuła ją, ale w śladowych ilościach.

Weszła do środka i dała Sachy znać, żeby podążył za nią.

– Chodź – powiedziała.

Tunel po tej stronie był szerszy, a grube dywany tłumiły ich kroki. Tu i ówdzie znajdowały się drzwi. Louisa przystawała na moment

przed każdymi, po czym szła dalej. Na przemian gubiła i odnajdywała ślady energii, które jednak były bardzo słabe i ulotne.

Uznała, że to zastanawiające. Mroczna energia nie powinna tak się zachowywać. Wątpliwości sprawiły, że ścisnął się jej żołądek. Coś było nie tak.

A jeśli chodziło tylko o odległość? Wciąż tkwili pod ziemią. Może znajdował się teraz nad nimi i przez warstwy ziemi i skał jego energia była trudna do wykrycia? Powinni wrócić na górę.

Louisa pognała przed siebie.

– Czekaj – syknął Sacha, próbując dotrzymać jej kroku. Widziała jego zdumioną minę. – Co to za miejsce? Znowu jesteśmy w kolegium?

– Nie, to Biblioteka Bodlejańska – odparła, nie zwalniając.

– A po co w bibliotece tunele?

Louisa nie miała czasu na wyjaśnienia.

– Czy ja ci wyglądam na bibliotekarkę? – warknęła.

Gdy dotarli do drzwi klatki schodowej, zatrzymała się i dotknęła ich palcami.

– Nic w Oksfordzie nie jest takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka – powiedziała. – Myślałam, że zdążyłeś już to zauważyć.

Pchnęła drzwi tak mocno, że rąbnęły o ścianę. Ich oczom ukazały się spiralne techniczne schody. Jedyne światło pochodziło z jaśniejących na zielonkawo znaków drogi ewakuacyjnej na każdym poziomie. Louisa próbowała wyczuć Mortimera w głuchej ciszy. Jeśli znajdował się w budynku, był świadomy jej obecności, podobnie jak ona jego. Musiała odszukać go jak najszybciej, jednak jego energia nadal była efemeryczna, jakby zjawiała się w budynku i z niego ulatywała. To nie miało sensu. Nie mógł być tu i gdzie indziej w tym samym czasie.

Przynajmniej się nie myliła w kwestii oddzielających ich warstw ziemi. Teraz lepiej wyczuwała mroczną energię. Byli coraz bliżej, wręcz za blisko.

Louisa była jednocześnie zdenerwowana, podekscytowana i przerażona. Nie powinna robić tego, co właśnie robiła. Należało zatelefonować do kolegium zaraz po tym, jak zsiadła z motocykla. Potem zasięg znikł, a zresztą i tak było za późno, żeby ktoś zjawił się tu na czas.

Na tę myśl poczuła, jak jej mięśnie się spinają. Widziała, co potrafi Mortimer, i wzięła, by zdołała wygrać tę walkę.

Co nie oznaczało, że zamierzała się wycofać.

Kiedy wyszli z podziemi, otworzyła szeroko jeszcze jedne drzwi. Pomieszczenie po drugiej stronie było olbrzymie. Wszędzie dookoła wznosiły się wysokie regały, wypełnione tysiącami, jeśli nie milionami ustawionych pod sam sufit książek.

Mortimera nie było.

Louisa odwróciła się do Sachy i wskazała wyjście ewakuacyjne po przeciwnej stronie sali.

– Posłuchaj, Mortimer jest blisko – wyszeptała pośpiesznie. – Za późno na sprowadzenie pomocy. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że mnie zabije, zanim zdążę go dopaść. Nie możesz z nim walczyć.

Powinieneś już iść. Wracaj do Świętego Wilfreda.

– Nie. – Spojrzał na nią zimno.

– Sacha...

– Wierzysz, że zostawiłbym cię z nim samą? – Zaciśnął usta. – Zostaję.

Naprawdę źle go oceniała.

– No cóż, widocznie jesteś równie głupi jak ja – mruknęła.

To był komplement. Sacha, o dziwo, tak właśnie to odebrał.

– Chyba jestem – przyznał i uśmiechnął się łobuzersko. – Polegnijmy z bronią w ręku. Zawsze chciałem to powiedzieć przed walką. Polegnijmy z bronią w ręku.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym zwyciężyć. – Wskazała długi, ciemny korytarz, który odchodził z prawej strony dużego pomieszczenia. – Skoro nie chcesz odejść, musimy iść tędy.

Pędem ruszyli przed siebie. Po obu stronach korytarza znajdowały się gabinety. W biegu Louisa zauważała stoły z ciemnego, polerowanego drewna, wysokie regały z książkami i krzesła biurowe.

Nie było czasu na bliższą inspekcję, gdyż teraz wszędzie dookoła czuła mroczną energię. Wnioskując po jej sile, Mortimer powinien być tuż przed nimi, jednak Louisa nic nie widziała.

– Gdzie on jest? – wyszeptał Sacha, jakby czytał jej w myślach. – Jesteśmy blisko?

W tym samym momencie drzwi obok nich otworzyły się szeroko i na korytarzu przed nimi pojawił się potężnie zbudowany mężczyzna.

– Tak – odparła Louisa. – Blisko.

Mówiła spokojnie, ale czuła, że serce podeszło jej do gardła. Był naprawdę gigantyczny i wręcz biła od niego mroczna moc.

Gdy w pośpiechu się wycofywali, Sacha, potknąwszy się, zaklął. Dziwny mężczyzna z pewnością liczył sobie dobrze ponad dwa metry i miał tak szerokie bary, że musiał bokiem przechodzić przez drzwi. Louisa nie zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, widziała jedynie, że był ubrany na czarno. Pomimo mroku i zamieszania wydało się jej, że dostrzega dziwne symbole na jego szyi i ramionach.

Tylko tyle zdążyła zaobserwować, zanim natarł na nich z rykiem.

Louisa z całej siły pchnęła Sachę.

– Biegiem!

Sacha padł jak długi w tym samym momencie, gdy stwór sięgał po niego wielkimi, mięsistymi łapskami.

Zanim oszołomiony chłopak zdołał się podnieść, biblioteka zdążyła się już przemienić w scenę rodem z nocnego koszmaru. Louisa, która wyglądała jak niebieska iskra wśród cieni, biegała tam i z powrotem. W ten sposób starała się odciągnąć od Sachy potężne monstrum. („Bo to monstrum, prawda? – pomyślała. – Z pewnością nie człowiek. Nie z takim wyglądem...”).

– To mnie szukasz! – wrzeszczała na stwora, kiedy tylko skupiał uwagę na Sachy. – Chodź, tu jestem.

Skoncentrowana, wyciągnęła rękę. Sacha nie widział tego, co ona, ale miał świadomość, że Louisa próbuje ściągnąć alchemiczną energię do walki.

Stwór przystanął na chwilę i się zatrząśł. Sacha z przerażeniem patrzył, jak otwarte usta istoty rozciągają się w okropnym uśmiechu. Potwór zamachnął się na Louise z taką siłą, że słychać było świst jego pięści w powietrzu.

Dziewczyna przywarła do podłogi, przetoczyła się na bok, po czym zerwała się na równe nogi. Gdy ponownie wyciągnęła rękę, na jej twarzy malował się wyraz całkowitego skupienia.

Ignorując ją, stwór odwrócił się do Sachy, który przełknął ślinę i uniósł pięści. Nagle jednak jego dłonie wydały mu się drobne i kruche w porównaniu z wielkimi, nabrzmiętymi łapskami potwora.

Przez chwilę tylko patrzyli na siebie. Sacha odniósł wrażenie, że stwór go rozpoznaje – było to wypisane na jego karykaturalnie nabrzmiętej twarzy.

Poza tym wydawał się głodny.

– Ej! – Po drugiej stronie korytarza Louisa machała rękami jak oszalała. – Tutaj, głąbie!

Zdezorientowany i przestraszony Sacha przez moment myślał, że zwróciła się do niego. Z nieludzkim warkotem stwór ruszył ku niej

ciężkim krokiem, który zdawał się wstrząsać budynkiem w posadach.

Louisa czekała, skupiając moc. Monstrum znów zadrżało, a jego wielka pięść wystrzeliła w kierunku dziewczyny szybciej i brutalniej niż poprzednio. Louisa uchyliła się w ostatniej sekundzie.

Tym razem czekała jednak zbyt długo i pięść trafiła ją w ramię. Potężny cios posłał ją w powietrze i na ścianę, po której się osunęła, zanim znieruchomiała na podłodze, nieopodal stojącego na korytarzu Sachy.

Stwór zastygł, głupkowato wpatrując się w miejsce, w którym wcześniej była Louisa. Sacha natychmiast do niej podbiegł. – Wszystko okej?

– Jasna cholera. – Potarła ramię. – Co to w ogóle jest?

– Nie wiem. – Pomógł jej wstać. – Ale chyba mnie rozpoznał.

Wejźmy tutaj.

Razem dali nura do ciemnego pomieszczenia.

– Rozpoznał cię? Jak to? – Louisa zmarszczyła brwi.

Sacha nie wiedział, jak to wytłumaczyć.

– Popatrzyl na mnie jakbym... Ciężko powiedzieć... Jakby to właśnie mnie szukał.

Louisa spojrzała mu przez ramię na korytarz.

– To chyba ma sens – mruknęła. – Pewnie pracuje dla Mortimera, jak zwiastuni. Tyle że jest dużo głupszy.

– Dlaczego nie wykorzystałaś swoich umiejętności, żeby z nim walczyć? – zapytał.

Stojące na końcu korytarza stworzenie obróciło się w ich kierunku.

– Zmobilizowałam wszystkie swoje siły – odparła Louisa. – Wydawało się, że to coś... Bo ja wiem... Że mu się to podoba.

– Jak to możliwe? – Sacha nie dowierzał własnym uszom.

– Nie mam pojęcia.

Chłopak czuł się zdezorientowany. Skoro zdolności Louisy nie działały na monstrum, mogło zabić ich oboje. Było od nich dwukrotnie większe i najwyraźniej stawało się coraz szybsze.

Do tego nikt nie wiedział, gdzie są. Zostali sam na sam z potworem.

– I co zrobimy? – spytał.

Razem przyglądali się, jak stwór zmierza w ich stronę.

– Daj mi minutę – powiedziała Louisa. – Opracowuję plan. Nie mieli jednak ani chwili. Stwór ich zauważył i ruszył prosto ku nim.

Choć było bardzo ciemno, Sacha spostrzegł, że coś się zmieniło.

– Czy on... rośnie? – spytał słabym głosem.

– Niemożliwe...

Louisa nie miała czasu nic dodać, gdyż potwór natarł na nich z gardłowym warknięciem.

– Na lewo! – wrzasnęła do Sachy.

Niewiele myśląc, posłuchał i wypadł na korytarz, po czym się odwrócił, nie słysząc za sobą kroków.

Louisa pobiegła w przeciwnym kierunku. Teraz podniosła rękę ku stworowi, próbując raz jeszcze. Sacha miał wrażenie, że słyszy jej głos.

– Odwal się wreszcie!

Potwór ponownie zamarł, a potem zadygotał, jakby wnikała w niego moc wysyłana przez Louisę. Nie wyglądało jednak na to, żeby cierpiał. Bez ostrzeżenia ruszył na nią i mocno się zamachnął.

Tym razem była przygotowana. Odskoczyła, błyskawicznie obiegła stwora i pognąła do Sachy.

Stwór znowu znieruchomiał z głupią miną.

Louisa oddychała ciężko. Na jej czole pojawiły się kropelki potu. – Atakuję go z całą mocą, a on chyba po prostu ją absorbuje – oznajmiła.

Patrzyli, jak stwór się trzęsie, niemal rozsadza potężnym cielskiem czarne spodnie i koszulę z krótkimi rękawami. Teraz wyraźniej widzieli symbole, którymi był oznakowany na skórze rąk i twarzy.

– On faktycznie rośnie. – Louisa nie odrywała od niego wzroku. – No nie?

Sacha chciał zaprzeczyć. Marzył, żeby nic z tego nie okazało się prawdziwe.

– Tak – potwierdził. – Rośnie.

Stwór wpatrywał się w ciemność, aż jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Sachy. Potwór ruszył biegiem w ich kierunku, z oczami wypełnionymi chorobliwym głodem.

– Chrzanić to – warknęła Louisa. – Pryskamy stąd.

Bezceremonialnie chwyciła Sachę za rękaw koszulki i pociągnęła za sobą ku głębszej ciemności na końcu korytarza. Stwór wydał

z siebie ryk wściekłości i pognął za nimi.

Sacha pomyślał, że istota jest coraz szybsza, ale nie na tyle szybka, żeby ich złapać. Biegli w mroku, mijając rzędy drzwi, aż wreszcie dotarli do końca korytarza i wskoczyli do eleganckiego, okrągłego atrium.

Niebieskawa poświata księżycy wpadała przez świetliki na wysokim suficie. W tym niezemskim blasku Sacha dostrzegł misternie ułożone kafelki na posadzce, a także łukowate drzwi, które prowadziły w czterech kierunkach.

Louisa wskazała na te po lewej.

– Tędy! – krzyknęła.

Sacha pomyślał, że jest błada i wyczerpana, ale może tylko mu się wydawało w tym świetle. Nie miał zresztą czasu się tym przejmować – kroki stwora były coraz donośniejsze. Razem zagłębili się w mroku wąskiego korytarza, który wskazała Louisa. Prowadził on do innego korytarza, a potem do kolejnego. Louisa szła przodem – skręciła w lewo, później w prawo i znowu w lewo, aż w końcu nie słyszeli już odgłosów pościgu.

– Tutaj. – Gwałtownie zatrzymała się przed drzwiami.

Wpadli do pogrążonego w ciemności pokoju, a Louisa zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zamek.

Przez chwilę stali nieruchomo, próbując złapać oddech. Sacha przycisnął ucho do chłodnego drewna drzwi, ale nic nie usłyszał.

– Chyba zgubiliśmy to coś – powiedział z ulgą.

Louisa milczała. Nagle powoli, ze zdumiewającą gracją, osunęła się na podłogę.

– Louisa? Co się dzieje? – Przykucnął koło niej, próbując dojrzeć jej twarz w ciemności.

– Nie wiem – odparła chrapliwym głosem. – Czuję się słaba. Ten stwór chyba... coś mi zrobił.

Sacha sięgnął do kieszeni i po omacku włączył latarkę w telefonie. Wtedy zobaczył, że trafili do zagraconego magazynu, pełnego drewnianych stołów, regałów i stosów starych krzeseł. Gdy popatrzył na Louise, oddech uwiązał mu w gardle. Jej niebieskie włosy lśniły wokół twarzy białej jak papier.

– Merde, wyglądasz okropnie. Musimy sprowadzić pomoc.

– Nic mi... nie jest. Daj mi... chwilę.

Mówiła urywanymi słowami, oddychała płytko.

– Co jest, Louisa?

– Zastanawiałam się na tym... stworem. Za każdym razem, gdy... manipuluję energią... on jest coraz silniejszy, a ja słabsza. – Jej włosy przykleiły się do wilgotnych policzków. – Kradnie mi energię. Wyczerpuje mnie.

Sacha poczuł, że panika chwyta go za gardło. Przyłożył dłonie do czoła, usiłując coś wymyślić.

– Nawet nie wiemy, co to takiego – oznajmił na głos. – A te ślady na jego ciele... Przypominają wypalone znamiona. Co oznaczają? Louisa nieco się wyprostowała. Sacha z ulgą zauważył, że jej oddech wraca do normy, chociaż nadal była bardzo blada.

– To mroczna moc. – Otarła pot z czoła. – Wyczuwam na nich Mortimera. Słabo, ale na pewno. Czymkolwiek jest to stworzenie... to robota Pierce'a. A ja nie mogę z nim walczyć. – Drżącą ręką wyciągnęła telefon. – Dzwonię do Alastaira.

Musiał odebrać od razu, ponieważ bez zbędnych wstępów powiedziała do telefonu:

– Bodlejańska. Parter. Średniowieczny korytarz. Musicie nas stąd wydostać.

Mimo że przyciskała aparat do ucha, Sacha i tak usłyszał fantazyjne przekleństwa Alastaira. Wyraz twarzy Louisy nie zmienił się ani na jotę.

– Proszę o wskazówki – powiedziała krótko.

Krzyki po drugiej stronie się urwały.

Rozmawiali przez niespełna minutę. Louisa zwięźle opisała stwora, a potem tylko słuchała, kiwając głową.

– Jak najszybciej, Al – oznajmiła w końcu cicho.

Nie pośpieszając go w żaden inny sposób, natychmiast zakończyła rozmowę.

Sachę uderzyło to, że z każdą minutą wyglądała odrobinę lepiej. Oddychała już zupełnie normalnie, nie męczyła się, siedząc, jednak nie ulegało wątpliwości, że nie dałaby rady walczyć tak sprawnie jak zwykle. On musiał być gotowy.

Oświetlając pomieszczenie telefonem, obszedł je i w końcu wybrał zniszczone krzesło z zapadniętym siedziskiem. Z całej siły gruchnął meblem o podłogę, trzymając go za oparcie. Krzesło rozpadło się na kilka kawałków.

– Co ty robisz, do cholery? – zapytała Louisa, prostując plecy. – Próbujesz zwabić tu wszystkie cholerne demony z całego budynku?

Sacha popatrzył na szczątki na podłodze i w końcu wybrał nogę od krzesła, z jednej strony odłamaną i ostrą niczym dzida. Zważył ją w dłoniach i machnął nią w powietrzu. Prowizoryczna włócznia dobrze leżała mu w rękach.

Zerknął na Louise.

– Skoro nie możesz używać mocy, będziemy brutalni – oświadczył.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym wyciągnęła rękę.

– Też chcę coś takiego.

Podniósł inny groźnie wyglądający kawałek drewna i rzucił Louise. Chwyciła go bez trudu. Po czym wstała, nieco rozdygotana, ale w pełni przytomna.

– Alastair nie wie, co to za istota, ale ktoś to już sprawdza. – Ugięła kolana, sprawdzając zmysł równowagi. – Jego zdaniem gdzieś tu jest wyjście. Jeśli się pośpieszymy, uda się nam do niego dotrzeć.

Właśnie to chciał usłyszeć Sacha. Odwrócił się do drzwi, którymi weszli, jednak Louisa pokręciła głową.

– Nie tędy. – Przeszła na drugi koniec magazynu, do regału pod ścianą. – Pomóż mi to przesunąć.

Regał był ciężki, ale pusty, więc we dwójkę zdołali przesunąć go na tyle, żeby sprawdzić, co zasłaniał.

Za meblem znajdowały się kolejne drzwi.

Louisa przez długi czas przyciskała do nich ucho, po czym się wyprostowała.

– Jak makiem zasiał – szepnęła. – Idź za mną, dobrze? Bez względu na to, co się wydarzy.

Sacha nie zamierzał się kłócić.

– Jasne – przytaknął.

Położyła dłoń na klamce.

– Mam nadzieję, że to coś przyszło tu w pojedynkę – mruknęła. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, które wydawało się głośne

niczym krzyk w ciszy olbrzymiej biblioteki.

Wyśliznęli się z magazynu – Louisa pierwsza, Sacha tuż za nią. Długi, szeroki korytarz zdawał się pusty i bezpieczny, mimo to Sacha nie mógł pozbyć się lęku. Jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że nie są sami. Chciał szeptem ostrzec Louise, ale ona już szła przed siebie. Machnąwszy ręką, żeby ruszał za nią, błyskawicznie zniknęła w ciemności.

Sacha popędził za Louisą, starając się poruszać równie cicho jak ona. Gdy na nią spojrział, skojarzyła mu się z cieniem w czarnych szortach i koszulce. Biegła naprawdę prędko i trudno było uwierzyć, że kilka minut temu bezsilnie upadła na podłogę.

Pędzili razem przez kręte korytarze. Nigdzie nie dostrzegli ani śladu stwora. Bieg zdawał się ciągnąć w nieskończoność, aż Sacha wreszcie dostrzegł w oddali zieloną poświatę znaku wyjścia. Jego serce zabiło mocniej. Wkrótce mieli się stąd wydostać.

Louisa przyśpieszyła, gnała ku wyjściu niemal jak na skrzydłach. Poruszała się tak szybko, że nie miała żadnych szans, kiedy drogę zastąpił jej stwór, który wyszedł z wysokiej wnęki w ścianie.

– Louisa! – krzyknął Sacha.

Jednak było już za późno. Wbiegła prosto na potwora. Sacha zaklął cicho i popędził ku nim.

Stwór mocno trzymał Louise, która próbowała wydostać się z jego uścisku. Walczyła z całych sił, ale wydawała się mała i krucha w starciu z przeogromnym potworem.

Sacha rozpaczliwie podskakiwał wokół obojga, usiłując pomóc Louisie. Był bliski paniki, kiedy zmroził go złowieszczy dźwięk dobiegający z ciemności. Korytarz wypełnił się donośnym stukotem ciężkich kroków.

Sacha odsunął się powoli, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

Z cienia wyłonił się jeszcze jeden stwór, identyczny jak poprzedni. Może nie był aż tak potężny, ale również nosił czarne spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, a na jego ciele widniały takie same symbole jak te wypalone na skórze pierwszego monstrum. Gdy wodził oczami, rozglądając się wokół, Sacha zwrócił uwagę na jego wydatne brwi i nabrzmiałe oblicze.

Przerażony, odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Louisa zauważyła nowego napastnika. W tym samym momencie kopnęła potwora w kolano z taką siłą, że rozległ się trzask.

Monstrum ryknęło z bólu, uniosło wielką pięść i rąbnęło Louise w twarz.

– Nie! – wrzasnął Sacha.

Rozległ się głuchy łomot, a głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu.

Noga od krzesła zagrzechotała na podłodze.

Louisa znieruchomiała.

– Louisa! – Sacha rzucił się w jej kierunku.

Oba stwory odwróciły się w jego stronę. Na ich wielkich, spuchniętych twarzach widniały dziwnie identyczne miny tępego zaskoczenia, całkiem jakby istoty nagle przypomniały sobie z zachwytem o jego obecności.

Ten, który trzymał Louise, warknął i wyciągnął ku niemu łapę, a Sachy zrobiło się niedobrze. Wyglądało na to, że stwór chce go zjeść albo zrobić coś jeszcze gorszego. Louisa, nadal tkwiąc w jego nabrzmiątych łapskach, zwiślała bezwładnie.

Sacha ścisnął mocniej nogę od krzesła i się zatrzymał. Nie miał pojęcia, co robić. Wiedział, że sam nie poradzi sobie z tymi potworami. Louise, dwa razy bardziej zaprawioną w walce i na dodatek alchemiczkę, stwór powalił jednym ciosem.

„Nie tak miało być”, pomyślał ze smutkiem Sacha. Mieli po prostu znaleźć Mortimera i się ulotnić. Teraz dysponował jedynie połamaną nogą od krzesła i miał za wrogów dwa potwory naraz. Nawet gdyby udało mu się wyciągnąć Louise z łap stwora, nie wiedziałby, dokąd iść.

Był w beznadziejnej sytuacji.

Ponownie.

Nagle podłoga się zatrzęsała. Uniósł wzrok i zobaczył, że drugi stwór, śliniąc się, ciężkim krokiem zmierza w jego kierunku. Sacha bez namysłu uniósł ostro zakończone drewno. Czuł, jak adrenalina pulsuje mu w żyłach, a tętno przyspiesza. Nieoczekiwanie wpadł w złość. Mortimer już raz go dzisiaj zabił i Sacha nie zamierzał dopuścić do powtórki.

Gniew miał cudowny skutek uboczny w postaci rozjaśnienia umysłu. Mgła zniknęła, teraz liczyła się tylko walka.

Może i nie był tak wyszkolony jak Louisa. Może i nie dysponował umiejętnością manipulowania cząsteczkami jak alchemicy – za to bardzo wątpił, by ktokolwiek z nich walczył z najtwardszymi paryskimi gangami. On tak. Ukradł samochód słynnemu szefowi

gangsterów i przeżył. Zeskoczył z dachu na wysokości piątego piętra, otrzepał się i odszedł.

Sacha potrafił walczyć.

– Allez! – Wyprostował się i przerzucił nogę krzesła z jednej ręki do drugiej. Już nie czuł lęku. – Salaud. Nie boję się ciebie.

Małe oczka stwora, częściowo ukryte pod opuchniętym ciałem, zalśniły. Potwór biegł coraz pręcej, Sacha jednak nie ruszał się z miejsca.

Czekał, aż potwór się zbliży. Czekał, aż wyciągnie ku niemu wielkie łapska i rozewrze usta, odsłaniając poczerwiałe zęby. Czekał, aż poczuje jego oddech, cuchnący zgnilizną i ziemią.

Poruszył się dopiero wtedy, gdy grube paluchy istoty dotknęły jego ramienia. Udał, że rzuca się w prawo, i po ułamku sekundy skręcił w lewo.

Stwory reagowały powoli. Gdy potwór wpadł na ścianę, rozległ się donośny huk i cały budynek niemal zadrżał w posadach. Nie oglądając się za siebie, Sacha pognął do monstrum, które trzymało Louise.

Stwór popatrzył na niego pustym wzrokiem. W jednej dłoni ścisnął bezwładne ciało Louisy, tak jakby o nim zapomniał. Sacha ryknął i skoczył na niego z ostro zakończoną nogą od krzesła.

Potwór uniósł wolną rękę, żeby odparować cios, ale poruszał się zbyt ociężale. Sacha z całej siły wbił prowizoryczną dzidę w jego klatkę piersiową.

Ostrze z przerażającą łatwością zatoneło w cielsku potwora. Sacha lekko wylądował na podłodze i przykucnął, spodziewając się ciosu, który jednak nie nastąpił.

Istota ze zdumioną miną wpatrywała się w drewno sterczące z jej piersi.

Spływała z niej ciemna krew, brudząc łapsko stwora i zbierając się u jego stóp. Istota wydała z siebie niezadowolony, niemal smutny pomruk, nieudolnie chwytając kołek wolną ręką. Krwawienie się nasiliło.

Wykorzystując dezorientację i ból potwora, Sacha złapał Louise za nadgarstki i oswobodził ją jednym szarpnięciem. Wylądowała w jego ramionach, a stwór, skupiony wyłącznie na swojej ranie, nic nie zauważył.

Drugie monstrum przywlokło się do towarzysza i również chwyciło drewno, usiłując je wyrwać. Wyglądało to tak, jakby stwór kierował się zaskakująco ludzkim odruchem współczucia. Obie istoty sprawiały wrażenie zamroczonych po tym, co je spotkało, i chyba nie zauważyły, że Sacha niesie Louisę korytarzem, w kierunku bezpiecznego cienia wnęki z drzwiami.

Louisa okazała się cięższa, niż zakładał, ale to były mięśnie, nie tłuszcz. Jej skóra wydawała się niepokojąco chłodna.

Sacha położył dziewczynę na drewnianym progu i chwycił jej przeguby, usiłując wyczuć puls. Wcześniej jednak nigdy tego nie robił, więc nie wiedział jak. Czuł tylko pulsowanie własnej krwi, zbyt szybko płynącej w żyłach.

– Louisa, proszę cię... Proszę, obudź się – syknął.

Nawet nie drgnęła. Nieprzytomna, wyglądała znacznie młodziej i delikatniej niż zazwyczaj. Przynajmniej oddychała.

Sacha wychylił się, żeby sprawdzić, co ze stworami. Pierwszy nadal ścisnął koniec nogi od krzesła, która sterczała mu z klatki piersiowej. Drugi stał ze zwieszonymi rękami. Z tej odległości Sacha lepiej widział znaki na ich ciele – wypukłą, zabliznioną tkankę tam, gdzie skóra została przypalona. Z obrzydzeniem uświadomił sobie, że stwory naznaczono jak bydło.

Pierwszy ze smętnym jękiem opadł na kolana, a po chwili przewrócił się i znieruchomiał. Drugi stwór wpatrywał się w niego z osłupieniem i nagle wszystko się zmieniło. Z rykiem wściekłości porzucił ранego towarzysza i gnając jak szalony, po kolei otwierał drzwi, wpadał do pomieszczeń i wybiegał z nich coraz bardziej zdenerwowany. Szukał ich.

Usiłując zachować spokój, Sacha pochylił się nad Louisą i opuszkami palców stuknął ją w policzek.

– No już, Louisa, obudź się – wyszeptał najgłośniej, jak się odważył.

Przy drugim uderzeniu, ze świstem wciągnęła powietrze w płuca, a jej oczy się otworzyły.

– Co...?

Sacha poczuł taką ulgę, że mógłby ją uściskać.

Uniosła rękę i dotknęła twarzy, tam gdzie fioletowawy krwiak wykwitł na kości policzkowej.

– Szlag – wyszeptała. – Dorwał mnie.

Jej głos był ochrypły, ale silny.

– Owszem – przytaknął Sacha, zerkając na korytarz.

Drugi potwór się zbliżał. Ściany trzęsły się przy każdym jego kroku. Było oczywiste, że wkrótce ich dopadnie.

Louisa nadal wydawała się roztrzęsiona. Musieli się stąd wydostać, i to jak najszybciej.

Jego wzrok powędrował do jaśniejącego znaku na końcu korytarza. Wyjście znajdowało się niezbyt daleko, może w odległości pięćdziesięciu metrów. Gdyby się pośpieszyli, daliby radę.

– Zrobiło się trochę niebezpiecznie, Louisa – powiedział Sacha, starając się zapanować nad zdenerwowaniem. – Musimy się stąd zabierać. Dasz radę iść?

Popatrzyła na niego uważnie.

– Nadchodzi? – zapytała.

Tylko dwoje drzwi dzieliło ich od potwora. Sacha lekceważąco wzruszył ramionami.

– Można tak powiedzieć – odparł.

Louisa wyciągnęła rękę, żeby pomógł jej wstać. Dotąd nigdy nie prosiła o pomoc, przynajmniej nie w jego obecności. Kiedy już wstała, splunęła krwią na podłogę i poruszyła szczęką.

– Chyba nic się nie połamało. – Skrzywiła się z bólu.

Gdy się odwróciła, żeby spojrzeć na korytarz, ujrzała martwego stwora w sadzawce krwi.

– Widzę, że nie próżnowałeś – mruknęła.

Zanim Sacha zdążył odpowiedzieć, ściany zatrzęsły się od potężnego huku i drugi stwór wypadł z za drzwi. Jego nalana twarz była czerwona z wściekłości.

Louisa uniosła brwi.

– Nie mówiłeś, że miał przyjaciela.

– Właśnie zamierzałem – oznajmił Sacha.

Potwór ryknął.

– Miło było, ale... – Louisa wskazała na znak drogi ewakuacyjnej.

Sachy nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ramię w ramię rzucili się biegiem do ucieczki. Nie musiał się martwić, czy Louisa da sobie radę. Biegła szybciej od niego, niczym niebieskowłosa pocisk,

zmierzający prosto do wyjścia. Mimo dzielących ich różnic nie mógł nie podziwiać jej siły woli.

Słyszał warczenie galopującego za nimi stwora. Wydawał się niebezpiecznie blisko, ale Sacha pędził ile sił w nogach, choć czuł pieczenie w płucach, a oddech wypalał mu gardło. Przed sobą widział ciężkie, metalowe drzwi, z pewnością zamknięte. Zastanawiał się, jak do diabła zdołają się wydostać, kiedy nagle, niespodziewanie, otworzyły się szeroko.

Na progu stał wysoki mężczyzna o szerokich barkach. Jego oświetlone od tyłu przez uliczną latarnię potargane blond włosy wyglądały niczym aureola.

– Tu jesteście. – Alastair popatrzył na stwora za nimi. – A kim jest wasz przyjaciel?

Sacha chyba jeszcze nigdy nie cieszył się tak na widok drugiego człowieka. Razem z Louisą minął Alastaira i wypadł na zewnątrz. – Jest gorszy niż się wydaje! – wrzasnęła Louisa bez tchu. – Zamknij drzwi!

Alastair zatrzasnął drzwi i przyłożył dłoń do metalu w chwili, gdy potwór z nieartykułowanym rykiem szau rąbnął w nie od środka.

Alastair wzdrygnął się, nie odrywając wzroku od zamka.

Drzwi wytrzymały.

Zadyszany Sacha pochylił się i oparł ręce na kolanach, próbując złapać oddech. Teraz, gdy byli już bezpieczni, czuł, jak słabną mu wszystkie mięśnie. Ledwo trzymał się na nogach. Louisa upadła na ziemię i ręką zasłoniła oczy, oddychając ciężko.

Stwór walił z taką siłą, że zdawał się wstrząsać fundamentami budynku, ale drzwi ani drgnęły.

Wyraźnie zadowolony z siebie Alastair podszedł do Sachy.

– Co tu robiliście, do cholery? – spytał.

– To długa historia – odparł bez tchu Sacha i wskazał na Louisę. – Najpierw zajmij się nią. Jest ranna.

Alastair zmarszczył brwi i przykucnął obok Louisy.

– Wyglądasz jak z krzyża zdjęta, Lou – oświadczył. – Co się stało?

W odpowiedzi machnęła lekceważąco ręką.

– Jeden z tych stworów mnie dopadł. – Podpierając się rękami, ostrożnie usiadła. – Sacha uratował mi tyłek. – Skinęła głową. – Przy okazji, dzięki. Mam u ciebie dług.

Sacha poczuł taką dumę, że aż się zarumienił, ale próbował to ukryć.

– To nic takiego – oświadczył obojętnie.

Przerwała im seria ciężkich łupnięć. Stwór rzucał się na drzwi, najwyraźniej nie dając za wygraną. Louisa spojrzała na Alastaira.

– Wytrzymają?

– Wytrzymają. – Złapał ją za rękę i pociągnął, żeby wstała. – Ale są też inne drzwi. Zabierajmy się stąd.

Gdy Taylor przebudziła się z niespokojnego snu, nie miała pojęcia, gdzie jest. Słońce wpadało przez łukowate okna, więc podniosła rękę, żeby osłonić oczy.

– Ha, w końcu się budzi – rozległ się niezadowolony głos z niemieckim akcentem.

Poruszona Taylor natychmiast usiadła. Zeitinger siedział przy biurku po drugiej stronie pokoju i trzymał w dłoni niezapaloną fajkę. Taylor opuściła rękę i poczuła pod sobą miękką skórę podniszczonej sofy. Przeniosła wzrok na sterty książek, poprzekrzywiane obrazy na ścianach i walające się wszędzie papiery.

Wszystko wróciło jednocześnie. Jej reakcja na księgę. Upór niemieckiego profesora, który twierdził, że w tym tomisku znajdują wszystkie odpowiedzi.

Po wyjściu z gabinetu dziekana skierowali się prosto do małego, zabałaganionego gabinetu Zeitingera, gdzie regały uginały się pod ciężarem masywnych woluminów, a na olejnych obrazach widniały nieznane Taylor twarze. Gabinet tak bardzo przypominał jej niewielkie mieszkanie dziadka, że poczuła ukłucie bólu w sercu.

Profesor najwyraźniej zapomniał o jej obecności, gdyż zajął się pracą, mamrocząc pod nosem po niemiecku. Taylor bardzo długo czekała, aż powie jej, co powinna zrobić, jednak się nie doczekała. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zasnęła, ale w pewnym momencie musiała odplłynąć.

Skierowała wzrok na swoje nogi. Okazało się, że są przykryte spleśniałym, czerwono-zielonym kocem w szkocką kratę, którego wcześniej tam nie było.

Wyglądało na to, że profesor w ogóle nie spał. Miał potargane włosy i ścisnął zimną fajkę niczym linę ratunkową. Otwarta księga leżała przed nim na biurku, obok notesu wypełnionego sporządzanymi na gorąco zapiskami.

– Przepraszam. – Taylor potarła oczy. – Nie chciałam zasnąć.

– Sen jest niezbędny – odparł z powagą profesor.

– Czy coś się wydarzyło?

Zeitinger z ponurą satysfakcją skinął głową.

– Postęp – odparł zwięźle.

– Postęp? – Jeszcze bardziej się wyprostowała. – Jaki postęp?

Znalazł pan coś?

Przewrócił kilka kartek w notesie, a wtedy Taylor zauważyła, że wszystkie strony są wypełnione identycznym niewyraźnym pismem.

– Przetłumaczyłem wiele rozdziałów i mogę potwierdzić, że miałem rację. – Postukał palcem w biurko. – Oto księga, której szukaliśmy.

– Jest tam coś? – spytała z ożywieniem. – Znalazł pan informacje, jak pomóc Sachy?

– Niezupełnie.

Entuzjazm Taylor natychmiast przygasł.

– Jak to: „niezupełnie”?

– Pierwsze rozdziały opisują, jak Falkenstein usiłował zrozumieć istotę mrocznych praktyk. Tak jak się spodziewałem. – Profesor postukał pustą fajką o dłoń, jakby wytrząsał niewidzialny popiół. Robił to odruchowo, jego myśli krążyły wokół czegoś innego. – Była to skomplikowana i niebezpieczna praca, której kilka razy omal nie przypłacił życiem. Lub duszą, jeśli wierzy się w takie rzeczy. Dmuchnął w fajkę i przechylił ją, przyglądając się jej uważnie.

– Czekawa rzecz – ciągnął, mimowolnie zamieniając „ć” w „cz.” – Teraz już wiem, że Cornelius von Falkenstein rozumiał, na czym polegają mroczne praktyki. Pojmował to lepiej niż jakikolwiek inny człowiek. Myślę, że stał na krawędzi bardzo stromej przepaści i zastanawiał się, czy skoczyć. Moim zdaniem był dzielny i pełen gniewu. Gniew bywa użyteczny, jednakże czasem... czasem potrafi zaślepić, przez co tracimy z oczu sens życia.

Taylor dostrzegła niepokój profesora. Zeitinger marszczył brwi i nerwowo obracał starą, zakrzywioną fajkę w sękatych dłoniach. Popatrzył Taylor w oczy.

– Moja droga pani, Falkenstein udowodnił, że mrocznym praktykom można się przeciwstawić. Ale to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne.

Taylor zdrętwiała.

– Jak niebezpieczne? – odważyła się zapytać.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Jego zdaniem zwalczanie mrocznych praktyk najprawdopodobniej doprowadzi do śmierci każdego, kto bierze w tym udział – odparł.

Taylor momentalnie zaschło w ustach.

– Każdego? – wyszeptała z trudem.

– Każdego.

Odniosła wrażenie, że podłoga kołysze się pod jej stopami. Przeszłaby przez to wszystko, żeby ocalić Sachę, a potem oboje i tak mieliby zginąć? To nie mogła być prawda. Musiało istnieć jakieś wyjście.

– Ale jemu się udało, prawda? – Oskarżycielskim gestem wskazała księgę. – Falkenstein zdjął mroczną klątwę i przeżył.

– Raz. – W głosie Zeitingera słychać było powagę. – Udało mu się to raz, po latach prób. My nie mamy czasu na błędy.

– Ale pana zdaniem możemy to zrobić? – Tym razem wskazała na jego notatki. – Uważa pan, że damy radę?

Profesor wyraźnie się zawahał.

– Wierzę, że jest to możliwe – przyznał w końcu. – Ale zaręczam, że nigdy nie robiła pani nic równie trudnego. Musi pani być bardzo dzielna. – Popatrzył na nią spod zmarszczonych białych brwi. – Czy jest pani dzielna, panno Montclair?

Nie uważała się za dzielną, ale odmowa nie wchodziła w grę. Jeśli jej dziadek miał rację i klątwa mogła przywołać demona, który zabije wszystkich jej bliskich, to nie była kwestia odwagi, lecz przetrwania.

– Będę dzielna – odparła, jednak nawet ona słyszała, jak nieprzekonująco to zabrzmiało.

Na pomarszczonej twarzy profesora na moment pojawiło się współczucie. Zeitinger położył fajkę na notatkach.

– A zatem... – W stał tak raptownie, że krzesło odjechało i uderzyło o ścianę. – Musimy zacząć uczyć panią metod Falkensteina. Chyba potrafimy już zrozumieć, jak pracował, i wiemy, jak przygotować panią na to, co panią czeka. Najpierw jednak musi pani coś zjeść, żeby nie

umrzeć z głodu. Ja zaś muszę porozmawiać z dziekanem. – Popatrz na zegarek. – Zaczynamy za godzinę.

Taylor biegła przez całą drogę do akademika w budynku Newtona i popędziła po kamiennych schodach prosto do swojego pokoju. Przez jej głowę przelatywały rozmaite myśli.

„Dam radę. Ale mogę umrzeć. Dam radę. Ale...”

W nocy bateria w jej telefonie się wyczerpała, więc Taylor podłączyła go teraz do ładowarki. Złapała ręcznik i wpadła pod prysznic, gdzie szorowała głowę dużo gwałtowniej, niż to było konieczne. Kiedy znacznie spokojniejsza wyszła spod wody, czuła, że sobie poradzi.

Przygotowując się do spotkania z profesorem, wróciła do tego, czego się dowiedziała. Postanowiła, że potraktuje to jako coś w rodzaju eksperymentu naukowego albo diabelsko skomplikowanego problemu rachunkowego. Gdy podchodziła do tej kwestii jak do egzaminu, już się tak nie bała. Z egzaminem mogła się uporać.

Zdażyła się ubrać i właśnie zamierzała wyjść z pokoju, gdy rozległo się głośne brzęczenie telefonu.

Serce Taylor zabiło mocniej. Sacha nie odzywał się od wieków. Pewnie SMS-ował teraz, pytając, gdzie się podziała. Kiedy jednak podniosła telefon z biurka, nie zobaczyła imienia Sachy nad SMS-em. Napisała do niej mama.

Cześć, skarbie. Wczoraj wieczorem nie miałam okazji z Tobą porozmawiać. Miłego dnia. Myślisz, że będziesz mogła wpaść w weekend? Zrobię lasagne. Przynieś pranie. Ems też cię całuje. Buziaki.

W oczach Taylor nieoczekiwanie pojawiły się łzy. Tęsknota za matką sprawiała jej wręcz fizyczny ból. Tęskniła też za swoim pokojem, przyjaciółką, irytującą siostrą. Co najgorsze, mama wierzyła, że jej córka jest tu bezpieczna.

Taylor przysunęła telefon do ust.

– Nie jestem bezpieczna – wyszeptała, ale nikt tego nie słyszał.

Otarła łzy z policzka i wystukała szybką odpowiedź.

Cześć, Mamo. Wszystko ekstra. Mam urwanie głowy. Mnóstwo nauki. Nie wiem, co z weekendem. Spytam. Baw się dobrze! Ucałowania dla Ems. Buziaki.

Tak wiele kłamstw w tak niewielu zdaniach.

Położyła telefon na biurku i uciekła z pokoju, zanim mama zdążyła wysłać odpowiedź.

Jadalnia w Kolegium Świętego Wilfreda należała do najpiękniejszych pomieszczeń na uczelni. Stoły z polerowanego dębu ustawiono w długich rzędach, perfekcyjnie symetrycznie, a każdy z nich otoczony był ozdobnie rzeźbionymi krzesłami. Pośrodku każdego z wysokich okien na ścianie z tyłu widniał czerwono-złoty szkolny herb w formie witrażu. Pozostałe ściany wyłożono błyszczącym dębem i ozdobiono olbrzymimi olejnymi portretami dawnych znakomitości, które, zawieszane pod wysokim sufitem z belkami stropowymi, patrzyły nieruchomym wzrokiem na jedzących.

W pomieszczeniu panował tłok. Głosy studentów odbijały się od ścian ogłuszającym echem, kiedy Taylor weszła do środka. Wszędzie wokół siebie słyszała urywki rozmów.

– Will go widział. Podobno wyglądał nieludzko.

– Nie mogą ciągle udawać, że to nic poważnego.

– Dlaczego nie powiedzą prawdy?

– Chodzi o nich, no nie? O tego przystojniaka z Francji i o blondynkę.

Gdy tylko studenci zauważyli, że Taylor stoi przy bufecie z tacą w dłoni, momentalnie zrobiło się ciszej. Syk szeptów zastąpił głośne rozmowy.

Nie podnosząc głowy, Taylor napelniła talerz jajkami, bekonem i tostami, a do tego naląła sobie kubek gorącej herbaty z olbrzymiego, miedzianego termosu. Spojrzenia studentów ją przerażały i onieśmiały, ale tylko tutaj mogła coś zjeść.

Po chwili odetchnęła głęboko i się odwróciła. Ci najbliżej niej w pośpiechu przenieśli spojrzenia gdzieś obok. Inni byli bardziej bezczelni i nawet nie udawali, że się na nią nie gapią.

Na widok Alastaira i Louisy, którzy siedzieli w kącie sali, rozmawiając cicho, Taylor poczuła nieopisaną ulgę. Alastair pomachał jej ręką, odgarnął książki i notatniki, po czym przesunął krzesło. – Jak poszło w nocy z profesorem? – zapytał, gdy Taylor usiadła.

Poczęstowała się jajkiem i przez chwilę żuła w milczeniu. Doszła do wniosku, że lepiej będzie nie mówić im wszystkiego od razu.

– Podobno na coś wpadł – odparła wymijająco. – To niebezpieczne, ale uważa, że znajdziemy odpowiedź w księdze.

– To dobrze – oświadczył Alastair. – Naprawdę dobrze.

Było oczywiste, że słuchał jednym uchem. I on, i Louisa wydawali się nieobecni, a w powietrzu wisiało niewypowiedziane napięcie. Louisa, nietypowo dla siebie, milczała i prawie nie patrzyła na Taylor. – Co się dzieje? – Taylor zmarszczyła brwi. – Czy coś się stało?

Alastair wskazał ręką Louise, jakby chciał, żeby to ona odpowiedziała.

– Mortimer ma nowych pomagierów – odparła Louisa z wyraźną niechęcią. – Wielkich i paskudnych. I cholernie ciężko z nimi walczyć. Odwróciła się do Taylor. Światło wpadające przez okna oświetliło opatrunek nad jej okiem i brzydki, fioletowy siniak z boku twarzy. Widelec wypadł z dłoni Taylor i wyśladował z brzękiem na blacie.

– Znowu był atak? – Taylor spoglądała raz na Louise, raz na Alastaira. – Co się działo? Dlaczego nikt mi nie powiedział? Czy nikomu nic nie jest?

Louisa uniosła rękę, żeby powstrzymać ten strumień pytań.

– To nie stało się tutaj. – Udawała, że nie widzi oskarżycielskiego spojrzenia Alastaira. – Wczoraj wyszłam szukać Mortimera. Nie znalazłam go, za to znalazłam te nowe stwory. – Wskazała na księgi oraz dokumenty na stole. – Alastair i ja próbujemy sprawdzić, kim są, żeby wiedzieć, jak je zabić. – Z westchnieniem podniosła kubek. – Jak dotąd szczęście nam nie dopisuje.

– Jesteś poważnie ranna? – Taylor wpatrywała się w jej siniak. – Wyglądasz okropnie.

– Chciałabym, żeby ludzie wreszcie przestali mi mówić, jak paskudnie wyglądam – burknęła Louisa. – To mi szkodzi na ego. – To nie sińce są najgorsze – odezwał się Alastair. – Najgorsze, że chyba nie ma sposobu na pokonanie tych stworów.

Wziął ze stołu kartkę i odwrócił ją tak, żeby Taylor mogła się przyjrzeć niewyraźnemu, czarno-białemu zdjęciu, zapewne z kamery przemysłowej. Widniał na nim potężnie zbudowany mężczyzna, absurdalnie umięśniony, z dziwnymi symbolami na twarzy i rękach. Jego wściekłe oczy były ledwie widoczne w nabrzmiałej twarzy.

Taylor odwróciła się do Louisy.

– To coś cię pobiło?

Louisa skinęła głową.

– Przystojniak z niego, co? – mruknęła zgryźliwie.

– Coś z nim jest nie tak. – Taylor wpatrywała się w olbrzymiego stwora.

Nawet na ziarnistym zdjęciu oczy mężczyzny wyglądały jak ciemne studnie nienawiści i udręki.

– Przez całą noc szukaliśmy informacji. – Alastair wypił łyk kawy. – Wygląda na to, że ten potwór był człowiekiem, dopóki Mortimer nie zastosował jakichś naprawdę mocnych mrocznych praktyk. – Pochylił się i wskazał ślady na ciele stwora. – Te symbole są wypalone na skórze. Wykorzystuje się je w ceremonii ożywienia.

– Ożywienia?

– Sprowadzenia kogoś ze świata zmarłych.

– Ze świata zmarłych...? – Taylor szeroko otworzyła usta. – To chyba niemożliwe, prawda?

Alastair przetarł zmęczone oczy.

– Nic z tego nie powinno być możliwe – odparł. – A jest.

– Mortimer potrafi ożywiać ludzi? – Taylor nie była w stanie przyjąć tego do wiadomości. – Przecież to oznacza, że może mieć całą armię tych... zombie.

– Może, ale wąpimy, żeby miał – oznajmiła Louisa. – Gdyby dysponował armią, wysłałby ją przeciwko nam, a napuścił na nas tylko dwa stwory. Teraz został jeden, dzięki Sachy.

– Dzięki Sachy? – Taylor wpatrywała się w Louise. – A co on tam robił?

Louisa unikała jej wzroku.

– To moja wina – wyznała. – Zabrałam go ze sobą na poszukiwanie Mortimera i... – Co zrobiłaś?

Taylor nie mogła uwierzyć własnym uszom. Sądziła, że Sacha spał, a on przez cały czas...

Nagle wpadła w panikę.

– Gdzie on jest? Jest ranny?

– Wszystko z nim w porządku – zapewnił ją Alastair krzepiącym tonem. – Tylko Lou udało się oberwać.

Zdumienie Taylor zamieniło się w dezorientację i gniew.

– Nie rozumiem. Co Sacha tam robił? Przecież Mortimer mógł go zabić. To było bardzo niebezpieczne.

Louisa pochyliła głowę. Wydawała się wręcz niezwykle skruszona.

– Wiem, że to było głupie, okej? – burknęła nieco niechętnym tonem.

– Po prostu nie umiem prowadzić. Potrzebny mi był jego motocykl.

Taylor otworzyła usta jeszcze szerzej niż poprzednio, lecz zanim zdążyła naskoczyć na Louise, Alastair postanowił interweniować.

– To był okropny pomysł i okropny powód, dla którego na to wpadła – powiedział. – Ale przynajmniej wiemy, z czym się mierzymy. Louisa rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie, po czym szybko zmieniła temat.

– Te potwory mają w sobie jakąś wyjątkową moc, którą zawdzięczają naszemu przyjacielowi Mortimerowi – wyjaśniła. – Przerobił je po swojemu, żeby korzystały z naszych umiejętności. Atakujemy stwory, a one pochłaniają energię, która ma je unieszkodliwić. W rezultacie to nas osłabia na pewien czas i trudno nam z nimi walczyć. Stajemy się łatwiejszym celem.

– Jak to działa? – zapytała Taylor. – Można to jakoś obejść?

Tym razem odpowiedział Alastair.

– Mroczne praktyki służą do kontrowania naszych umiejętności, pod każdym względem – wyjaśnił. – To yin dla naszego yang. Mają kopiować to, co potrafimy, ale w zdeprawowany, demoniczny sposób. Mortimer zaprojektował stwory tak, żeby robiły to bardzo sprawnie. Kiedy z nimi walczymy, stają się potężniejsze.

– I większe – dodała Louisa ponuro. – Fizycznie większe. Jestem pewna, że rosną na naszej mocy.

– Nie wiem, jak to możliwe. – Alastair pokręcił głową.

– Ty z nimi nie walczyłeś – warknęła Louisa, a on spiorunował ją wzrokiem.

Walczylibym, gdybyś do mnie zadzwoniła.

Taylor domyślała się, że te wzajemne pretensje trwają już od pewnego czasu.

– Skoro nie możemy korzystać z naszych umiejętności, to jak mamy pokonać te stwory? – zapytała, zanim dyskusja przerodziła się w kłótnię.

Louisa podniosła zdjęcie i przyjrzała się uważnie dziwacznej, zwalistej postaci.

– Trzeba zabijać je tak, jak się zabija ludzi – oznajmiła bez cienia współczucia. – To jedyny sposób. Szybko i bez skrępułów. Należy od razu celować w serce.

Przez kilka następnych godzin Taylor na przemian niecierpliwiła się i denerwowała w gabinecie profesora Zeitingera.

Jeszcze nie miała okazji porozmawiać z Sachą. Po śniadaniu pobiegła do jego pokoju, ale okazał się pusty. Od tamtego czasu tkwiła przy profesorze.

Chciała pogadać z Sachą, usłyszeć jego wersję wydarzeń i sprawdzić, czy naprawdę nic mu się nie stało. Może zapytać, dlaczego naraził się na takie ryzyko. Nie mogła jednak tego zrobić.

Na dodatek nie wiedziała, po co właściwie tkwi w gabinecie profesora. Przez większość czasu Zeitinger mamrotał pod nosem i sporządzał notatki swoim ciasnym, niewyraźnym pismem.

W końcu Taylor zaczęła szukać drogi ucieczki.

– Może wyskoczyłabym na chwilę... – zasugerowała, gdy minęło południe.

Profesor zerknął na nią z dezaprobatą i pokręcił głową.

– Jesteśmy już blisko – powtarzał, stukając w księgę pustą fajką, i wracał do pracy. – Bardzo blisko.

W znajdującym się na szczycie budynku wydziału historii gabinecie panowała cisza, zakłócana jedynie przez skrobanie długopisu o papier. Profesor czasem mówił coś do siebie, kiedy odkrył coś interesującego.

Wielce pomysłowe, Herr Falkenstein – odezwał się w pewnym momencie ze szczerym podziwem w głosie.

Z zewnątrz dobiegały okrzyki i śmiechy. Raz czy dwa, na poziomie sal lekcyjnych, dało się słyszeć odgłosy bieganina i Taylor poczuła się całkiem odcięta od świata.

Przysypiała na sofie, kiedy obudziło ją nagłe szuranie krzesła odsuwane od biurka.

– Już – oznajmił Zeitinger. – Przeprowadzimy eksperyment.

Taylor wyprostowała się gwałtownie.

– Jestem gotowa. – Nawet nie próbowała ukrywać ulgi. – Co mam robić?

Profesor zerknął na nią znad oprawek okularów.

– To będzie niebezpieczne, panno Montclair – podkreślił z powagą.
– Wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z tą księgą, jest niebezpieczne. Zwłaszcza dla pani. Proszę to sobie wziąć do serca. Metodycznie posprzątał blat, usuwając z niego papiery i szpargały.

– Dla mnie to księga pełna historycznych odniesień. A dla pani? – Podsunął jej tom. – Przed panią może otworzyć wrota piekieł. – Obrócił wolumin. – Proszę.

Zbliżyła się do niego o krok. Jej wcześniejsze ożywienie wyparowało.

– Co pan mówił o piekle? – zapytała, nagle pełna wątpliwości.

– Księga opisuje sposób porozumiewania się z demonami. – Zeitinger był teraz śmiertelnie poważny. – Badania Falkensteina ujawniły istnienie przejścia, które służy do nawiązywania kontaktu. Rzecz w tym, że sposób ten sprawdza się wyłącznie w wypadku osób, z którymi demony chcą się skontaktować. – Pochylił się nad biurkiem. – Wczoraj pokazały mi, że pragną rozmawiać właśnie z panią.

Taylor przełknęła ślinę.

Otwarta księga leżała na ciemnym blacie. Jej karty miały kolor starej kości słoniowej, a na każdej stronicy widniały symbole – po części zwyczajne, alchemiczne, po części całkiem nieznanne. Kręte linie i ciemne wijące się strzałki wydawały się zarazem znajome i niebezpiecznie obce, niczym dawny, przypadkowo napotkany nieprzyjaciel.

Co mam zrobić? – Usłyszała niepewność w swoim głosie.

– Te symbole niosą przekaz – wyjaśnił profesor. – Powiem pani, co ma pani mówić. Księga panią rozpozna i przypuszczam, że demon również.

Kazał jej nauczyć się na pamięć zdania, które musiała powtarzać raz za razem, aż opanowała je do perfekcji.

– Jeśli Falkenstein miał rację, wystarczy, że pani zacznie, a odpowiedzi same się pani nasuną – dodał. – Nie muszą to być odpowiedzi, których pani oczekuje.

Cofnął się, żeby dać jej przestrzeń.

– Proszę zacząć, kiedy będzie pani gotowa.

Czując lodowaty strach w żołądku, Taylor ostrożnie wyciągnęła rękę do książki. Nie chciała tego robić, ale nie pozostał jej żaden wybór. Podobnie jak poprzedniej nocy, wyczuła księgę, zanim jej dotknęła. Wolumin zdawał się ją przyciągać, a ona nie potrafiła przeciwstawić się jego sile.

Mroźny podmuch zwał włosy Taylor, gdy niemal dotykała papieru.

– Teraz! – krzyknął Zeitinger.

– Lordzie Abaddonie! – zawołała, przekrzykując szum wiatru. – Ja, Taylor Montclair, potomkini Isabelle, pokornie błagam, byś mnie wpuścił i wysłuchał.

W tym momencie dotknęła stronic książki.

Odniosła wrażenie, że powietrze uciekło jej z płuc. Pokój zniknął. Teraz spadała na łeb na szyję w nicość. Niczego nie widziała, niczego nie czuła – z wyjątkiem powietrza, które świszczowało wokół niej. Na próżno usiłowała krzyknąć. Wyciągnęła rękę, lecz nie miała się czego złapać.

Nagle otoczyła ją ciemność. Taylor znieruchomiała, a czas się zatrzymał.

Wokół panowała absolutna cisza. Już nie było słychać śmiechów zza okien. Zeitinger zniknął bez śladu razem ze swoim gabinetem. Taylor była całkowicie sama. Nawet nie słyszała własnego oddechu. Nie spadała, ale i nie stała. Zawisała w nicości. Nie była nikim ani niczym.

Przepęłniały ją okropna samotność i ból. Czuła się całkiem opuszczona i cierpiała, a do tego pałała mściwą, morderczą wściekłością.

Każda negatywna emocja, jaką kiedykolwiek odczuła, zwielokrotniła się w sposób niewyobrażalny dla człowieka. Nienawidziła i pragnęła zabić.

„To nie moje myśli – powtarzała sobie. – To coś innego, coś demonicznego”.

Próbowała sobie przypomnieć, kim jest i w co wierzy, jednak świat znajdował się zbyt daleko, żeby być prawdziwy. Prawdziwa była tylko nienawiść, którą czuła.

Taylor nie wiedziała, ile czasu tam spędziła – miała wrażenie, że całe życie – kiedy w końcu rozległ się głos.

– Córo Isabelle Montclair. Śmiesz oczekiwać rozmowy ze mną? – Głęboki i pusty, zdawał się dobiegać zewsząd. Ze wszystkiego.

Wiedziała, kto to.

– Tak właśnie jest – odparła.

Jej głos brzmiał pewnie i ociekał wściekłością. Nie miała pojęcia, jak to możliwe. Czuła się tak, jakby ktoś przez nią przemawiał.

– Czego poszukujesz?

– Mocy.

Odpowiedź przyszła bez wahania, jednak Taylor nie wiedziała, skąd się wzięła ta myśl. Profesor nie mówił jej, jak ma odpowiadać na pytania.

Była to jednak prawda. Pragnęła mocy. Marzyła o niej.

– Dlaczego jej poszukujesz? – zapytał głos.

Odpowiedź raz jeszcze była gotowa i tylko czekała na Taylor.

– Dla zemsty.

– Na kim? – Głos demona był równie pozbawiony emocji jak jej własny.

– Na tych, którzy pragną skrzywdzić Sachę Wintersa. – W głębi duszy wiedziała, że to rozgniewa demona.

Nie pomyliła się.

Ryk furii niemal ją ogłuszył. Cofnęła się, jednak nie miała się gdzie ukryć.

– Sacha Winters należy do mnie. Nie ocalisz go.

Pragnęła milczeć, uciec stąd jak najszybciej, a jednak słowa same wydostały się z jej ust.

– Ocalę go – wycedziła lodowatym tonem. – I zniszczę każdego, kto spróbuje go skrzywdzić. Wysłuchaj mnie, Abaddonie. Nie dostaniesz go.

Znów usłyszała wściekły ryk.

– Kłamstwa. – Furia sprawiła, że głos demona stał się ostry jak brzytwa. – Śmiesz igrzać z mroczną mocą, córo Isabelle? Śmiesz wdzierać się do mojego królestwa i rzucać mi wyzwanie?

Strach zmroził Taylor. Posunęła się za daleko. Dlaczego to mówiła? Dlaczego to się w ogóle działo? Dlaczego nie potrafiła się

powstrzymać?

Ta część niej, która odpowiadała za rozsądek i spokój, tutaj całkiem ucichła. Pozostała tylko wściekłość.

Wtedy Taylor znów usłyszała swój głos.

– Wiedz, że to prawda, Abaddonie – oznajmiła bez lęku.

Nie zdążyła dodać nic więcej. Coś wysunęło kończyny z ciemności i chwyciło ją za rękę, zatapiając szpony w skórze i mięśniach. Po chwili poczuła, jak rozdziera jej lewą dłoń. Zabolało, jakby przypalano ją żywym ogniem.

Wrzasnęła, próbując się wyrwać, ale nie mogła się poruszyć. Coś ją unieruchomiło.

– Pozostawię na tobie mój ślad – oznajmił głos. – Pamiętaj: jeśli ośmielisz się rzucić mi wyzwanie, umrzesz.

Walczyła z całym siłą, nie mogąc złapać oddechu ani pomyśleć.

Nagle ktoś ją spoliczkował i znów zapadła się w ciemność.

– Panno Montclair!

To był głos Zeitingera z jego niemieckim akcentem.

Już nie było jej zimno. Czuła pod sobą coś twardego. Ciepłe powietrze owiało jej twarz. Wzdrygnęła się i z trudem uchyliła powieki. Promienie złocistego popołudniowego słońca wpadały przez okno. Taylor zmrużyła oczy. Leżała na podłodze w gabinecie Zeitingera, a nad sobą widziała przejętą twarz profesora. Pozbierała się z trudem i oparła o sofę.

– Gdzie to jest? – Rozejrzała się nerwowo po pokoju. – Gdzie jest to coś?

– Jest pani bezpieczna. – Zeitinger podniósł rękę. – Daję słowo, że tu pani nie dopadnie. Proszę opowiedzieć, co się zdarzyło.

Z początku się zacinała, ale udało się jej opowiedzieć o wszystkim, co zapamiętała – o upadku, ciemności, dziwnej furii i wrażeniu, że jest opętana. A także o bólu.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że w lewej ręce nadal czuje piekące rwanie. Opuściła wzrok i jęknęła.

Na dłoni miała trzy świeże nacięcia, a po jej palcach spływała krew. Wyglądało to tak, jakby coś wbiło w nią pazury.

– O mój Boże – wyszeptała. – Mówił, że pozostawi na mnie swój ślad. To się działo naprawdę.

– Obawiam się, że tak.

Gdy tak siedziała, w odrętwieniu wpatrując się w swoją dłoń, Zeitinger wyszedł. Wrócił po chwili, z trudem ugiął kolano i przykucnął obok niej, po czym posmarował środkiem dezynfekującym jej dłoń i owinął ją czystą, białą chustką, którą starannie zawiązał na przegubie dziewczyny.

Taylor nawet nie drgnęła. Była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Machinalnie zarejestrowała, że księga nadal leży na biurku, ale zamknięta, i doszła do wniosku, że nawet okładka woluminu ocieka niegodziwością.

Przypomniała sobie to uczucie, gdy przemawiała do demona – jak nagle zapragnęła mocy, jak obojętne stały się jej zasady moralne, jak demon zdawał się nią zawładnąć – i poczuła się zagubiona.

– Co się ze mną działo, panie profesorze? – zapytała cicho. – Kiedy rozmawiałam z tym... demonem, mówiłam rzeczy, w które nie wierzę.

To nie byłam ja...

Zeitinger nie wydawał się zdziwiony.

– Jest dokładnie tak, jak podejrzewałem. Demon panią zna. Łączy was więź. – Podniósł się z trudem i wskazał Taylor sofę. – Niech mi pani jeszcze raz opowie, co mówił. Proszę niczego nie pomijać.

Wiele razy odtwarzała z pamięci przebieg zdarzeń. Zeitinger siedział przy biurku i z początku robił notatki, a potem już tylko słuchał z fajką w dłoni. Taylor siedziała na sofie, przyciskając kraciasty koc do piersi i próbując przypomnieć sobie każdy aspekt sytuacji.

Dopiero kiedy zaszło słońce, profesor pozwolił jej skończyć. Wydawał się usatysfakcjonowany.

– Nadal nie rozumiem własnych uczuć ani tego, co powiedziałam. – Taylor podtrzymywała skaleczoną rękę.

– To, co pani czuła, czyli moc i gniew, jest teraz w pani – oznajmił łagodnie. – Jest w każdym z nas. Wszyscy mamy w sobie mieszankę dobra i zła. Demon odnalazł w pani gniew i przyciągnął go do siebie. Trafiła pani do świata zła i do ciemności, która tam króluje. – Odłożył fajkę. – Proszę nie spodziewać się tęczy w piekle, panno Montclair. Nie znajdzie jej tam pani.

– Zostawił na mnie ślad. – Wyciągnęła rękę. – Co to znaczy?

Zeitinger wyraźnie się zawahał.

– To znaczy, że traktuje panią poważnie. Chce od razu panią rozpoznać, kiedy zjawi się pani ponownie. Pragnie też, aby inni wiedzieli, że należy pani do niego.

– Ale ja nie... – próbowała mu przerwać, jednak nie dopuścił jej do głosu.

– Teraz najważniejsze jest to, że eksperyment okazał się sukcesem – oświadczył nieoczekiwanie. – Wiem, co należy zrobić, żeby pokonać Mortimera Pierce’a. Trzeba sprowadzić chłopca.

– Sachę? – Zmarszczyła brwi.

– Proszę go znaleźć. – Oczy Zeitingera zaśniły. – Niech przyniesie księgę swojej rodziny. Będzie wiedział, o co mi chodzi.

– A co jego książka ma wspólnego z tym wszystkim? – spytała Taylor ze zdziwieniem.

Profesor niecierpliwie machnął ręką.

– Proszę przyprowadzić chłopca, a powiem wam obojgu – odparł. Gdy po chwili Taylor wychodziła z budynku, czuła się oszołomiona, a jej ręka pulsowała pod prowizorycznym opatrunkiem.

Nie wiedziała, która jest godzina ani co teraz robi Sacha. Nie miała przy sobie komórki. Z braku lepszego planu postanowiła zacząć od jego pokoju.

Było ciemno i w akademiku Newtona paliły się światła. Na korytarzu na piętrze Sachy panował spokój. Większość drzwi pokryta była osobistymi notatkami i zdjęciami. Na niektórych wisiały białe tablice, gdzie przyjaciele zostawiali wiadomości, często wulgarne albo obraźliwe.

Drzwi Sachy były kompletnie puste. Na ciemnym, starym drewnie widniał jedynie numer pokoju: 473. To ich łączyło. Drzwi Taylor również były puste.

Zapukała niepewnie.

– Sacha, to ja – odezwała się półgłosem.

Drzwi natychmiast się otworzyły.

Sacha miał na sobie szarą koszulkę i zniszczone džinsy. Był boso. – Taylor, gdzieś ty była? Dzwoniłem i dzwoniłem. – Wyglądało na to, że naprawdę mu ulżyło na jej widok.

– Musiałam iść do profesora Zeitingera. – Przyglądała się uważnie jego twarzy w poszukiwaniu obrażeń. – Wszystko w porządku? Louisa

mówiła mi, co się stało.

– Nic mi nie jest – odparł niecierpliwie. – Dlaczego nie odbierasz? – Bateria mi się wyładowała. Zostawiłam telefon w pokoju, żeby się naładował.

– Bon sang, Taylor – upomniał ją. – Wystraszyłaś mnie. Nie rób tego więcej.

Po tym ciężkim dniu jego troska sprawiała jej przyjemność. Chciała opowiedzieć mu wszystko o profesorze, księdze i demonach, ale Zeitinger nalegał na pośpiech, więc raczej nie było na to czasu.

– Przepraszam. Później wezmę telefon. Teraz musisz iść ze mną. Zeitinger, ten profesor, coś znalazł i chce, żebyś przyniósł książkę – trajkotała. – Wiesz, tę o twojej rodzinie.

– A na co mu ona? – Sacha zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Powiedział, że masz ją przynieść. – Mówiąc to, uniosła rękę.

Sacha zauważył opatrunek na jej dłoni i chwycił ją za nadgarstek.

– Jesteś ranna? Co się stało?

– To długa historia – odparła. – Mogę wyjaśnić po drodze? Widziała, że chciał poznać fakty już teraz, ale mimo to puścił jej rękę i cofnął się o krok, aby weszła.

– Sekundę – powiedział. – Tylko włożę buty.

Jego pokój był mniejszy niż jej i bardziej zabałaganiony. Po całej podłodze wałały się ubrania, a stosy książek i papierów piętrzyły się na ciemnoszarej kołdrze przykrywającej wąskie łóżko. Na pełnym rozmaitych przedmiotów biurku jaśniał otwarty laptop.

Sacha zauważył, że Taylor przygląda się bałaganowi, i wzruszył ramionami.

– Sprzątaczką wyjechała na wakacje – wyjaśnił.

Z powodu francuskiego akcentu miał trudności z wymówieniem „ch”. Wijeła. Taylor doszła do wniosku, że to urocze.

– Moja też – zapewniła go. – Trudno o zastępstwo.

Uśmiechnął się do niej z ironią.

– Twoja sprzątaczką nie miewa wolnego – odparł. – U ciebie jest zawsze idealny porządek.

Taylor, która walczyła z przemożną chęcią ułożenia papierów na jego biurku, nie zaprotestowała. Sacha klapnął na nieposłane łóżko,

po czym włożył skarpetki i czarne trampki Converse.

– Jest tutaj. – Zdjął cienką, starą książkę ze szczytu stosu na łóżku i wręczył ją Taylor.

Gdy sznurował buty, z ciekawością spoglądała na okładkę. Sacha opowiadał jej o tej księdze dawno temu. To była ręcznie spisana historia jego rodziny.

Do czego potrzebował jej profesor Zeitinger?

Sacha zerwał się z łóżka, zdjął z drzwi bluzę z kapturem i włożył ją, gdy wychodzili na korytarz. Taylor podała mu książkę, a wtedy ich palce się zetknęły, a spojrzenia skrzyżowały. Taylor oblała się rumieńcem i natychmiast odwróciła wzrok.

Ruszyli w dół schodów.

– Gdzie wczoraj byłaś? Pukałem do ciebie wieczorem, ale cię nie zastałem – powiedział tonem zbyt obojętnym, żeby uwierzyła w tę obojętność.

Taylor miała wrażenie, że jej serce na moment przestało bić.

– Zasnąłam w gabinecie profesora – odparła.

Sacha zatrzymał się i rzucił jej spojrzenie, którego nie potrafiła rozszyfrować. Wydawał się niemal zazdrosny.

– No więc co się stało? Mówiłaś, że powiesz. To on cię skrzywdził? – W skazał opatrunek.

Pokręciła głową tak mocno, że jej loki się uniosły.

– Znaleźliśmy demoniczną księgę – wyjaśniła. – To ona mnie zraniła.

Sacha zmarszczył czoło.

– Księga cię zraniła? – powtórzył.

Powątpiewanie w jego głosie rozśmieszyło Taylor.

– Witamy w alchemicznym świecie – odparła. – Tutaj nawet księgi zabijają.

– Panie profesorze? – odezwała się Taylor, otwierając drzwi gabinetu Zeitingera. – Jesteśmy.

Zaskoczony Sacha niepewnie rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu. Jeśli wcześniej rzeczywiście czuł zazdrość – co naturalnie było mało prawdopodobne – zniknęła ona na widok pomarszczonej twarzy profesora i aureoli jego śnieżnobiałych włosów.

Stał w drzwiach, zastanawiając się, co powinien robić.

Wcześniej opowieść Taylor o demonie całkiem go zaszokowała.

– Było aż tak źle? – zapytał wówczas, patrząc na nią uważnie.

– Gorzej.

Zatrzymali się na skraju dziedzińca, żeby mogła go we wszystko wtajemniczyć. Z trudem znajdowała słowa na opisanie grozy tego incydentu.

– To było piekło, Sacha – westchnęła. – To znaczy myślę, że piekło istnieje naprawdę.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– I z tym mamy walczyć? – Cała jego zادیorność wyparowała. Taylor nadal czuła pulsowanie w dłoni – przypomnienie o potędze i nienawiści, z którymi musieli się zmierzyć. Nagle poczuła się bezradna, ale nie chciała o tym mówić. Skinęła głową, próbując zwalczyć to wrażenie.

– To właśnie mamy pokonać – potwierdziła.

Do budynku wydziału historii dotarli w bardzo ponurych nastrojach.

– Ha. – Zeitinger zerknął na Sachę znad okularów, a jego oczy zaśniły w blasku lampy. – Więc pan to Sacha Winters?

– Tak.

Profesor wpatrywał się w niego z uwagą.

– Nazywam się Wolfgang Zeitinger i jestem profesorem. Znałem pańskiego ojca.

Taylor poczuła, że Sacha się spiął.

– Myślę, że to był dobry człowiek – ciągnął Zeitinger.

Na twarzy chłopaka odmalowały się zakłopotanie i smutek.

– Tak – powiedział po chwili. – Taki był.

– Musimy teraz dokończyć pracę, którą zaczął. – Profesor wyciągnął sękatą rękę. – Mogę zobaczyć książkę?

Sacha długo się wahał i Taylor zaczęła się obawiać, że odmówi. W końcu jednak wyjął podniszczony manuskrypt spod pachy i podał profesorowi. Zeitinger położył go obok Księgi Rozwikłania i bardzo ostrożnie otworzył, uważając na kruche strony.

– Rozumiem, że ta książka zawiera opis okoliczności rzucenia klątwy. Prosiłbym o otwarcie jej na właściwej stronie.

Sacha obszedł biurko i stanął za profesorem.

– Czy zna pan francuski? – zapytał.

Zeitinger rzucił mu wymowne spojrzenie spod krzaczastych siwych brwi.

– Bien sûr.

– Alors. – Sacha przejrzał książkę i zatrzymał się na czterdziestej stronie. Tekst został ręcznie spisany spłowiałym, czarnym atramentem. – Tutaj jest początek.

Gdy profesor czytał wykaligrafowane słowa, jego gałki oczne poruszały się z wielką szybkością.

Taylor wiedziała, że jeden z przodków Sachy napisał tę księgę w siedemnastym wieku. Była to historia klątwy rzuconej przez antenatkę Taylor, alchemiczkę, która parała się mrocznymi praktykami i spłonęła na stosie jako czarownica. Nazywała się Isabelle Montclair. To właśnie ona rzuciła klątwę, która miała zabić Sachę w jego osiemnaste urodziny. Książka dowodziła, że rodziny Taylor i Sachy od ponad trzech stuleci były ze sobą związane przez śmierć oraz krew. Dwunastu pierwородnych synów w rodzinie Sachy już zmarło z powodu klątwy. Profesor skończył czytać wskazany fragment i sięgnął po pustą fajkę.

– No cóż, mamy to, czego nam potrzeba – oznajmił.

Sacha i Taylor popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

– Jak to? – zapytała Taylor.

Zeitinger wskazał fajką pierwszą linijkę. Taylor pochyliła się, żeby zobaczyć, co to takiego.

– Carcassonne 1763 – odczytała.

Profesor podniósł wzrok.

– Tam właśnie musicie się udać, żeby odczynić mroczne praktyki, które zagrażają wam obojgu – powiedział. – Pojedziecie do Carcassonne walczyć z demonem.

- Gdzie jest Carcassonne? - Taylor przenosiła spojrzenie z profesora na Sachę i z powrotem.

- Na południu Francji. - Sacha odwrócił się do Zeitingera i popatrzył na niego uważnie. - Nie rozumiem. Dlaczego musimy tam jechać?

Profesor odłożył książkę Sachy i ostrożnie, za pomocą czubków dwóch długopisów przesunął drugi wolumin na środek biurka. Jak się okazało, księga była otwarta na grubych, pożółkłych stronicach pokrytych dziwnymi symbolami: niedokończonymi trójkątami, niepełnymi słońcami, krętymi i krzywymi liniami.

- Księgę napisał pewien alchemik, nim jeszcze zaczęły się kłopoty pańskiej rodziny. - Zeitinger był tak ożywiony, że mówił z silniejszym akcentem niż zwykle. - Człowiek ten osiągnął to, co państwo próbują robić teraz: zdjął starą, potężną klątwę. Przeciwstawił się demonowi. - Popatrzył na zabandażowaną dłoń Taylor. - Z odczynianiem mrocznych praktyk wiążą się określone zasady. Isabelle Montclair rzuciła klątwę, zatem pani, panno Montclair, jako jej bezpośrednia potomkini, musi odprawić rytuał w miejscu, w którym to się stało, w dniu, w którym klątwa ma się wypełnić.

Słowa profesora ani trochę nie spodobały się Sachy. Pamiętał, co mówiła Taylor o spotkaniu z demonem i o swojej bezradności. Oboje rozumieli, że rany na jej dłoni to zaledwie ostrzeżenie.

- Ale jak, panie profesorze? - spytała szybko Taylor, zanim zdążył otworzyć usta. - Przecież demon nie robi tego, co mu każemy.

- Za pomocą krwi. - Zeitinger wskazał palcem księgę. - Tutaj napisano, że krew otworzy drzwi do królestwa. - Zmarszczył czoło na widok ich min. - Nie rozumieją państwo? To nie jest nauka alchemiczna, nie dotyczy naszego świata. Mroczna moc to krwawa praktyka. Nie da się odczynić demonologii za pomocą alchemii, krew łąknie krwi. Rytuał, który państwo odprawiają, będzie miał charakter demoniczny.

Sachy zabrakło tchu w płucach. Właściwie domyślał się już wcześniej, co ich czeka, ale teraz, gdy o tym usłyszał, poczuł się jeszcze gorzej.

Taylor stała całkiem nieruchomo. Sacha zauważył, że bardzo pobladła.

– Jak mamy odprawić demoniczny rytuał? – spytał z trudem. – To chyba niemożliwe, przecież nawet nie wierzymy...

– Ja wierzę – przerwała mu i uniosła rękę, żeby zademonstrować opatrunek. – I ty też. Jak mógłbyś nie wierzyć po tym wszystkim? Sacha umilkł. Miała rację, ale trudno było mu się z tym pogodzić. – Panie profesorze, w jaki sposób mamy się przygotować do ceremonii? – zapytała. – Demon jest potężny.

– Powiem państwu wszystko, co muszą państwo wiedzieć – odparł Zeitinger, obserwując ich z uwagą. – Nie wątpię, że są państwo gotowi. Oboje macie w sobie mrok. Może pani teraz pozostać przy nas, panno Montclair, albo iść ścieżką ku ciemności, tak jak pani przodkini. W Carcassonne nadejdzie czas wyboru. Mrok albo światło.

Po tych słowach uniosł fajkę i ją zapalił, choć Sacha był pewien, że nie ma w niej tytoniu. Cienkie pasemko aromatycznego dymu wzbiło się ku sufitowi. Profesor odchylił się na krześle i zaciągnął.

Sacha czuł, że to decydująca chwila. Od dawna domyślał się tego, co właśnie przekazał im Zeitinger, i nie wątpił, że to prawda. Właściwie niemal mu ulżyło.

Taylor jednak wyglądała tak, jakby profesor ją spoliczkował. Stała całkiem nieruchomo, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

Sacha nie miał problemu z zaakceptowaniem tego, co powiedział o nim profesor, ale ona była inna, na wskroś dobra. Sama sugestia, że skrywa się w niej mrok, wydawała się idiotyczna.

– Jesteśmy... źli? – zapytała słabym głosem Taylor. – To chce pan powiedzieć?

– Och, nie, moja droga – odparł łagodnie profesor. – Nie zrozumiała mnie pani. Ma pani dostęp do obu światów. W zasadzie można to powiedzieć o każdym z nas, ale w pani wypadku jest inaczej. Ze względu na pani historię i na to, kim pani jest, oba światy znajdują się bardzo blisko siebie. Czeka panią trudniejszy wybór. – Zerknął na Sachę. – Kiedy nadejdzie pora, oboje będziecie musieli wybierać.

Jakiś czas później Taylor i Sacha w ponurym milczeniu wracali do akademika. Mieli się nad czym zastanawiać.

Sacha raz po raz odtwarzał w głowie słowa profesora.

„Oboje macie w sobie mrok”.

Taylor obejmowała się rękami, gdy szli przez maleńki hol akademika Newtona i po kamiennych schodach. Jak zwykle pachniało tutaj pastą do podłogi i kurzem.

Na piętrze zatrzymała się tak nagle, że Sacha na nią wpadł. Na krótką chwilę przywarli do siebie.

– Przepraszam – powiedział, starając się zignorować cytrynowy zapach jej włosów i miękkość skóry.

Niezręcznie odsunęli się od siebie. Taylor chwyciła klamkę, a Sacha odwrócił się ku schodom. Już miał odejść, kiedy zatrzymał się na dźwięk jej głosu.

– Chcesz wejść? – zapytała, jakby nagle przyszło jej to do głowy. – To znaczy, do mojego pokoju?

Była zarumieniona i wydawała się zdenerwowana. Sacha niedbale skinął głową, jakby od niechcienia, ale tak naprawdę poczuł olbrzymią ulgę. Bardzo nie chciał zostać teraz sam.

Pokój Taylor, schludniejszy niż jego, był również znacznie większy. Jedną ścianę zajmowały trzy łukowate okna – dwa wąskie po bokach i największe środkowe, z widokiem na dziedziniec. Poza toaletką, biurkiem i niemal pustym regałem na książki nie było tu żadnych mebli. Pomieszczenie wyglądało jak niezamieszкана przestrzeń. Sacha poczuł się znajomo, całkiem jak w swoim pokoju. Żadne z nich nie miało szansy zapuścić tu korzeni, ale brak książek go niepokoił. Jeśli czyjekolwiek półki powinny się uginać pod ich ciężarem, to właśnie półki Taylor.

– Napijesz się czegoś? – zapytała. – Mam... nic nie mam.

Ścisnęło mu się serce na widok jej bezradnego uśmiechu.

– W porządku. – Usiadł na łóżku. – Nie chce mi się pić.

Kiedy Taylor usiadła obok, Sacha z trudem ukrył zdumienie. Zawsze w miarę możliwości starała się trzymać na dystans – niewielki, ale na tyle konsekwentny, że dawał się zauważyć. Gdyby przy stole stały cztery krzesła, w tym jedno obok Sachy, Taylor usiadłaby naprzeciwko niego.

– A więc jedziemy do Carcassonne – powiedziała.

Jej angielska wymowa nazwy miasta była uroczo nieprawidłowa.

– Chyba tak. – Wzruszył ramionami. – Jak to nazywają Amerykanie? Jedziemy w trasę.

– Tak – przytaknęła z roztargnieniem. – W trasę. Będzie świetnie. Nagle się rozpląkała, zupełnie nieoczekiwanie. Nie targaty nią rozdzierające szloch. Płakała w milczeniu, niechętnie, jakby wcale nie chciała tego robić.

Sacha nie miał pojęcia, jak zareagować.

– Taylor? – odezwał się. – Co się stało?

Wyciągnął rękę, ale szybko ją cofnął.

– Przepraszam. – Otarła łzy zabandażowaną dłoń. – To idiotyczne, bo nawet nie jestem smutna. Naprawdę. Tylko przestraszona. To, co mówił profesor... No cóż, nie tego oczekiwałam.

Sacha uwielbiał jej akcent. Każde jej słowo wydawało się fantastycznie dopracowane i wyraźne. Przepadał też za jej ciekawym sposobem ujmowania myśli w słowa. Chyba nie słyszał równie magicznie brzmiącej angielskiej mowy.

Dlaczego nigdy jej tego nie powiedział? Czego się obawiał?

– Hej. – Przysunął się do niej, ale nadal nie wyciągał ręki. – Profesor może się mylić, wiesz? Ta książka jest bardzo stara i nie powinniśmy wierzyć we wszystko, co w niej napisano.

– Wiem. – Odetchnęła głęboko. – Po prostu... Wytrąciła mnie z równowagi świadomość, że moglibyśmy przejść na ciemną stronę jak Mortimer. Że może tacy właśnie jesteśmy. – Popatrzyła na niego niemal błagalnie. – Nie wierzysz w to, prawda?

Łzy wisały na jej rzęsach niczym małe krysztalki.

Sacha poczuł, że jest mu ogromnie bliska. Powoli wyciągnął rękę i ostrożnie ujął zdrową dłoń Taylor. Nie wyrwała jej z jego uścisku, choć się tego spodziewał.

– Nie – odparł, nie do końca szczerze. – Ani trochę. Na pewno nie w twoim wypadku. Jesteś najmniej złą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Taylor uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Mocno trzymała jego dłoń, a w jej oczach pojawiła się powaga.

– Mówił mi też inne rzeczy – wyznała. – Zanim przyszedłeś.

Sacha natychmiast spochmurniał.

– Jakie rzeczy?

– Powiedział, że jest możliwe... a nawet prawdopodobne, że oboje zginie, próbując zdjąć klątwę.

Bała się, słyszał to w jej głosie. Wiedział, że również powinien odczuwać lęk, tak jednak nie było. W każdym razie nie bał się o siebie. Już tyle razy zginął, że widmo autentycznej, nieodwracalnej śmierci, które od dawna wisiało nad jego głową, przestało go przerażać. Nie było gorsze niż groźba szlabanu w szkole i co najwyżej równie uciążliwe. Nie chciał jednak, żeby Taylor zginęła. Taylor z blond lokami i zielonymi oczami, o niesamowitej inteligencji i twarzy w kształcie serca. Taylor, która miała szansę zmienić świat, o ile wcześniej nie padnie ofiarą historii.

Nie mogła umrzeć. Nie zamierzał do tego dopuścić.

– Nie umrzesz – powiedział głucho.

Było to zwykłe stwierdzenie faktu.

Mrużąc oczy, spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– A skąd wiesz?

– Wiem i już – odparł. – Ja też nie umrę. Oboje przeżyjemy. Jesteśmy zbyt piękni, by umierać. No i zbyt mądrzy.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby zamierzała zaprotestować, po czym wybuchnęła bezradnym śmiechem, który chwycił go za serce.

– Sacha, to poważna sprawa – westchnęła.

– Wszystko jest poważne – oznajmił niecierpliwie i wzruszył ramionami. – Odkąd pamiętam, życie jest pełne powagi. Ale nie umrzesz, Taylor. – Ostrożnie wziął ją za drugą rękę, poczuł miękki opatrunek i spojrzał jej prosto w oczy. – Jesteś najlepszą alchemiczką, z jaką mieli do czynienia. Poza skalą. Tak powiedziała Louisa. Jesteś potężna, tak twierdzi Jones. Dasz sobie radę. – Ku swojemu zdumieniu mówił z coraz większym zapałem. – Wyjedziemy do Carcassonne i zrobimy to, co trzeba, cokolwiek to jest. Potem wrócisz tu ze wszystkimi książkami, a ja objadę świat na motocyklu i będę pakował się w kłopoty. Przeżyjemy i będziemy wolni. Uwierz w to, bo tak właśnie się stanie.

Taylor trzymała go za ręce, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– Chcę w to wierzyć, Sacha, bardziej niż w cokolwiek.

Przejechał kciukami po jej drobnych, ciepłych dłoniach. Jej skóra była miękka jak masło. Taylor odetchnęła ze zdumieniem. Czuł ciepło promieniujące z jej skóry i delikatny zapach jej włosów, od którego kręciło mu się w głowie.

– Taylor – wyszeptał, pochylając się ku niej. – Musisz w to uwierzyć.

– Sacha. – Uniosła ku niemu usta. – Ja... Nie dokończyła zdania.

Coś ogromnego wpadło z ogłuszającym hukiem przez największe z trzech okien. Szkło eksplodowało jak maleńkie kryształowe sztylety.

Sacha instynktownie rzucił się na Taylor i osłonił ją swoim ciałem, gdy okruchy szkła bombardowały łóżko. Ostre odpryski przebiły cienką tkaninę koszulki, boleśnie kalecząc mu plecy. Zanim zdołał się podźwignąć i zaciągnąć Taylor do drzwi, coś chwyciło go za T-shirt i zakreśliło nim w powietrzu jak zabawką.

Wszystko rozgrywało się tak szybko, że Sacha nie miał żadnych szans. Usłyszał krzyk Taylor i poczuł, jak jej palce wysuwają się z jego dłoni. Koszulka zacisnęła mu się na gardle.

Kopiąc z całych sił, wił się w niewidzialnym uścisku, aż wreszcie dostrzegł, kto go trzyma. Poparzona skóra napastnika wybrzuszała się odrażająco, oczy pełne były bólu i wściekłości.

To był stwór z podziemi.

– Taylor... – jęknął Sacha ostatkiem sił. – Uciekaj.

Taylor wcale nie chciała krzyczeć.

Nagły atak całkowicie ją zaskoczył. Nawet nie miała czasu mocniej chwycić dłoni Sachy, zanim oderwał się od podłogi i uniósł.

Skoczyła na równe nogi.

– Puść go! – krzyknęła głośno do wielkiego mężczyzny, a raczej do stwora, który był mężczyzną, nim coś go odmieniło.

Ignorując ją, potwór rozbijał się po pokoju. Kiedy kopnął stojące mu na drodze krzesło, runęło na podłogę i się roztrzaskało.

Stwór nie wydawał się specjalnie zwinny. Potykał się i wpadał na meble, jakby miał kiepski wzrok albo spóźniony refleks. Był tak olbrzymi, że musiał się pochylać, aby nie tłuc głową w sufit. Nieustannie trącał lampę, która huśtała się jak oszalała, przez co światło i cień zdawały się dziko tańczyć po całym pokoju.

Sacha zrobił się fioletowy.

Taylor wiedziała, że musi szybko coś wymyślić, nie było czasu na wołanie o pomoc. Co mówili Louisa i Alastair? Że alchemiczne zdolności nie działają na stwora. Nie dysponowała jednak żadną inną bronią, więc postanowiła zaryzykować.

Molekuły energii krążyły wszędzie, złociste pasma wypływały z przewodów elektrycznych w ścianach. W powietrzu unosiły się maleńkie drobiny cząsteczek światła.

Energia stwora była zupełnie innego rodzaju. Taylor wyczuwała w nim mroczną moc, ale nie tylko. Docierały do niej także pozostałości po alchemicznym złocie, pełne bólu i cierpienia. Miała wrażenie ogromnej pustki, której nie mogła zrozumieć. Brakowało czasu na myślenie, co to oznacza. Taylor chwyciła największą porcję molekularnej energii elektrycznej, która była w jej zasięgu, i skierowała ją na stworzenie.

– Puść go – powtórzyła.

Tym razem jej słowa zabrzmiały jak polecenie. Taylor z ogromną siłą razila stwora energią, ale nic się nie wydarzyło. Znieruchomiał

przy oknie i otrząsnął się z tępych wyrazem twarzy. Tak jak to opisała Louisa, przyjmował energię, absorbował ją, żywił się nią.

Sacha dusił się w jego uścisku. Desperacko usiłował czepiać się swojej koszulki – chciał ją rozerwać pod szyją i w ten sposób się uwolnić. W pewnej chwili cienki materiał nie wytrzymał i rozdarł się od góry do dołu, a Sacha z łomotem wylądował na kolanach. Był siny i rzeził, z trudem łykając powietrze. Taylor rzuciła się ku niemu.

Stwór człapał dalej w kierunku okna, chwilowo nieświadomy ucieczki swojej ofiary. Zdenerwowana Taylor chwyciła Sachę za rękę i pociągnęła go, żeby wstał. Jego czarna koszulka była rozdarta od szyi do pasa i łopotała na szczupłym torsie, gdy kuśtykali do drzwi.

Potwór najwyraźniej zdążył połapać się w sytuacji, bo nagle ryknął z frustracją. Taylor nie odważyła się odwrócić, gdy ruszył za nimi. Stał tak ciężko, że trzęsły się ściany.

– Szybki jest – wychrypiał Sacha.

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi i oboje wypadli z pokoju na korytarz. Zatrzasnąwszy drzwi, Taylor odwróciła się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby je zablokować. – Nie warto – wymamrotał Sacha. – I tak...

W tym samym momencie stwór wyrwał drzwi z zawiasów i rycząc wściekle, cisnął je na bok.

– ...zrobi, co zechce – dokończył Sacha.

Taylor z przerażeniem wpatrywała się w potwora. Gdy odwrócił się do nich, szaleńcza nienawiść jeszcze bardziej wykrzywiła jego zniekształcone rysy.

– Co robimy? – spytała Taylor.

– Uciekamy. – Sacha chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

W skoczyli na nie, idealnie zsynchronizowani, i hałaśliwie zbiegli na parter. Po kilku sekundach znaleźli się w słabo oświetlonym holu, z którego wypadli na dziedziniec. Tam się zatrzymali, niepewni co dalej. – Powinniśmy sprowadzić pomoc. – Taylor sięgnęła po telefon. – On może zrobić komuś krzywdę.

– Dobrze, byle szybko. – Sacha był gotów do natychmiastowej ucieczki.

Oczekiwanie na połączenie zdawało się trwać wiecznie. Taylor w skupieniu wpatrywała się w wejście do akademika, aż w końcu usłyszała sygnał.

Pierwszy, drugi, trzeci...

– Taylor? – rozległ się głos Louisy. – Co jest?

– Lou... – zaczęła.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i wypadł z nich stwór, wyjąc z niezadowoleniem. Taylor nie zdążyła powiedzieć ani słowa.

– W nogi! – Sacha chwycił ją za rękę i pociągnął tak mocno, że omal nie puściła telefonu.

Pognali przez miękką jak aksamit, chłodną trawę na dziedzińcu.

– Dokąd biegniemy?! – krzyknęła Taylor.

– Nie mam pojęcia. – Sacha zerknął przez ramię, wypatrując potwora. – Byle nie do biblioteki. Nie chcę znowu utknąć z tym stworem w jakiejś bibliotece.

Taylor nie ośmieliła się spojrzeć za siebie, ale słyszała dudnienie ciężkich kroków.

Przed sobą ujrzeli mocne, stare drzwi do jadalni, których nigdy nie zamykano. Nocni stróże traktowali ją jako swojego rodzaju pokój wypoczynkowy.

– Tam. – Wskazała palcem.

Sacha nie oponował.

Wbiegli do środka i zamknęli za sobą drzwi na ciężką, mosiężną zasuwę, a potem przeszli w głąb pomieszczenia i tylko czekali. Po chwili coś rąbnęło w drzwi tak mocno, że się zatrzęsły, ale wytrzymały.

Sacha nieufnie wpatrywał się w zawiasy.

– Wyłamię je – ocenił. – Te stwory nie dają za wygraną. Musimy być gotowi.

Istota jeszcze raz gruchnęła w drzwi i z sufitu posypał się gips. Na drugim końcu pomieszczenia zadrżały średniowieczne witraże. Zza grubego drewna drzwi dobiegł ich stłumiony ryk frustracji.

– Idę po broń – oznajmił Sacha i pobiegł do kuchni.

– Weź coś dla mnie!

Stojąc za ciężkim drewnianym krzesłem, które zapewne przetrwało wieki w tej pięknej jadalni, Taylor wyciągnęła z kieszeni telefon i wcisnęła przycisk połączenia.

Potwór ponownie natarł na drzwi, a po okropnym uderzeniu nastąpiła koszmarna kanonada łupnięć, kiedy wielkimi pięściami tłukł w drewno. Portrety na ścianie się chygotały, a kryształowe kieliszki w kredensie zawibrowały. Rozległo się niepokojące dzwonienie szkła.

– Gdzie jesteś?! – krzyknęła Louisa. Słysząc było, że biegnie.

– To te stwory z tunelu – powiedziała szybko Taylor. – Są tutaj.

– Wiem. Jesteś w akademiku? Biegnę tam.

– Nie, już nie. Jesteśmy w jadalni, a to coś jest na zewnątrz. – Stwór znowu łupnął w drzwi, a Taylor dodała: – Ale zaraz będzie w środku.

– W jadalni?

Taylor usłyszała, że Louisa się zatrzymuje.

– Alastair! – krzyknęła. – Są w jadalni! To coś dorwało Taylor i Sachę.

W słuchawce rozległy się przekleństwa Alastaira. Louisa znowu popędziła przed siebie, szybciej niż poprzednio.

– Jesteśmy w drodze! – krzyknęła i się rozłączyła.

Stwór niestrudzenie i na dodatek coraz mocniej walił w drzwi. Budynek drżał od potężnych uderzeń, a hałas doprowadzał Taylor do szaleństwa. Odnosiła wrażenie, że cały gmach wkrótce runie.

Nagle u jej boku wyrósł Sacha. Jego oczy lśniły w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu. W jednej ręce trzymał rzeźnicki nóż, w drugiej długi, wąski nóż o ostrzu, które wyglądało na śmiertelnie niebezpieczne. Zręcznie jak zongler obrócił go w powietrzu i wręczył Taylor, rękojeścią do przodu.

– Bierz – powiedział. – Na wszelki wypadek.

Chłodna w dotyku, rzeźbiona rękojeść przypominała kość słoniową, ale pewnie wykonano ją ze zwykłej kości. Taylor położyła nóż na stole.

– Louisa tu idzie – oznajmiła. – Broń nie będzie nam potrzebna.

Drzwi znowu się zatrzęsły, a stary zamek zaczął się wyginać.

– Oby się pośpieszyła. – Sacha nie wypuszczał noża z ręki. Potwór natarł znowu na drzwi, tak głośno i zaciekle, że Taylor czuła echa uderzeń dudniące w sercu i w głowie.

Nagle z drzwi posypały się drzazgi.

– Zaraz wejdzie! – Sacha usiłował przekrzyczeć hałas. – Przygotuj się!

Nie odrywając wzroku od drzwi, Taylor położyła dłoń na nożu. Jej puls wyraźnie przyspieszył. Louisa biegła tu od akademika. Nie miała szansy zdążyć.

Taylor zastanawiała się, jak zdoła ocalić Sachę i siebie, nie korzystając z alchemicznych umiejętności. Bez nich była niczym.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Przypomniała sobie wcześniejsze słowa Alastaira i ze zmarszczonymi brwiami popatrzyła na nóż, a potem na drzwi.

W jej głowie zakiełkował plan.

Gdy zamek jeszcze bardziej się obluzował, Taylor chwyciła Sachę za rękę. Popatrzył na nią ze zdumieniem, ale bez protestów splótł jej palce ze swoimi.

– Pomóż mi – poprosiła. – Chcę czegoś spróbować.

– Twoja energia tylko go wzmocni – przypomniał jej. – W ten sposób nie da się walczyć.

– Wiem, ale mam pomysł.

Zanim zdążył odpowiedzieć, stwór z niewiarygodną siłą rzucił się na drzwi, które zadrżały. Zamek zazgrzytał metalicznie i nie uległo wątpliwości, że zaraz ustąpi.

Taylor odetchnęła głęboko, uniosła dłoń i zaczerpnęła energię zewsząd – z molekuł wody, powietrza, światła i elektryczności. Przyciągana więzią między Taylor a Sachą energia popłynęła prosto do niej, rozgrzewając jej żyły jak alkohol.

Cały strach nagle zniknął. Taylor niczego się teraz nie bała.

Wpatrzona w drzwi, skierowała na nie cząsteczki złocistej energii.

„Otwórzcie się”.

Wygięta zasuwą wyprostowała się i odsunęła ze zgrzytem, a wtedy grube, podwójne drzwi otworzyły się na oścież.

W progu stał stwór o nienawistnym spojrzeniu. Na widok Sachy i Taylor wykrzywił się i ruszył prosto na nich. Sacha wzdrygnął się odruchowo, a Taylor mocniej zacisnęła palce zdrowej ręki. Drugą, zabandażowaną, uniosła wyżej.

„Nóż”.

Wąskie, srebrne ostrze oderwało się od blatu i przez chwilę wisiało w powietrzu, połyskując złowieszczo. Taylor odwróciła głowę i wskazała nadciągającego stwora.

„Teraz”.

Nóż pofrunął jak pocisk i bezgłośnie wbił się w szeroką pierś istoty, która znieruchomiała i popatrzyła na niego z niemal ludzkim pomrukiem zdumienia. Potwór zmarszczył zdeformowane czoło. Gdy przeniósł spojrzenie na Taylor, wydało się jej, że widzi cierpienie w jego oczach.

Nagle zrobiło się jej smutno. Czymkolwiek był teraz, z pewnością nie wybrał sobie takiego losu. Mimo to nie miała wyjścia. Żeby przeżyć, musiała doprowadzić sprawę do końca.

Wpatrzona w oszołomione monstrum, ponownie uniosła dłoń.

„Nóż”.

Rzeźnicki nóż wysunął się z palców Sachy, który ze zdumienia wstrzymał oddech.

Ostra jak brzytwa broń zawisała w powietrzu, połyskując srebrzyście. Taylor ponownie wskazała cel.

„Tam”.

Stwór nawet nie próbował uciekać. Drugi nóż wbił się obok pierwszego, a z rany na piersi wypłynęła czarna krew. Monstrum opadło ciężko na kolana. Patrząc na Taylor z udręką, wyciągnęło w górę potężne łapska, tak jakby chciało coś powiedzieć, ale nie potrafiło. Wydało z siebie tylko nieartykułowany dźwięk, który zabrzmiał jak błaganie.

– Przepraszam – wyszeptała Taylor.

Oczy potwora zaszły mgłą. Powoli, nieubłaganie padł twarzą na dębowy parkiet, uderzając o niego z hukiem, od którego podskoczyły krzesła.

Więcej się nie poruszył.

Gdy następnego ranka Taylor i Sacha szli do budynku administracji, niosąc w dłoniach niewielkie torby, słońce złościście lśniło na niebie. Taylor stąpała lekko, jakby nogi same ją niosły, i miała dziwne wrażenie, że spaceruje po księżycu.

W nocy żadne z nich nie spało. Oboje spędzili czas na opracowywaniu planu działania razem z innymi alchemikami.

Jedno było pewne – nie mogli pozostać w Oksfordzie. Ich obecność zagrażała wszystkim w kolegium. Mortimer bez wątpienia nie zamierzał rezygnować. Ostatniej nocy napuścił na nich jednego ze swoich zombie, jutro mógł ich wysłać dwudziestkę albo setkę.

Louisa i Alastair pojawili się w jadalni kilka sekund po śmierci stwora. Zadyszani po biegu, rozejrzeli się wokół, zaciskając pięści, po czym popatrzyli ze zdumieniem na Taylor, która klęczała obok trupa.

Alastair odezwał się pierwszy.

– Jak, do cholery, to zrobiłaś?

– Nożami. – Taylor otarła łzę z policzka i wstała. – Powiedziałeś, że wczoraj Sacha zabił taką istotę ciosem w pierś. Spróbowałam tego samego i się udało. – Odetchnęła niepewnie. – Moim zdaniem to coś było kiedyś człowiekiem.

– Gorzej. – Louisa przyklęła i wskazała wypłowiałe tatuaże na rękach stwora. – Było jednym z nas.

Wyciągnęła rękę, pokazując identyczne wzory. Jej wyćwiczony biceps wydawał się malusieńki w porównaniu z wielkim ramieniem potwora.

– Mortimer zapewne zebrał zwłoki alchemików – wyjaśniła. – Diabli wiedzą, skąd je wytrzasnął. Z kostnic, z cmentarzy, ze szpitali. Mógł to robić od lat. – W jej głosie pobrzmiwała gorycz. – Potrzebował czasu, żeby dojrzeli.

Nagle jej telefon zabrzączał natarczywie. Nerwowym ruchem wyciągnęła go z kieszeni.

– Co się dzieje? – Przez moment słuchała. – W porządku. Nie żyje. Zasztyletowali go. Wiem. – Jej spojrzenie powędrowało do Taylor i Sachy. – Zaraz będę.

Po tych słowach odłożyła telefon.

– O co chodzi? – spytał Sacha.

– Trwa przeczesywanie terenu w poszukiwaniu innych stworów, ale wygląda na to, że ten był sam. – Wskazała zwalistego trupa. – Nie ma śladów innych.

– Czyli już po wszystkim? – zapytała Taylor z nadzieją.

– Może na dzisiaj. – Louisa odwróciła się do drzwi. – Jones chce, żebyśmy się pojawili w jego gabinecie. Alastair i ja musimy mu pomóc dokończyć poszukiwania. Dacie sobie radę?

Sacha popatrzył na Taylor.

– Na pewno – oznajmił.

Po odejściu Louisy Taylor jeszcze raz spojrzała na masywne zwłoki.

– Co z nim zrobimy? – spytała.

– Oni się nim zajmą. – Sacha ruszył do otwartych drzwi, ostrożnie stąpając po poboju. – Wyjdźmy stąd. Musimy pogadać.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był tak poważny.

Przez chwilę stali na pustym dziedzińcu i rozmawiali. Już po kilku minutach doszli do wniosku, że muszą wyjechać z kolegium. Gdy dotarli do gabinetu dziekana, byli już całkiem zdecydowani.

Ten pomysł nie wzbudził entuzjazmu Jonesa.

– Nie wolno nam działać w pośpiechu – oznajmił dziekan, gdy wyjaśnili mu powody swojej decyzji. – Trzeba ułożyć plan. Musicie być cierpliwi.

– Nie możemy – odparła Taylor. – Urodziny Sachy są za cztery dni. Pora wyjechać.

– Naprawdę uważasz, że będziecie bezpieczniejsi poza tymi murami? – spytał Jones. – Dziś, gdy was zaatakowano, tuzin ludzi pośpieszył wam na ratunek. Kto wam pomoże we Francji? – Ale w końcu sami się ocaliliśmy – przypomniała mu Taylor. I tak ciągnęło się to w nieskończoność. Louisa siedziała cicho na krześle, wysłuchując argumentów obu stron, aż w końcu straciła cierpliwość.

– Mają rację – oznajmiła stanowczo. – Powinni wyjechać, ale nie sami. Ja z nimi pojadę.

Wszyscy się odwrócili, żeby na nią popatrzeć. Wydawała się zmęczona, lecz zdecydowana. Jej owalna twarz nadal błyszczała od potu, a pod oczami pojawiły się cienie.

– Louisa, jesteś silna, jednak nie zastąpisz armii – oświadczył dziekan zdumiewająco łagodnym tonem. – Nie zdołasz ocalić wszystkich.

– Wiem, że wszystkich nie – warknęła. – Ale ich mogę uratować. – Zerknęła na Taylor i Sachę. – Alastair też pojedzie. Możemy podróżować osobno i być w kontakcie. Niech Mortimer myśli, że są sami. Jeśli uwierzy, że ich dopadnie, zajadą dalej.

Ponieważ Louisa była nieugięta, dyskusja szybko się zakończyła i zrezygnowany Jones zadzwonił po Zeitingera. Jeżeli profesora zaskoczyło wezwanie w środku nocy, nie dał tego po sobie poznać, gdy objuczony książkami i papierzyskami wpadł do gabinetu dziekana. Ignorując resztę, ruszył prosto do Taylor. Jego oczy były zaczerwienione, ale przytomne.

– Wyjeżdża pani z powodu ataku? – spytał wprost.

– Tak.

– To dobrze – oświadczył. – Tak należy postąpić.

– Ile zdołałaś się dowiedzieć? – zwrócił się do niego Jones.

Dziekan już wcześniej zdjął krawat i zawiesił marynarkę na oparciu krzesła. Podwinął też do łokci rękawy koszuli. Błat zajmowała mapa Francji – kiedy zjawił się Zeitinger, Jones i Louisa wyznaczali trasę podróży.

– Chyba mam informację, której potrzebujemy – odparł profesor. – W niektórych miejscach księga się komplikuje, a wskazówki Falkensteina nie zawsze są logiczne, niemniej podstawy można zrozumieć bez trudu.

Rzucił notatnik na mapę i wskazał na wers pełen dziwnych symboli. Wszyscy zebrali się dookoła, żeby popatrzeć. Dla Taylor było to frustrująco niezrozumiałe – trójkąty, koła, faliste linie – Zeitinger jednak wydawał się zadowolony.

– Zdaniem Falkensteina najważniejsze jest to, żeby ceremonia odbyła się w tym samym miejscu, w którym rzucono kłutwę. – Postukał palcem w notatnik. – Dokładnie w tym samym.

– Panie profesorze, klątwa liczy sobie już ponad trzysta lat – odezwał się Sacha z powątpiewaniem. – Jak mamy znaleźć miejsce, w którym to się zdarzyło?

Profesor popatrzył na niego z uśmiechem.

– Nie musicie – odparł. – Sam już je znalazłem.

Ze stosu kartek wyciągnął jedną i ją odwrócił, a wtedy ujrzeli turystyczną mapę Carcassonne. Jej żywe barwy zdawały się nie na miejscu w stonowanym pokoju.

– To jedyna mapa Carcassonne, jaką udało mi się znaleźć – wyjaśnił Zeitinger. – Chyba nie drukują planów tego miasta w zwykłych kolorach. Miejsca egzekucji często wybierano przy użyciu pogańskich metod. Wiele celowo odbywało się na ziemi, która w powszechnej opinii charakteryzowała się nadprzyrodzonymi właściwościami. Na niej właśnie później wznoszono świątynie. Kościół pragnął wypenić dawne wierzenia, a jakie miejsce lepiej się nadaje na zbudowanie świątyni nowego boga niż ruiny tej, w której czczono starego?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął kartkę.

– To opis egzekucji z książki o rodzinie Sachy. Zgodnie z tymi informacjami stosy usypywano w centrum Carcassonne. W tej księdze... – wysunął ze sterty oprawiony w skórę wolumin i uniósł go, nie otwierając – ... pojawia się wzmianka o tym samym miejscu. W owych czasach palono skazańców na placu usytuowanym na szczycie wzgórza, w obrębie murów starej cytadeli. – Przycisnął palec do planu Carcassonne. – Bez wątpienia właśnie tutaj musicie się udać.

Kiedy uniósł rękę, Taylor zobaczyła na mapie krzyżyk. Pochyliła się, żeby odczytać zamieszczony pod nim napis.

– Bazylika St Nazaire?

– Kościół. – Profesor skinął głową. – Kiedyś był bardzo mały, lecz rozbudowano go w osiemnastym wieku, a potem jeszcze raz w dziewiętnastym. A wszystko to na dawnym miejscu kaźni.

– Nie wierzę, że postawiono kościół na placu straceń. – Sacha wydawał się przerażony.

– W takich wypadkach trzeba najpierw poświęcić ziemię – poinformował go Zeitinger. – Przejąć ją dla Boga. Chodzi o coś

w rodzaju oczyszczenia, bezsensownego, rzecz jasna. Modlitwa to za mało, żeby odczynić mroczne praktyki, ale księżom najwyraźniej wystarcza.

– A obrzęd? – Taylor popatrzyła na niego. – Co mamy zrobić, kiedy już znajdziemy to miejsce i wejdziemy do środka?

Profesor wyraźnie spoważniał.

– No tak, to musimy przedyskutować. – Rozejrzał się po pokoju, po czym znów utkwiał wzrok w Taylor. – Ale tylko we dwójkę, ja i pani. Inni niech planują.

Nikt się nie sprzeciwił, więc profesor Zeitinger i Taylor wyszli z pokoju dziekana i ruszyli korytarzem do jednego z mniejszych gabinetów – czystego, nowoczesnego i pozbawionego duszy. Taylor zastanawiała się, kto spędzał tu całe dnie w otoczeniu pustki.

– Nie chciałem, żeby inni usłyszeli, co mam pani do powiedzenia. – Profesor przejrzał papiery i znalazł kartkę, której szukał. Z powagą popatrzył na Taylor. – Ceremonia jest szalenie trudna i bardzo niebezpieczna. Przykro mi to mówić, ale nie jestem przekonany, że pani przeżyje. Czy na pewno chce pani kontynuować?

Taylor ścisnęło się serce. Nie chciała umierać, ale nie mogła zapomnieć stwora, którego zabiła własnymi rękami. Pamiętała też o zwiastunach oraz człowieku władającym potężną mroczną mocą.

Nie miała wyboru.

– Tak, na pewno – oświadczyła z determinacją.

Profesor skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– No cóż... – Odkasznął i popatrzył na kartkę w dłoni. – Musi pani zacząć od krwi.

W ciągu kilku minut, które dla Taylor ciągnęły się niczym godziny, objaśnił jej szczegóły mrocznej ceremonii. Musiała przeprowadzić ją sama. Jego słowa brzmiały jak ponura wyliczanka.

„Ciąć należy na tyle głęboko, by obficie spłynęła krew...”

„Musi pani zawezwać demona...”

„Już wcześniej panią zranił i robi to ponownie...”

„Będzie próbował panią kusić...” „Proszę pamiętać: demony kłamią”.

Gdy skończył, popatrzył jej w oczy.

– Jest jeszcze coś, co musi pani zrozumieć – powiedział tonem pełnym skruchy, jak lekarz, który przekazuje złe wieści. – Odprawianie

mrocznej ceremonii pozostawia ślady na duszy. Takie znamiona mogą przeniknąć do głębi, a niekiedy wręcz przejąć kontrolę nad człowiekiem. Są niczym zwycięska armia ciemności. Być może coś takiego przytrafiło się Mortimerowi Pierce'owi. Parał się mrocznymi praktykami i w końcu całkiem go pochłonęły.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, o co chodzi profesorowi.

– Chce pan powiedzieć, że być może skończę jak on – wyszeptała. – Stracę duszę.

– Istnieje taka możliwość – przytaknął z niechęcią. – Istnieją też inne. Śmierć. Przetrvanie. Może uda się pani całkowicie zapanować nad mrokiem. Wspominałem już wcześniej, że jest w pani ciemność, lecz pani nie jest ciemnością. Szczerze mówiąc, niewiele o tych sprawach wiemy, większość informacji nie dotrwała do naszych czasów. To będzie bardzo niebezpieczny eksperyment.

Taylor była zmęczona wysłuchiowaniem, jak niewiele wiedzą.

Kiedy coś idzie nie tak, ostatnią rzeczą, jaką człowiek chce usłyszeć, jest deklaracja największych ekspertów na świecie: „Och, tego jeszcze nie rozgryźliśmy”.

Z trudem zachowywała spokój.

– Czy mogę coś zrobić, żeby się chronić?

– Musi pani wypełniać instrukcje co do joty – odparł. – To kluczowe. Proszę nie dać się skusić demonowi. Będzie próbował wmówić pani, że jest po pani stronie i vice versa. I będzie niezwykle przekonujący. Proszę sobie przypomnieć, jak niegroźnie wygląda Mortimer. Osobie postronnej wydałby się wręcz przyjazny. I niezależnie od tego, co się stanie, niech pani pamięta, że Pierce nie jest tym, na co wygląda. Nie jest kimś, kim niegdyś był: jednym z nas. Ta jego część umarła i Mortimer Pierce przestał być człowiekiem. To potwór. Proszę nigdy o tym nie zapominać.

Skończywszy, Zeitinger położył pomarszczoną, ale ciepłą i suchą dłoń na ręce Taylor.

– Nie wolno pani niczego pominąć – dodał. – Trzeba to wykonać bardzo precyzyjnie albo wszystko będzie stracone. Rozumie pani?

Taylor zaschło w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

– Tak – odparła.

Zeitinger podał jej kartkę.

– Wszystko tutaj spisałem. Proszę nauczyć się tego na pamięć i niech pani będzie gotowa.

Wyjęła instrukcję z jego dłoni, rzuciła na nią okiem, po czym ją złożyła i wsunęła do kieszeni. Wiedziała już wystarczająco dużo.

– Życzę pani powodzenia, panno Montclair – powiedział profesor. – Stała pani przed wyjątkowo trudnym wyzwaniem. Dzielna z pani młoda kobieta.

Odrętwiała Taylor szła przez pogrążony w półmroku korytarz, mijając zdjęcia poprzednich dziekanów. Nie mogła powtórzyć Sachy tego, czego się właśnie dowiedziała, gdyż nigdy nie pozwoliłby jej odprawić rytuału. Uznałby słusznie, że niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie.

Musiała zatrzymać tę wiedzę dla siebie.

Kiedy dotarła do gabinetu dziekana, przekonała się, że jej towarzysze nadal planują wyprawę do Carcassonne. Sacha wpatrywał się w rozłożoną na błyszczącym blacie mapę.

– Musicie się trzymać bocznych dróg – powiedział dziekan, wskazując trasę. – Unikajcie autostrad. Mortimer będzie tam na was czekał. Wie, że udacie się do Carcassonne, ale do miasta wiedzie wiele dróg, nie sposób obserwować wszystkich. Skierujcie się na południe, w góry. Objeżdżajcie miasta, lepiej wybierajcie wioski.

Godzinami dyskutowali o podróży. Skończyli dopiero, kiedy wstało słońce i Louisa oznajmiła, że pora ruszać w drogę.

Spakowanie niewielkiej torby z ubraniami na zmianę i garścią kosmetyków zajęło Taylor mniej więcej pięć minut. Nie wiedziała, co wziąć, a co zostawić. Co się bierze w drogę do miejsca, w którym ma nastąpić apokalipsa? Raczej nie mascarę.

Kiedy podniosła szczotkę do włosów, zobaczyła swoje odbicie w lustrze toaletki. Była blada, ale wyglądała całkiem zwyczajnie, co wydało się jej idiotyczne. Dlaczego nie miała spanikowanej miny? Jak mogła prezentować się normalnie, skoro wszystko się zmieniło?

Z trudem oderwała wzrok od lustra. Gwałtownie otworzyła szufladę i złapała kilka ubrań, po czym przebrała się w ciemne spodnie oraz koszulkę z krótkimi rękawami, a do tego buty, w których mogła swobodnie biegać.

Kilka minut później spotkała się z Sachą na dole schodów.

– Zaczekaj chwilę – powiedział na widok jej stroju.

Popędził do siebie, a moment później wrócił ze sfatygowaną skórzaną kurtką.

– Na motorze bywa zimno. – Wyciągnął przed siebie rękę. – Nawet w upalne dni.

Rękawy kurtki były tak długie, że Taylor musiała je podwinąć, ale skóra okazała się miękka i ciepła. Na dodatek pachniała jak Sacha – mydłem i świeżym powietrzem. Taylor od razu poczuła się lepiej.

Dziekan czekał na nich w pogrążonym w ciszy holu, razem z Alastaiem i Louisą. Każde z nich trzymało w dłoniach dużą kawę i torbę z ciastkami. Taylor miała zbyt ściśnięty żołądek, żeby cokolwiek przełknąć.

– Wiem, że nie muszę wam mówić, jakie to niebezpieczne – odezwał się Jones. – I jak bardzo jestem wam wdzięczny za to, co robicie.

– Chwileczkę, chwileczkę – dobiegł od drzwi głos z niemieckim akcentem. Zobaczyli, że profesor Zeitinger biegnie w ich kierunku. – Mam coś dla panny Montclair.

Dziekan zmarszczył brwi, ale zczekał na zadyszanego profesora. Taylor zauważyła, że Zeitinger trzyma coś w dłoniach.

– Nadzwyczaj trudno było to znaleźć – zwrócił się do niej. – Chyba zostało celowo ukryte. Będzie pani tego potrzebowała.

Wcisnął jej w dłoń długie, wąskie pudełko obite miękkim aksamitem w kolorze spłowiałego błękitu. Wyglądało jak puzderko na biżuterię, ale było dziwnie ciężkie.

– Proszę tego użyć podczas ceremonii – dodał.

Taylor zamierzała zajrzeć do środka, ale profesor przykrył jej dłoń swoją i pokręcił głową.

– Nie teraz, panno Montclair – powiedział cicho. – Lepiej będzie, jeśli otworzy to pani na osobności.

Przytaknęła zdziwiona i włożyła pudełko do torby, jednak poczuła się zdenerwowana i niemal fizycznie obciążona dodatkowym sekretem.

Przerazała ją zawartość tajemniczego pudełeczka.

– Życzę szczęścia, moja droga. – Zeitinger uścisnął jej rękę. Jego ton tylko ją upewnił w przekonaniu, że szczęście będzie jej ogromnie

potrzebne.

Louisa podchwyciła wzrok Taylor i niecierpliwie zamachała ręką. – W drogę. – Nie czekając na innych, zarzuciła torbę na ramię i z kawą w dłoni ruszyła do garażu. – Mamy demona do zabicia.

Taylor pośpieszyła, żeby dołączyć do reszty, i poszli razem tam, gdzie czekały furgonetka i motocykl, zaparkowane na wąskim zaułku za budynkiem administracji.

– Powinnaś powiedzieć „do zlikwidowania” – zauważył Alastair, maszerując obok Louisy. – Mamy demona do zlikwidowania.

– Taka jest prawidłowa terminologia? – Wzruszyła ramionami. – Mój błąd.

– Wiem, że już to mówiłem, ale naprawdę musisz więcej się uczyć, Louiso – oświadczył Alastair celowo protekcyjnym tonem.

– Ugryź się, Alastair – burknęła.

Sacha parsknął śmiechem.

Taylor wiedziała, że żartują na siłę i są równie zdenerwowani jak ona, ale cieszyła się, że to robią. Przynajmniej ktoś zachowywał się normalnie.

A normalność wydawała się teraz bardzo odległa.

Sacha jechał zbyt prędko, ale nie chciał zwalniać. Motocykl ryczał pod nim, Taylor obejmowała go ciepłymi rękami, a przed nim rozciągała się prosta francuska szosa.

Uwolnił się od kolegium, od Oksfordu i chwilowo od Mortimera. Jechali już od kilku godzin. Bez problemu udało się im dopłynąć promem do Francji i od tamtego czasu przemierzali boczne drogi. Nigdzie nie było śladów mrocznej energii. Louisa i Alastair podążali inną drogą gdzieś nieopodal. Taylor dzwoniła do nich co jakiś czas, aby się upewnić, że wszystko w porządku.

Jak dotąd, plan doskonale się sprawdzał. Jedynym problemem była bardzo podstawowa ludzka słabość. Sacha padał z nóg. Droga rozmazywała mu się przed oczami i z coraz większym trudem trzymał kierownicę. Nie spał przez całą noc, a było już późne popołudnie.

– Wszystko w porządku?! – zawołała Taylor, próbując przekrzyczeć wiatr.

Nie odrywając wzroku od jezdni, Sacha skinął głową. Wszystko w porządku. Całkiem w porządku. Musiało tak być.

Minęli kolejny skręt do Paryża, oddalonego o sto siedemdziesiąt pięć kilometrów. Tyle co nic. Sacha mógł być w domu w ciągu dwóch godzin, siedzieć na kanapie z matką i Laurą, opowiadać im anegdotki o wykładowcach w Kolegium Świętego Wilfreda, żeby je rozśmieszyć.

Paryż był niczym światło przewodnie, które go przyzywało.

A gdyby umarł i już nigdy nie zobaczył bliskich?

Krawędzie drogi znów rozpląnęły się przed jego oczami.

Energicznie zamrugał, żeby lepiej widzieć. Musiał przestać się nad tym zastanawiać, ale był tak strasznie zmęczony...

Zatopiony w ponurych myślach, ledwie zauważył, że wjechali do niewielkiego miasteczka. Otrzeźwiał dopiero wtedy, gdy wyrósł przed nim sygnalizator z czerwonym światłem. Gwałtownie wcisnął hamulce, ledwie unikając zderzenia z samochodem.

Taylor wpadła na Sachę całym ciężarem, a on oparł się stopą o nawierzchnię, żeby podtrzymać upadający motocykl.

Sorry. – Odwrócił się do niej i dostrzegł niepokój w jej zielonych oczach.

– Wydajesz się bardzo zmęczony, Sacha.

– Jestem zmęczony – przyznał niechętnie. – Może powinniśmy zrobić sobie przerwę.

Taylor pokiwała głową w kasku.

– Jak myślisz? – Wyciągnął rękę, pokazując miasteczko. – Będziemy tu bezpieczni?

Samotny sygnalizator świetlny wisiał na skrzyżowaniu w wyglądającym na typowe francuskim miasteczku. Wszystkie budynki wzniesiono z takiego samego kamienia o bladożółtej barwie. Po starych murach pięły się kolorowe róże, a na samym środku niewielkiego placu stał kościół z wysoką wieżą.

Taylor ściągnęła kask i blond loki opadły na jej ramiona. Miała zaróżowione policzki, a u nasady jej nosa zebrała się aksamitna warstewka potu.

Rozejrzeli się uważnie. Drzewa drżały, poruszone letnim wietrzykiem.

– Wygląda na to, że wszystko gra – odparła po chwili. – Nie widać czarnych charakterów.

Sacha zaparkował w zaułku przy placu. Kiedy zgasił silnik, zapadła wręcz ogłuszająca cisza. Stopniowo jednak jego uszy przyzwyczyły się do otoczenia, a wtedy usłyszał powiew wiatru w gałęziach drzew i narzekania fruujących ptaków. Gdzieś w jednym z ogródków głośno śmiały się dzieci.

Kiedy zaburczało mu w brzuchu, oboje to usłyszeli. Od zejścia z promu nic nie jedli.

– Umieram z głodu – powiedział Sacha.

– Ja też. – Taylor się przeciągnęła, żeby rozprostować kości. – Wcześniej, przy głównej drodze, chyba widziałam piekarnię. Sprawdźmy, czy jest otwarta.

Oboje byli bardzo czujni, gdy przechodzili przez spokojny plac, ale wszystko wydawało się krzepiąco normalne. Starsza kobieta, która prowadziła maleńkiego psa na długiej smyczy, skinęła im uprzejmie

głową. Krępy mężczyzna nawet na nich nie spojrzął, gdy przejeżdżał obok wielkim, zielonym traktorem.

„To tylko senne miasteczko”, pomyślał Sacha. Nie mógł jednak przestać oglądać się przez ramię.

Nieopodal kościoła, w kamiennym budyneczku, pomalowanym na żółto i białą, znajdowała się niewielka piekarnia i cukiernia w jednym. Gdy weszli, dzwonek nad drzwiami zadzwonił radośnie.

Kobieta za ladą, w fartuchu zasłaniającym dzinsy, odłożyła gazetę i podniosła na nich wzrok. Miała długie do ramion, rude włosy w nieprawdopodobnie żywym odcieniu. Jej zniszczona twarz pomarszczyła się w uśmiechu.

Zamówili kanapki i zimne napoje, a potem czekali, aż sprzedawczyni, trajkocząc radośnie po francusku, spakuje zamówienie. Sacha zerknął tęsknie na ciastka przyprószone cukrem i polane kolorową polewą. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak przeraźliwie jest głodny. Mógłby zjeść to wszystko.

Wpatrzona w ciastka Taylor pochyliła się nad ladą.

– Które lubisz najbardziej? – zapytała.

Bez wahania wskazał wąskie ciastko polane jasnozielonym lukrem i posypane na końcu ciemną czekoladą.

– Te.

Z powątpiewaniem popatrzyła na zielone wypieki.

– Naprawdę?

– Są pyszne – oświadczył. – W środku mają gęsty krem. Boże, są zupełnie niesamowite.

Na samą myśl o nich ślina napłynęła mu do ust. Odwrócił się do sprzedawczyni, która przypatrywała się im z rozbawieniem.

– Dwa salambosy poproszę – powiedział po francusku, wskazując zielone ciastka. – I coś jeszcze, gdyby jej nie smakowało.

– Nigdy nie jadła salambosów? – Ekspedientka zacmokała, przekładając dwa ciastka do kartonowego pudełka. – Jak to możliwe? Mógłby jej powiedzieć, że w Anglii nie ma salambosów, ale wolał nie dzielić się żadnymi informacjami z obcymi, nawet pozornie nieszkodliwymi osobami, więc tylko zamówił więcej wypieków. Kupili jeszcze lepkie czekoladowe eklerki, kilka innych rodzajów ciastek i parę cytrynowych tartinek.

Kto wie, kiedy znowu będziemy mieli okazję coś zjeść? – oświadczył Sacha, jakby się obawiał, że Taylor zacznie mu robić wyrzuty. – Na prowincji wcześniej zamykają sklepy.

Zapłacili i wyszli. Sacha wiedział, że powinni już jechać, plan zakładał, że przez cały czas będą w ruchu. Tak było najbezpieczniej, a poza tym Louisa i Alastair na pewno wyprzedzili ich już o wiele kilometrów. Nie miał jednak siły, bolały go wszystkie mięśnie.

– Odpocznijmy przez chwilę – poprosił.

Ruszył prosto ku ławce na skraju opustoszałego placu, a Taylor nie protestowała. Cienie pod jej oczami świadczyły o tym, że i ją dopadło zmęczenie.

Z ulgą usiedli na ciepłej ławce. Żłociste promienie późnopołudniowego słońca sączyły się przez gałęzie. Wychudzony dachowiec spokojnie zażywał słonecznej kąpieli.

– Jesteś tak samo zmęczony jak ja? – Taylor przetarła oczy. – Zmęczeni – odparł i zastanowił się przez chwilę. – Jest takie słowo?

– Teraz już jest. – Ziewnęła. – Zaraz zasnę.

Sacha wbił wzrok w kota, który przeciągnął się i zamknął oczy.

– Mnie się wydaje, że już śpię – odparł.

Taylor wzięła się w garść i sięgnęła do pudełka z ciastkami.

– Może słodczyce pomogą – mruknęła. – Mogę eklera?

– Nie – odparł stanowczo i wyciągnął zielone ciastko. – Najpierw spróbuj tego. Jest cudowne.

– Muszę? – Skrzywiła się wymownie.

– Tak.

Przewrócił oczami, kiedy popatrzyła na niego z rozpaczą.

– Posłuchaj, jeśli nie będzie ci smakowało, po prostu wypluj. Kot sobie zje.

Wyciągnął ciastko. Taylor pochyliła się z wyraźną niechęcią, ostrożnie odgryzła małe kawałeczki, po czym otworzyła szerzej oczy. – O mój Boże! – wykrzyknęła. – To pyszne. W ogóle nie smakuje tak jak wygląda.

Sacha uśmiechnął się od ucha do ucha i przełknął na raz pół ciastka.

A nie mówiłem? – spytał z pełnymi ustami.

Taylor sięgnęła po drugie ciastko.

– Jeszcze tylko odrobinę... – wymamrotała.

Ryk silnika samochodu wjeżdżającego do miasteczka całkiem zagłuszył jej ostatnie słowa. Oboje pochyłili się gwałtownie, gdy czarne bmw wpadło na główną ulicę i z piskiem opon zatrzymało się na skraju placu.

Sacha zaklął. Co oni sobie myśleli? Postąpili jak idioci, zatrzymując się tutaj. Rozglądał się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale byli zbyt daleko od motoru. Musieliby przebiec przez plac, a nie mogli tego zrobić bez zwracania na siebie uwagi.

Drzwi samochodu się otworzyły, a Sacha odruchowo objął Taylor, nie bardzo wiedząc, co robić i jak jej bronić. Ale ona już stała, wpatrzona w bmw i gotowa do walki, kipiąc iskrzącą energią.

W tym samym momencie zadzwonił dzwoneczek u drzwi piekarni, a kobieta, która wcześniej ich obsłużyła, wypadła na zewnątrz, głośno pomstując. Łysiejący, brzuchaty mężczyzna w średnim wieku wygramolił się z bmw i do niej krzyknął. Klócili się przez chwilę o jego opieszałość i nieodpowiedzialność, i o to, że jest już za późno na zamówienie cukru potrzebnego na następny dzień. Mężczyzna w końcu wsiadł z powrotem do auta i odjechał z rykiem silnika. Mamrocząc pod nosem, kobieta odwróciła się na pięcie, weszła do piekarni i głośno zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Sacha usiadł na ławce. Serce nadal waliło mu jak młotem.

– Putain – zaklął. – Przeraziłem się.

Taylor zbladła jak kreda. Wyraźnie wstrząśnięta, usiadła i popatrzyła na Sachę.

– Omal go nie zabiłam, Sacha – wyjąkała.

Jej głos drżał. Wpatrywała się w swoje ręce, jakby nie mogła ich rozpoznać.

Nie wiedział, co powiedzieć. Jak mógł jej wyznać, że w tamtej krótkiej, pełnej napięcia chwili chciał, żeby zabiła tego człowieka? Bez słowa sięgnął po jej rękę. Miała palce lepkie od ciastka, które teraz leżało na ziemi u ich stóp.

– Nie cierpię tego – powiedziała cicho.

Ja też.

– Co zrobimy? – Spojrzała na niego.

– Pojedziemy do Carcassonne – odparł. – I zakończymy to wszystko.

Ich palce się splotły. Taylor westchnęła z rezygnacją, puściła dłoń Sachy i wstała.

– Lepiej już jedźmy.

Ta chwila wszystko zmieniła. Gdy zmierzali z powrotem do motocykla, Sacha wszędzie doszukiwał się niebezpieczeństwa – w ciemnym, długim cieniu kościelnej wieży, w głośniejszej muzyce rozbrzmiewającej zza okien przejeżdżającego auta. Po co w ogóle się zatrzymali? To miasteczko nie było przecież dobrą kryjówką.

Gdy dotarli do motocykla, włożył pudełko z ciastkami do torby i podał Taylor kask, a ona zapięła go w milczeniu.

Wiedział, że chciała wydostać się stąd jak najszybciej, podobnie jak on, ale dokąd mieli jechać? Najbliższa bezpieczna kryjówka znajdowała się co najmniej dwieście kilometrów dalej. Nie mieli szansy dotrzeć tam dzisiaj, Sacha był na to zbyt zmęczony.

– Chyba powinniśmy znaleźć jakiś nocleg – powiedział, gdy Taylor usiadła za nim.

Ku jego zdumieniu, natychmiast się zgodziła.

– Dobra myśl. Gdzie?

Wyciągnął mapę z kieszeni i rozpostarł ją na kolanach. Taylor pochylała się nad jego ramieniem.

– Jesteśmy tutaj. – Wskazał miejsce na mapie. – Musi być coś w pobliżu...

Powiodł palcem po ich planowanej trasie i zatrzymał go na zaznaczonych zielonym kolorem terenach leśnych.

– Park narodowy jest jakąś godzinę drogi stąd – oznajmił. – Powinniśmy znaleźć tam odpowiedni nocleg.

– W nocy w lesie nikogo nie będzie – powiedziała Taylor z zadumą. – Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nas tam szukać.

Miejsca nie dało się nazwać idealnym, ale musieli się nim zadowolić. Sacha w duchu podjął decyzję.

– Powiadom Louise, co zamierzamy zrobić. – Złożył mapę.

Taylor wyciągnęła telefon i nacisnęła guzik połączenia.

– To kiepski pomysł – wymamrotał Alastair, zawracając.

Louisa odłożyła telefon.

– Nie będę się z tobą spierać, ale wcale się im nie dziwię – powiedziała. – Są wykończeni. Nie odpoczywali od ponad doby. – Za kilka godzin dotarliby do kryjówki. – Alastair nie wydawał się rozgniewany, ale miał zaniepokojoną minę.

Louisa w głębi duszy czuła to samo. Przecież byli tak blisko.

– Mądrze wybrali to miejsce. – Próbowwała przekonać również siebie, nie tylko jego. – Zaszyją się tam na kilka godzin, prześpią i wyruszą przed świtem.

– Ale my nie możemy być z nimi – przypomniał jej niepotrzebnie. – I oboje uważamy, że Mortimer za nami jedzie.

Wymienili znaczące spojrzenia.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś? – zapytał.

Louisa wyrzwała przez okno na gęstniejący las.

– Po co? – odparła. – Jeśli zbliży się do nich, Taylor to wyczuje. Nie chcę, żeby jeszcze bardziej się bali.

Zastanawiała się, czy podjęła trafną decyzję. Przez cały dzień wyczuwała słabe oznaki mrocznej mocy. Zaczęło się to jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Calais i od tamtego czasu pojawiało i znikało. Nie sposób było namierzyć tej mocy, nieustannie pozostawała poza ich zasięgiem, przez co oboje odnosili wrażenie, że są śledzeni. Na wszystkie sposoby usiłowali zmylić pościg, ale wciąż od czasu do czasu go wyczuwali.

– Zupełnie jakby jechał w dużej odległości za nami – powiedział Alastair po raz drugi, odkąd to zauważyli. – Albo jakby znajdował się blisko, ale otoczony jakąś tarczą ochronną.

– Innymi słowy, jedzie za nami, nie za nimi – podsumowała Louisa.

– Przecież tego chcieliśmy, prawda?

– Pełny sukces – mruknął.

Sprawiał wrażenie wycieńczonego. Pod jego oczami pojawiły się głębokie cienie, a blond włosy sterczały niemal pionowo na głowie.

Przez cały czas prowadził, ponieważ Louisa nigdy się tego nie nauczyła – wcześniej jakoś nie wydawało jej się to ważne. Była stuprocentową dziewczyną z miasta i dopóki istniały autobusy i taksówki, nauka jazdy w ogóle jej nie interesowała.

Chyba też była zmęczona, bo nie wiedzieć czemu, na myśl o tym po raz pierwszy od wieków przed oczami stanął jej obraz rodziców zastępczych pakujących dzieciaki do marnego brązowego kombi. W tych wspomnieniach zawsze była ostatnia. Zawsze pomijana, zawsze piąte koło u wozu.

– Tu się może wcisnąć – mawiała jej matka zastępcza ze zmarszczonymi brwiami, gdy Louisa próbowała usadowić się pomiędzy fotelikiem dla niemowlęcia i przybranym bratem, który piorunował ją wzrokiem, jeśli tylko go dotknęła.

Słyszała, jak jej rodzice zastępczy mamroczą do siebie coś o pieniądzach i o tym, że „teraz, gdy pojawiło się niemowlę, może warto sprawdzić, czy nie dałoby się jej odesłać w inne miejsce”.

Jakby nie miała uszu. Jakby nie mieli serca. Ale przecież im nie zależało, prawda? Nikomu nie zależało.

– Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu.

Słowa Alastaira gwałtownie przywróciły ją do rzeczywistości. Pokręciła głową i zamrugnęła, żeby oprzytomnieć. Alastair właśnie skręcał z szosy na wąską drogę prowadzącą w gęsty las. Jediną wskazówką, że wjeżdżali do parku narodowego, była niewielka tabliczka z listą zakazanych czynności.

– Tu chyba napisano, że nas zamkną, jeśli rozpalimy ognisko – zauważyła Louisa.

– Najpierw muszą nas złapać – odparł Alastair. – A ta furgonetka mknie jak wiatr.

– Uhm.

Drogi w parku wytyczono na stromych, lesistych wzgórzach. Choć na równinach było jeszcze jasno, w lesie panowały nieprzeniknione ciemności, więc Alastair włączył reflektory.

Jechali krętą drogą w ponurym cieniu drzew, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie dotarli na szczyt i ponownie zrobiło się jaśniej.

Louisa rozglądała się wokół, wypatrując czarnego motocykla, ale mijali wiele bocznych dróg – Sacha i Taylor mogli skrócić w którąkolwiek z nich. Kiedy wyjęła telefon, żeby zadzwonić i spytać, gdzie zaparkowali, przekonała się, że na ekranie nie ma ani jednej kreski. – Cholera, brak zasięgu – wymamrotała.

Alastair pokonał ostry zakręt na stromym wzniesieniu, nie odrywając oczu od coraz bardziej wyboistej drogi.

– Co robimy? Jedziemy dalej?

Louisa przygryzła wargę, rozważając możliwości. To było dobre miejsce na nocleg, jednak nie zdawała sobie wcześniej sprawy z problemów technicznych – z tego, że przez całą noc nie zdołała się skontaktować z Sachą i Taylor.

Nieustannie przeszukiwała las, licząc na wykrycie charakterystycznej energii alchemicznej Taylor. Było to jednak niemożliwe. Energia nie przenosiła się tak daleko, nawet przy wielkiej mocy. Na plus trzeba było zaliczyć to, że nie dało się też wyczuć mrocznej energii. O ile się zorientowała, nikt tu za nimi nie dotarł.

Alastair zaklął, gdy droga znów skręciła. Brakowało barierki ochronnej, a strome zbocze po jednej stronie niknęło w ciemnościach.

– To nie są żadne drogi – skomentował, wytężając wzrok. – To kozie ścieżki.

Oboje czuli się ogromnie zmęczeni. Musieli pamiętać o swoim bezpieczeństwie.

– Powinniśmy zaparkować – oznajmiła.

– Świetnie. Gdzie? – Alastair rozejrzał się, tak jakby liczył na to, że zniemacka pojawi się parking.

– Na pewno jest tu gdzieś jakieś miejsce dla aut.

– Lou... – Spojrzał na nią z ukosa i zredukował bieg. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteśmy w lesie, prawda?

– Szukam odpowiedniego noclegu – odparła spokojnie. – Pozwolisz mi?

– Może tam? – Wyciągnął przed siebie rękę.

Dotarli na szczyt wzgórza. Tuż przy drodze rozpościerał się płaski, otwarty teren.

– Myślę, że uda mi się tam wjechać i nie utknąć – dodał.

Miejsce nie należało do szczególnie dobrze osłoniętych, ale w zasadzie nie musieli się chować. Louisa poważnie wątpiła, by francuskie władze przeszukiwały nocami parki narodowe w poszukiwaniu zabłąkanych furgonetek. Poza tym mieli stąd dobry widok na dolinę. Gdyby ktoś się zbliżał, dostrzegliby go z dużym wyprzedzeniem.

– Mnie pasuje – powiedziała. – Nie ma tu nikogo, kto mógłby protestować.

Zjechali z drogi, po czym zaparkowali w pobliżu kępy drzew.

Alastair zgasił silnik i z ulgą rozparł się w fotelu.

– Dzięki Bogu nareszcie chwila wytchnienia. – Popatrzył w kierunku zachodzącego słońca, którego promienie barwiły niebo na bursztynowo i rdzawo. – Co teraz?

Louisa uniosła wysoko rękę z telefonem, ale nadal nie było zasięgu.

– Daj mi sekundę. – Odkręciła szybę, wygramoliła się na zewnątrz i ruszyła na dach samochodu, mocno odpychając się nogą.

– Lou... – Alastair wychylił się i na nią popatrzył. – Co ty robisz, do cholery?

– Tylko jedną sekundę, okej?

Pomachała telefonem wysoko nad głową, raz w lewo, raz w prawo.

Bez rezultatu.

Gdy stało się jasne, że nic nie osiągnie, stała przez chwilę na dachu i rozglądała się po dolinie. Panował tu idealny spokój i tylko jastrząb zataczał powolne kręgi pod czystym błękitnym niebem.

Louisa zgrabnie zeskoczyła na ziemię, obserwowana przez zaskoczony Alastair.

– A teraz czekamy – oświadczyła.

Miejsce wybrane przez Sachę i Taylor znajdowało się na brzegu jeziora, z dala od szosy, na końcu nierównej, gruntowej dróżki. Nie mogłoby być lepiej ukryte.

Prawie je przegapili, ale Taylor na szczęście zauważyła małeńki znak w świetle reflektorów z napisem „Lac Le Bac”. Strzałka wskazywała na gęstą ścianę drzew iglastych.

– Może tutaj? – zasugerowała.

Sacha zwolnił, po czym wzruszył ramionami. Miejsce wydawało się wystarczająco odosobnione.

– Sprawdźmy.

Ostrożnie skręcił na stromiznę i ruszył w dół. Motocykl jechał tutaj inaczej, był mniej stabilny i bardziej niebezpieczny. Gdy toczyli się powoli, Taylor mocno trzymała Sachę w pasie.

Wydawało się, że trwa to całą wieczność, ale w pewnej chwili gałęzie się przerzedziły i ujrzeli przed sobą kryształowobłękitną wodę, niczym lustro odbijającą ciemniejące niebo. Sacha gwizdnął ze zdumieniem.

– To się nazywa jezioro – powiedział.

Stadko ptaków wodnych pływało przy brzegu. Ryk silnika je spłoszył i zaniepokojone wzbiły się w powietrze.

Sacha jechał powoli wyboistą ścieżką nad jeziorem, aż po chwili wskazał małą zatoczkę w otoczeniu drzew. – Tam mogę ukryć motor – powiedział.

Robiło się chłodno, więc Taylor zaproponowała, że rozpali ognisko, kiedy Sacha będzie maskował motocykl. Zanim ustawił go za drzewami i obłożył gałęziami tak szczelnie, że nie wystawał nawet najmniejszy fragment, niemal skończyła już usypywać schludny stosik suchego drewna na podpałkę.

Miękka ziemia tłumiła kroki Sachy, więc Taylor nie słyszała, jak podchodził.

Jej potargane loki opadały na ramiona, kiedy klęczała, skoncentrowana na precyzyjnym układaniu gałązek. Miała poważną minę, bardzo skupioną, i mimo zmęczenia musiał się uśmiechnąć. Mógł się spodziewać, że Taylor ułoży tak estetyczne ognisko. Na pewno opracowała specjalny system.

Przez chwilę stał nieruchomo i tylko ją obserwował. Jak miał ją chronić? Czy w ogóle istniał jakikolwiek sposób na to, żeby obronić ją przed tym, co się działo?

Nie po raz pierwszy ogarnęła go chęć ucieczki. Zapragnął zostawić Taylor w ukryciu i oddać się w ręce Mortimera. Był skłonny przehandlować swoje życie w zamian za jej bezpieczeństwo. Jeśli jednak alchemicy mieli rację, oddając życie, nie ochroniłby nikogo. Przeciwnie, doprowadziłby do kataklizmu.

Znaleźli się w pułapce.

Taylor musiała wyczuć jego obecność, bo odwróciła głowę i popatrzyła na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Natychmiast przybrał obojętną minę i ukląkł obok.

– Jak to zapalić? – W skazał stosik. – Nie mam zapalek.

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Słońce już prawie całkiem zniknęło za horyzontem. Zęby Taylor błysnęły w uśmiechu.

– Po co ci zapalki, skoro masz mnie – powiedziała i uniosła dłonie nad podpałką.

Sachy wydało się, że czuje przepływ energii, jakby ziemia śpieszyła wypełnić polecenie Taylor. Niewykluczone jednak, że to wyobraźnia płatała mu figla.

Wystarczyła chwila, żeby na drewnie zajaśniał złocisty płomyk, a pasemko dymu wzbiło się pod niebo. Taylor odgarnęła włosy i lekko dmuchnęła na patyki, by rozniecić ogień. Płomienie zakotłosały się i drżąc, ogarnęły suche drewno. Oboje poczuli bijące od ogniska ciepło.

– Robi wrażenie. – Sacha spojrział z podziwem na Taylor, która nadal trzymała dłonie nad ogniem, rozkoszując się ciepłem. – Naprawdę już potrafisz to kontrolować.

– Oszczędzę fortunę na zapalkach. – Popatrzyła na niego, oświetlona blaskiem płomieni. – Umieram z głodu. Szkoda, że nie

potrafię stworzyć jedzenia, urządzilibyśmy sobie piknik.

– Nie musisz.

W stał, otrzepał kolana, po czym ruszył do motocykla po kartonowe pudełko z torby. Było pogniecione, ale w jednym kawałku. – Na pewno ucieszysz się, że nie zostawiłem ciastek... – oznajmił, wracając do ognia.

Nagle umilkł. Ogień jasno płonął, jednak dziewczyna zniknęła.

– Taylor? – Sacha usiłował zapanować nad paniką, ale nieświadomie zgniótł pudełko palcami.

Odszedł tylko na moment, a ona przepadła. Jak to możliwe?

– Taylor? Gdzie jesteś? – Tym razem nie krył strachu.

– Tutaj – rozległ się głos w ciemności. Taylor wróciła znad brzegu jeziora i w świetle ognia strząsnęła wodę z rąk. – Musiałam doprowadzić się do porządku. Zarosłam brudem.

Miała mokrą twarz, a włosy odrzuciła na ramiona. Widział zarys jej sylwetki na tle płomieni i zrobiło mu się słabo z ulgi. Nic się jej nie stało. Z trudem zapanował nad sobą. Najchętniej podbiegłby do niej i chwycił ją w objęcia.

Nieświadoma tego, jak wspaniale wyglądała w jego oczach, Taylor wytarła dłonie o spodnie.

– Woda jest lodowata – westchnęła. – Szkoda, że nie wzięliśmy mydła. Chyba śmierdzą.

Sacha nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, więc w desperacji wyciągnął zgniecione pudełko. – Mam kolację – obwieścił.

- Trzeba było zabrać więcej jedzenia. - Louisa popatrzyła ze smutkiem na puste opakowanie po herbatnikach.

- Przecież nie wiedzieliśmy, że czeka nas zabawa w cholerne podchody, prawda? - burknął Alastair. - Mieliśmy już być w kryjówce.

- Robisz się wredny, kiedy jesteś głodny - poinformowała go.

Nie wydawał się ani trochę rozbawiony.

- Zimno mi i czuję się odcięty od świata - oświadczył. - Nie podoba mi się to, Lou.

- Ja też nie jestem zachwycona - odparła. - Musiałam sikać w lesie jak niedźwiedź.

Alastair wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że ma to w nosie.

- Która jest? - spytała Louisa, chociaż jej telefon leżał tuż obok i mogła to sama sprawdzić. Popatrzył na zegarek.

- Minęła dziewiąta.

- Dziewiąta? - Louisa uniosła brwi. - Jak to możliwe, że nie później? Mam wrażenie, że siedzimy tu od lat.

- Od dwóch godzin. - Skrzyżował ręce na piersi. - Przykro mi, że moje towarzystwo tak cię nudzi.

Popatrzyła na niego, marszcząc brwi. Dotąd się jeszcze nigdy nie pokłócili, Alastair nie wpadał w złość. Wiedziała, że obojgu potrzeba snu i jedzenia, jednak adrenalina nie dawała im spać i mieli coraz gorsze humory.

- Myślałam, że lubisz camping - powiedziała. - To ty jesteś ze wsi. Powinieneś czuć się tutaj jak ryba w wodzie.

- Moi dziadkowie mają dom na wsi - wycedził. - Ja wychowałem się w Chichesterze.

Louisa nie miała pojęcia, gdzie leży Chichester.

- A to nie na wsi?

- O mój Boże. - Osunął się w fotelu i oparł brodę na piersi, jak mały chłopiec. - To miasto na południu Anglii, z taką ładną katedrą.

Pokażę ci na mapie.

– Nie muszę go oglądać na mapie. – Postanowiła, że nie da się sprowokować. – Po prostu dziwi mnie, że nie wiedziałam, skąd jesteś.

Jak to możliwe?

– Nigdy nie pytałaś.

Zapadła cisza. Louisa nie miała pojęcia, co powiedzieć. Alastair był jej bliższy niż ktokolwiek. Dlaczego nigdy nie próbowała dowiedzieć się od niego, gdzie dorastał? Wiedziała, że jego ulubiony kolor to zieleń, że lubi psy i piesze wycieczki. Że oboje jego rodzice są alchemikami i w młodości studiowali w Kolegium Świętego Wilfreda. Że ma siostrę, którą uwielbia, nieco młodszą od Taylor.

Wszystkie te informacje wyszły w rozmowach. Tak naprawdę nigdy o nic go nie zapytała.

– No to jestem dupkiem – oświadczyła stanowczo. – Opowiedz mi o swojej rodzinie. Chcę wiedzieć.

– Wszystko w porządku, Lou? – Uniósł brwi. – Nie jesteś chora, czy coś?

– Nic mi nie jest. Po prostu usiłuję się oddupkować. – Odwróciła się w dużym fotelu furgonetki i usiadła po turecku, patrząc na Alastaira. – Gadaj.

– No cóż... – zaczął ostrożnie. – Mój tata jest radcą prawnym, a mama psychologiem. Chodziłem do państwowej szkoły, ale kiedy miałem dwanaście lat, rodzice przepisali mnie do prywatnej, bo chciałem czytać więcej książek, niż było w bibliotece.

– Jakoś mnie to nie dziwi – zauważyła z uśmiechem. – Opowiedz więcej.

– A o czym tu opowiadać? – Rozłożył ręce. – Mieliśmy psa o imieniu Pepper, zdechł trzy lata temu.

– A jaki jest twój dom? – drążyła. – Nowy czy stary?

– Starawy. – Wyrzwał przez okno, jakby go sobie przypominał. – To jeden z tych pełnych zakamarków domów z lat trzydziestych dwudziestego wieku, w których ciepło jest tylko w kuchni, więc wszyscy ciągle tam przesiadują. Sama wiesz.

Tak naprawdę Louisa nie wiedziała. Dzieciństwo spędziła w mieszkaniach i squatach, a także w rodzinach zastępczych

w rozmaitych dzielnicach na przedmieściach Liverpoolu. Wczesnego dzieciństwa w ogóle nie pamiętała.

Oddałaaby wszystko za wspomnienia pełnego zakamarków i miłości rodzinnego domu.

– Tak, wiem – potwierdziła.

Coś w jej tonie zwróciło jego uwagę.

– Lou... – Popatrzył na nią. – Co się dzieje? Dlaczego mnie o to wszystko pytasz?

– Po prostu... – Odetchnęła głęboko.

Ta cisza była niepokojąca, podobnie jak ciemność. Noc zdawała się napierać na okna niczym woda.

– Po prostu widziałam, do czego zdolny jest Mortimer, i myślę, że niekoniecznie wyjdę z tego żywa. – Popatrzyła na niego. – A jeśli mam umrzeć, to chcę cię lepiej poznać.

Alastair sięgnął po jej rękę i mocno ją uściskał, jakby się bał, że Louisa zaraz się wyrwie.

– Nie umrzesz.

– Być może umrę – upierała się. – I nie chcę umrzeć, załując pewnej rzeczy, której nie zrobiłam, bo się bałam.

– Czyli czego?

Mówił cicho, a jego ręka była bardzo ciepła.

– Tego.

Louisa chwyciła go za podkoszulek i przyciągnęła do siebie, a kiedy ich usta się dotknęły, pocałowała go gwałtownie, przygotowana na to, że Alastair zaraz się odsunie i powie jej, że nie czuje tego, co ona.

Jednak się nie odsunął, tylko objął Louise i przytulił, całując ją równie namiętnie, jak ona jego. Rozsunął jej wargi językiem z takim pożądaniem, że zaparło jej dech w piersi.

Czuła jego mocne dłonie na swoich plecach – na tyle mocne, żeby ją przytrzymać, ale też, jak podejrzewała, żeby ją puścić, gdy będzie tego potrzebowała.

Gdy pocałunek się skończył, Alastair westchnął niepewnie i pogłaskał ją po twarzy.

– Dlaczego tak długo z tym zwlekałaś, do cholery?

Louisa tylko pokręciła głową, nadal trzymając dłonie na jego szerokich ramionach. Jak miała mu to wyjaśnić?

– Może nie wiem o tobie wszystkiego, ale ty wiesz sporo o mnie – odparła. – Wiesz, jak było z moją rodziną, prawda?

Zawahał się, ale po chwili skinął głową.

– Aldrich powiedział mi to na samym początku – przyznał. – Po twoim przybyciu do Świętego Wilfreda martwił się, że uciekniesz i znów wylądujesz na ulicy.

To ani trochę nie zaskoczyło Louisy. Aldrich znalazł ją po jej ucieczce z więzienia, gdzie trafiła za przypadkowe zabicie mężczyzny, który próbował ją zgwałcić, kiedy miała siedemnaście lat. Aldrich jechał wtedy na spotkanie w Liverpoolu i zauważył Louise na ulicy nieopodal stacji. Zawsze powtarzał, że jej alchemiczna moc „świeciła niczym gwiazda”.

Bardzo długo przekonywał ją, że naprawdę jest tym, za kogo się podawał. Początkowo nie dawała mu wiary. Groziła mu, wrzeszczała na niego, uciekała, ale on nie rezygnował. W końcu uwierzyła, ale i tak nie chciała z nim jechać do Oksfordu sam na sam. Musiał ściągnąć swoją doktorantkę, młodą kobietę o imieniu Joanne, która pokonała całą drogę z Oksfordu do Liverpoolu tylko po to, by z nimi wrócić.

Louisa podróżowała wtedy z tyłu starego jaguara Aldricha, trzymając klamkę i kombinując, jak zwieje, gdyby tych dwoje zwróciło się przeciwko niej. Tak się jednak nie stało. Aldrich nucił cicho do jazzu z radia, a Joanne odwracała się w fotelu, aby zapewniać Louise, że jest bezpieczna.

Nawet po przybyciu do Oksfordu, gdy trafiła do ciepłego, suchego pokoju, musieli ją przekonywać, żeby została na noc. W końcu zwyciężyło zmęczenie i po prostu zasnęła.

Następnego ranka Alastair, wytworny jak cholera mimo zniszczonych dżinsów i prawie dwumetrowy, zjawił się na korytarzu przed jej pokojem, z papierowym kubkiem kawy i torbą pączków.

– Aldrich kazał mi przynieść ci to – powiedział. – Jedzenie ze stołówki może cię zabić, a nie chcemy, żebyś zginęła, zanim nas poznasz.

Od samego początku wiedziała, że to było ustawione. Aldrich nie przypadkiem wysłał do niej najmądrzejszego, najdowcipniejszego studenta. Miał nadzieję, że wpadną sobie w oko.

I teraz, cztery lata później, to się działo.

Louisa była gotowa zrobić wszystko, żeby nie stracić Alastaira. Po śmierci Aldricha tylko on jej pozostał.

Popatrzyła w jego pełne uczucia i troski oczy.

– Nie wiem, jak to jest kogoś kochać – wyznała. – Ale chyba cię kocham. – Ku swojemu zdumieniu, poczuła łzy pod powiekami. Jej głos drżał. – Alastair, nie wiem, co robić.

Przytulił ją mocniej i przyciągnął do siebie. Louisa usiadła mu na kolanach, a on otoczył ją ciepłymi ramionami.

– Dobrze wiesz, jak kochać. – Delikatnie zetknęli się czołami. – A jeśli nie wiesz, to cię nauczę.

Znów się całowali, a ona na krótką chwilę zapomniała o strachu.

Taylor i Sacha siedzieli przy ognisku. Na niebie nie było księżycy, a ciemność wydawała się wręcz namacalna, jakby wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć.

Sacha rozkoszował się spokojem, który kojarzył mu się z winnicą ciotki. Wokół cykały świerszcze, gdzieś w lesie pohukiwała sowa. W powietrzu unosił się przyjemny aromat palonego drewna.

Najlepsze jednak było to, że chwilowo nikt nie wiedział, gdzie są. Czuli się bezpieczni. Po zjedzeniu kanapek i części ciastek, a także podzieleniu niewielkiej ilości wody, która im została, odpoczywali przy ogniu.

Zrobiło się chłodniej, więc Taylor znów włożyła kurtkę Sachy. Popatrzyła na niebo, a wtedy kurtka zsunęła się i odsłoniła jej białą szyję.

– Tyle gwiazd – odezwała się Taylor ledwie słyszalnym szeptem. – Chyba nie wiedziałam, że jest aż tyle gwiazd we wszechświecie. Sacha również podniósł wzrok. Srebrne punkty przyprószyły niebo, dzięki czemu noc nie wydawała się już tak nieprzenikniona. Kiedy spojrzął na Taylor, nadal z zadumą patrzyła w górę. Przez cały wieczór siedziała cicho, pogrążona w rozmyślaniach. Wydawała się bardzo samotna.

W końcu Sacha przerwał milczenie.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosił. – Coś, czego nie wiem.

Taylor popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Nie mam nic ciekawego do opowiedzenia – odparła. – Jestem nudna. Moja rodzina też. Sacha mruknął niecierpliwie.

– Wszystkie rodziny są nudne – zauważył. – Nie prosiłem, żebyś powiedziała coś interesującego, tylko cokolwiek.

Taylor wyprostowała się i dorzuciła świeżego drewna do ognia. Płomienie zatrząsały i wystrzeliły, posyłając iskry wysoko ku gwiazdom.

Sacha wiedział, że celowo zwleka, ale jej nie ponaglał.

– Kiedyś coś ukradłam – wyznała w końcu. – Szminkę. To było najgorsze, co zrobiłam, aż do...

Nie dokończyła zdania, ale i tak wiedział, co chciała powiedzieć. „Aż do teraz”.

– Ukradłaś coś? Nie wierzę. – Celowo mówił lekkim tonem. – Na pewno nic byś nie ukradła, to nie leży w twojej naturze. Już na pierwszy rzut oka potrafisz rozpoznać złodzieja.

– Naprawdę ukradłam – upierała się. – To nie był mój pomysł, moja przyjaciółka Georgie mnie zmusiła. Miała obsesję na punkcie rzucania wyzwania i robienia rzeczy, których nie chce się robić. Zawsze powtarzała: „Wyjdź ze swojej strefy komfortu, Tay. Skosztuj życia”. – Na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Chyba się bała, że na zawsze skończę w Woodbury sam na sam z książkami.

– Opowiedz mi o tym straszliwym przestępstwie. – Sacha odrobinę się do niej przysunął. – Jak skroiłaś fant?

– Nie skroiłam fantu, Sacha, nie jestem gangsterem. – Zerknęła na niego z półuśmiechem. – To była drobnostka, ale i tak nie daje mi spokoju. Pamiętam każdą sekundę. Weszłam do miejscowej drogerii, w której mama kupowała plastry i gumki do włosów, no i wzięłam szminkę. – Zapatrzyła się w przestrzeń. – Złapałam pierwszą lepszą. Nawet nie wiedziałam, jakiego jest koloru. Ręce tak mi się trzęsły, że mało jej nie upuściłam. – Popatrzyła na swoje palce, jakby próbowała przypomnieć sobie tamto uczucie. – Potem wyszłam. Nikt nawet na mnie nie spojrział. Idealna Taylor Montclair nigdy by niczego nie ukradła. Czułam się okropnie, całkiem jakbym wbiła pracującym tam ludziom nóż w plecy. Ale zrobiłam to, żeby się sprawdzić.

– Nie złapali cię?

– To chyba było najgorsze. Uszło mi to na sucho. – Objęła kolana. – Chciałam odnieść tę szminkę, ale Georgie powiedziała, że w rezultacie znów znajdę się w strefie komfortu, więc muszę ją zatrzymać i nigdy jej nie oddawać. Czekałam, aż policja przyjedzie do mojego domu i mnie zgarnie. Nie przyjechała.

– Bardzo mi przykro, że wymiar sprawiedliwości cię zawiódł – oznajmił Sacha z powagą.

Taylor trzepnęła go w ramię.

– Miałam tylko czternaście lat – zauważyła. – Bardzo cię proszę, uszanuj moją traumę.

Zaśmiał się i uchylił przed następnym pacnięciem.

– To rzeczywiście musiało być bardzo traumatyczne – westchnął. – Dobra, mądralo. – Popatrzyła na niego. – Twoja kolej. Opowiedz mi coś, czego o tobie nie wiem.

– Opowiedziałbym ci o wszystkich moich przestępstwach, ale będziemy tu tylko przez osiem godzin, a to na pewno nie wystarczy.

Śmiech Taylor był cichy i przyjemny.

– No dobrze – ustąpiła. – Opowiedz mi o swoim ulubionym przestępstwie. Albo o najgorszym. Albo o najbardziej pamiętnym. Sam coś wybierz.

Sacha podniósł patyk i pogrzebał nim w ziemi, zastanawiając się, o czym opowiedzieć. Nie do końca żartował, mówiąc o liście swoich przestępstw. Rzeczywiście, trochę się ich nazbierało. Nigdy nie powiedział Taylor o Antoinie ani o tym, że dla pieniędzy skoczył z dachu magazynu. Teraz jednak nie było na to czasu. Przestałaby się śmiać, a nie chciał, żeby tak się stało.

– Przez pewien czas zadawałem się z takimi jednymi typami – powiedział po długim milczeniu. – Pewnie można by ich nazwać gangiem. Tak czy owak, robili rozmaite rzeczy, a ja uznałem, że byłoby fajnie poszwendać się z nimi. Organizowali rozgrywki pokera o wysokie stawki. Stawiali wszystko, samochody, domy... Szaleństwo. Właśnie w ten sposób zdobyłem motocykl.

W skazał miejsce, w którym ukrył motor za drzewami.

– Wygrałeś go? – Taylor wbiła wzrok w Sachę. Skinął głową.

– Facet, który go postawił, był naprawdę pijany – wyjaśnił skromnie. – Przyćmiło mu rozum. Średnio gram w pokera, ale całkiem nieźle potrafię się zorientować, kiedy ktoś radzi sobie gorzej ode mnie. – Ile wart jest ten motocykl? – zainteresowała się. – Wygląda na drogi.

– Dużo. – Nie umiał ukryć dumy. – Jest jedną z moich najlepszych wygranych.

– To zgodne z prawem? – Popatrzyła na niego jeszcze bardziej podejrzliwie.

– Zależy od tego, jak rozumiesz zgodność z prawem. – Zanim zdążyła zadać mu kolejne podchwytliwe pytanie, pośpiesznie powrócił

do swojej opowieści. – Pewnej nocy ci faceci założyli się ze mną, że nie ukradnę samochodu ich szefa. Ten szef to nie byle kto, non stop otaczał go rój ochroniarzy. Zadanie było niemożliwe, ale mnie się udało.

– Jak? – Taylor nie kryła zainteresowania.

– Wszyscy w tym gangu mnie znali. Ciągle się z nimi pętałem. No i któregoś dnia jak zwykle wszedłem do garażu i powiedziałem, że mam odebrać samochód dla Antoine'a, jednego z tych facetów. Zachowywałem się bardzo swobodnie i spokojnie, ale przez cały czas oblewał mnie zimny pot, bo wiesz, ci faceci są uzbrojeni po zęby. Zadzwonili do Antoine'a, żeby spytać, a on powiedział: „Tak, niech Sacha weźmie samochód”. – Uśmiechnął się szeroko. – No i wyjechałem z garażu autem szefa. Wściekli się. Antoine wpakował się w poważne kłopoty.

– Ścigali cię?

– Pewnie. Oddałem auto, ale... – Sacha pomyślał o Antoine i o pistolecie w jego dłoni, którym gangster wskazywał krawędź dachu magazynu. – Potem miałem z nimi trochę problemów.

Taylor usiadła po turecku i oparła łokcie na kolanach, nie odrywając wzroku od Sachy.

– To ci sami faceci, którzy cię... skrzywdzili, kiedy byliśmy w Paryżu?

Zawahał się. Nie chciał, żeby rozmowa potoczyła się w kierunku, którego się obawiał.

– Część z nich – przyznał. – Ale to co innego. Tak naprawdę ścigali Antoine'a, nie mnie.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Dlaczego to robisz? – spytała Taylor cicho.

– Co? – Zmarszczył brwi.

– Dlaczego podejmujesz takie ryzyko? Zadajesz się z kryminalistami, którzy chcą cię zabić?

Sacha nieco zbyt energicznie rzucił patyk do ognia, rozsypując rozżarzone węgielki.

– Chyba nie obchodziło mnie, ile bólu zadaję – westchnął. – Myślałem tylko o sobie.

– A mama? I twoja siostra? – Taylor nie spuszczała z niego wzroku.

– Jaki sens ma życie, kiedy się zna datę swojej śmierci? – Sacha wytrzymał jej spojrzenie, jakby rzucał jej wyzwanie. – Musisz zrozumieć, że wówczas nie miałem o niczym pojęcia. Nie wiedziałem, dlaczego tak się dzieje. Wiedziałem tylko, że to nie jest w porządku. Nic nie miało dla mnie znaczenia, Taylor. Nie zależało mi na niczym, także na ludziach, a już na pewno nie na sobie. I...

Umilkł, nie mogąc dokończyć tej myśli.

– I co? – Delikatnie go ponagliła. – Powiedz. Cokolwiek to jest. – Chciałem umrzeć. – Popatrzył na nią. Wzdrygnęła się, więc dodał szybko: – Nie rozumiesz? Gdybym mógł umrzeć przed osiemnastymi urodzinami, miałbym jakąś kontrolę nad własnym życiem, nad tą głupią kłębą. Byłbym normalnym facetem, a nie jakimś... potworem, któremu można strzelić w twarz albo wsadzić nóż pod żebro, a on wstanie i sobie pójdzie. Kimś, kto otwiera sobie żyły i patrzy, jak niemal natychmiast się goją. – Z trudem przełknął ślinę. – Usiłowałem zmienić swoje przeznaczenie. Bezskutecznie.

Zaryzykował spojrzenie na nią. Oczy Taylor błyszczały od łez. – Rozumiem. – Powiedziała to cicho i przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

– Co?

– Rozumiem – powtórzyła. – Też o tym myślałam. O znalezieniu wyjścia. O tym, jak nie być sobą. A przecież moje problemy to nic w porównaniu z twoimi. Nikt nigdy mi nie powiedział, że muszę umrzeć, przynajmniej nie do tego tygodnia. Ale... – samotna łza spłynęła po jej policzku – ... powinieneś coś wiedzieć. Zrobię wszystko, żeby utrzymać cię przy życiu.

Dłużej nie mógł się powstrzymać. Wyciągnął do niej rękę i wziął ją w ramiona. Taylor objęła go mocno za szyję i przytuliła. – Nie umieraj, Sacha – wyszeptała żarliwie. – Proszę, nie umieraj.

– Nie chcę – zapewnił ją łamiącym się głosem. – Już nie. – Odsunął się, żeby zobaczyć jej twarz i te zielone oczy. – Teraz chcę żyć.

Najbardziej na świecie chcę żyć. Razem z tobą.

Oddech uwiązł jej w gardle. Wtedy Taylor z powagą uniosła głowę, jakby właśnie podjęła ważną decyzję, i zbliżyła usta do jego ust. To się stało bardzo szybko. Później próbował przypomnieć sobie tę chwilę, ale pamiętał tylko krótką pauzę, kiedy Taylor wstrzymała oddech.

A potem już się całowali.

Jej usta były miękkie i ciepłe. Smakowała słonymi łzami i cukrem z ciastek.

Delikatnie rozchylił jej wargi językiem, a ona przywarła do niego mocniej, jeszcze bardziej przyciągnęła go do siebie, aż poczuł miękkość jej ciała. Jęknął cicho, gardłowo i wsunął dłonie pod jej skórzaną kurtkę. Odetchnął głęboko, przesuając je wyżej po jej rozpalonych plecach i muskając palcami poziomą linię paska stanika, a po chwili zatracił się w aksamitnych falach jej włosów, kiedy razem osunęli się na miękką ziemię przy ognisku.

Nieświadomie szeptał do niej po francusku. Zapewniał ją, jaka jest piękna, jak bardzo pragnął ją pocałować i jak ją kocha. Całował jej policzki, czoło i powieki – wszystko miękkie niczym piórko.

Każdy pocałunek stanowił dowód na to, że Sacha nie był już sam. Przetoczył się na plecy i pociągnął ją za sobą. Taylor wylądowała na nim, całując ostrą linię jego szczęki, policzek, aż do ucha. Trudno mu było myśleć, kiedy czuł tam jej usta. Trudno mu było robić cokolwiek poza trzymaniem jej w ramionach.

Nieoczekiwanie przeszył go prąd. Sacha zatrzęsł się, z trudem chwytając powietrze tak samo jak wtedy, gdy Taylor wykorzystywała jego energię do przyciągnięcia mocy.

W tym samym momencie wiatr się wzmógł, a drzewa wychyliły się w ich kierunku. Nawet płomienie ogniska wygięły się w nie całkiem naturalny sposób. Włosy Sachy stanęły dęba.

– Taylor – wymamrotał, nie chcąc przerywać pocałunku. – Czy ty coś robisz?

Ze zdziwieniem popatrzyła na niego, a potem przeniosła wzrok na ogień i drzewa.

Natychmiast zeskoczyła z Sachy i odpełzła na bok. Była cała czerwona.

– O mój Boże – jęknęła. – Nie chciałam. Nie wiedziałam...

– Co się stało? – Starał się nie uśmiechać, ale wyglądała słodko z ustami zaczerwienionymi od pocałunków, ze zwichrzonymi włosami i zarumienionymi policzkami.

– Nic – odparła bez przekonania.

Sacha wymownie uniósł brwi.

- Myślę... myślę, że niechcący przyciągnęłam twoją energię - przyznała z wyraźną niechęcią i wstydem.

Z uśmiechem sięgnął po jej rękę. Taylor próbowała się odsunąć, ale w końcu z rezygnacją pozwoliła mu się przyciągnąć i znowu trafiła w jego ramiona.

- Możesz sobie czerpać moją energię, kiedy tylko zechcesz - zapewnił ją.

Gdy pierwsze pasma złocistego światła rozjaśniły nocne niebo, Taylor obudziła się w ramionach Sachy.

Przez chwilę leżała nieruchomo i patrzyła na niego. Gdy spał, wyglądał przepięknie. We śnie z jego twarzy zniknął cały cynizm. Sacha wydawał się teraz bardzo młody i bezbronny. Gęste, ciemne rzęsy na tle policzków wyglądały jak narysowane węglem.

Straciła rachubę czasu, gdy mu się przyglądała z zadumą i zachwytem, zanim drgnął i podniósł rękę, żeby osłonić oczy przed światłem. Zastanawiała się, czy teraz, gdy byli kimś więcej niż przyjaciółmi, coś się między nimi zmieni. Czy oni się zmienili.

Po przebudzeniu Sacha okazał się jednak tym samym chłopakiem jak zawsze. Przetarł oczy i spiorunował wzrokiem skrzeczące na niebie ptaki.

– Głupie ptaszyska – powiedział chrapliwie, po czym wrzasnął: – Vos gueules les piafs! Możecie się zamknąć?

Taylor wybuchnęła śmiechem, a wtedy przeniósł wzrok z ptaków na nią. Oparł się na łokciu i wyciągnął rękę, żeby odgarnąć lok z jej policzka.

– Dzień dobry – powiedział. – Spałaś?

– Trochę.

Uśmiechy, które wymienili, wystarczyłyby za tysiąc słów. Sacha pochylił się, żeby ją pocałować. Jego usta były miękkie i delikatne.

Słońce rozgrzewało twarz Taylor, przypominając jej o upływie czasu. Niechętnie odsunęła się od Sachy.

– Lepiej się zbierajmy. Louisa chciała, żebyśmy wyruszyli o świcie.

– Poganiaczka niewolników – burknął, ale wstał.

Umyli się najstaranniej, jak mogli. Zostało bardzo niewiele butelkowanej wody, więc po szczotkowaniu wypłukali zęby wodą z jeziora.

Taylor przez cały czas kręciło się w głowie z oszołomienia i co rusz wygadywała głupoty.

– Mam nadzieję, że bakterie z jeziora nas nie pozabijają – usłyszała swój głos.

Już w chwili gdy wypowiedziała te słowa, zastanawiała się, po co to mówi. Sacha tylko się uśmiechnął z ustami pełnymi piany. Wyglądał tak uroczo, że aż ją to zdumiało i na chwilę zapomniała o samokrytyce. Gdy wrócili do ogniska, raz jeszcze popatrzyła na telefon, chcąc sprawdzić, czy ma zasięg, i odkryła, że bateria kompletnie się rozładowała.

– Psiakrew. – Uniosła telefon, żeby Sacha zobaczył ciemny ekran. – Twój działa?

Sprawdził i pokręcił głową.

– Też nie – odparł.

Taylor nagle poczuła ukłucie paniki, ale Sacha był bardzo spokojny.

– Mamy adres kryjówki – przypomniał jej. – Louisa spotka się tam z nami. Będzie dobrze.

Taylor nie mogła zrozumieć, skąd u niego ten optymizm. Nic go nie ruszało. Kiedy nie patrzył, zerkala na niego, podziwiając wystające kości policzkowe i błękit oczu, w identycznym odcieniu jak jezioro. Podobało się jej, że Sacha jest wysoki i chudy, że proste brązowe włosy opadają mu na czoło, a on dmucha na nie, żeby nie włożyły mu do oczu. Podczas ładowania rzeczy na motocykl Sacha spojrział na nią w chwili, gdy mu się przyglądała, i nie odwrócił wzroku. Taylor zastanawiała się, czy on też ją obserwował, gdy nie patrzyła.

Jego pocałunki były niesamowite, lepsze niż to sobie wyobrażała. Może chodziło o to, że był Francuzem, a może po prostu o to, że był jedyny i niepowtarzalny. Tak czy owak, jej poprzedni chłopak wypadł przy nim bardzo blado.

Dzięki Sachy nie czuła się tak upokorzona z powodu przyływu energii.

– Jesteś jak akumulator w ciele nastolatki – mruknął nocą, całując szyję Taylor. – Podłączony do planety.

Chciała zaprotestować, ale jednocześnie pragnęła dalej delektować się jego pocałunkami.

Natychmiast się zarumieniała na to wspomnienie i doszła do wniosku, że musi przestać myśleć o całowaniu.

Oboje wypchnęli motocykl z kryjówki, gdyż koła utkwily w błotnistej ziemi. Gdy Taylor usiadła za Sachą, odwrócił się do niej. Za osłoną kasku jego oczy wydawały się jeszcze piękniejsze.

– Gotowa? – zapytał.

Objęła go i przytuliła się mocniej, śmieiej niż poprzedniego dnia. Przed wrzuceniem biegu Sacha mocno uściskał jej rękę. Ten prosty gest sprawił, że serce Taylor szybciej zabiło.

Nieważne, co czekało ich na końcu drogi – razem mieli stawić temu czoło.

– Gotowa – odparła.

Dochodziło południe, gdy Taylor i Sacha dotarli do miasteczka, którego szukali. Przez konieczność trzymania się z dala od głównych szlaków wszystko się pokomplikowało – gubili się na bocznych drogach, kilka razy skręcili nie tam, gdzie należało.

W końcu trafili do miasteczka o wąskich uliczkach, przy których wznosiły się domy z bladoróżowego kamienia. Ze względu na upał większość okiennic była pozamykana, przez co miejscowość wyglądała na senną i opustoszałą.

Warkot silnika wydawał się tu głośniejszy, więc Sacha szybko znalazł spokojne miejsce w jednym z zaułków i zaparkował motor.

Następnie zdjął kask i wyjął z kieszeni kartkę, żeby sprawdzić adres.

– Szukamy Rue des Abbesses – powiedział.

Taylor również zdjęła kask i głęboko odetchnęła. Od wielu godzin tkwiła zamknięta w plastiku, więc nawet gorące powietrze na skórze stanowiło przyjemną odmianę.

– Nie ma innych wskazówek? – zapytała.

Sacha pokręcił głową.

– Tylko nazwa ulicy.

Taylor rozejrzała się wokół.

– No to będziemy musieli sprawdzać jedną po drugiej – oświadczyła.

– Czekaj. – Sacha z zadumą potarł brodę. – Uliczka z taką nazwą musi się znajdować blisko kościoła albo opactwa. – Odwrócił się i wskazał iglicę kościoła, sterczącą nad drzewami niczym komin. – To na pewno gdzieś tam.

– Racja. – Taylor znów włożyła kask. – Jedźmy to sprawdzić. Ruszyli drogą, którą przyjechali, zwalniając przy każdej tabliczce z nazwą ulicy. Po pewnym czasie znaleźli kamienny budynek opactwa, wzniesiony na końcu długiej uliczki, za wysokim murem ze złowrogą bramą. Na tabliczce widniał napis: „Rue des Abbesses”.

– W końcu – westchnęła Taylor.

Sacha zwolnił najbardziej, jak się dało, żeby sprawdzić numery. Dom, którego szukali, okazał się wysoki i wąski, a znajdował się tuż przed imponującą kutą bramą opactwa.

Taylor zamknęła oczy, żeby przyjrzeć mu się z perspektywy alchemika. Wszędzie krążyła energia cząsteczek. Cienkie nitki z roślin w ogrodach, grubsze pasma z napowietrznych przewodów elektrycznych i coś pod stopami – zapewne bieżąca woda. W domach panował spokój. W niektórych wyczuła czerwone oznaki ludzkiej energii. W innych nie było nic.

Ani śladu Mortimera.

– Wygląda na to, że jest tu bezpiecznie – powiedziała.

Sacha zgasił silnik.

Jak wszystkie budynki na tej ulicy, dom zbudowano z tego samego kamienia, co opactwo – solidnego i szarego. Miał trzy kondygnacje, a jego dach był najeżony kominami. W górnych oknach wisały firanki, dolne były zabezpieczone okiennicami. Wokół domu rozciągał się niski murek ze starą stajnią z boku. Ktoś zostawił otwartą furtkę, całkiem jakby ich oczekiwał.

Taylor niczego nie wyczuwała we wnętrzu budynku – nie nagromadziła się tam żadna energia, ani ludzka, ani alchemiczna. – Dziwne – odezwała się cicho. – Całkiem jakby dom był pusty, a nawet bardziej niż pusty. Nie wyczuwam elektryczności, ani wody, ani w ogóle niczego. – Popatrzyła na wysoki, stary budynek. – Jakby nie istniał.

Te słowa zaniepokoiły Sachę. Na pewno jednak mieli zjawić się w tym konkretnym domu. – Sprawdźmy – zaproponował.

Machnął ręką, żeby Taylor poszła za nim, i zsiadł z motocykla. Nie wzięli ze sobą toreb.

– Zostawmy wszystko tutaj, na wypadek gdyby... – Zawiesił głos.

Powoli ruszyli przez niewielkie podwórze przed drzwiami. Z boku szumiała fontanna z posągami pięknej dziewczyny wylewającej wodę z amfory.

Znajdowali się w połowie drogi do frontowych drzwi, kiedy furtka zatrzasnęła się za nimi. Głośno szczęknięła zamykana zasuwka, a Taylor poczuła, że jej serce podjeżdża do gardła.

Stali nieruchomo, rozdarci między chęcią ucieczki a pragnieniem dostania się do środka.

– Może to oni? – podsunęła Taylor. – Zamknęli furtkę, żebyśmy byli bezpieczni.

– Albo Mortimer odciął nam drogę ucieczki – zauważył Sacha. – Na dodatek motor został po drugiej stronie.

Nie wydawał się zachwycony.

– Najlepiej zapukajmy – zadecydowała. – Musi być powód, dla którego niczego nie wyczuwam. Może ta kryjówka jest po prostu starannie zabezpieczona.

– Ale bądź gotowa do ucieczki – polecił jej. – I nie czekaj na mnie.

Jeśli to on, bierz nogi za pas. Nie może dopaść nas obojga.

Taylor chwyciła go za rękę.

– Nie dopadnie żadnego z nas – powiedziała.

Oboje usłyszeli zbliżające się kroki. Taylor próbowała wyczuć, co się zbliżało, ale dom niczego nie zdradzał. Serce boleśnie łomotało jej w piersi.

Sacha mocniej ścisnął ją za rękę.

– Bądź gotowa – wyszeptał.

Oboje usłyszeli szcęk otwieranych zamków i zgrzyt odsuwanych rygli. Było już za późno na ucieczkę.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Na progu stał mężczyzna o starannie zaczesanych do tyłu ciemnych włosach. Miał kanciastą, gładko ogoloną szczękę i modne okulary na nosie.

– Jesteście – powiedział po angielsku z mocnym francuskim akcentem. – Martwiliśmy się.

Zaskoczony Sacha aż się zachłysnął powietrzem.

– Pan Deide?

– Ogromnie się cieszę, że dotarliście w jednym kawałku. – Deide wręczył Sachy kubek z gorącą kawą.

Oszołomiony chłopak przyjął go w milczeniu.

Stali w jasnej, przestronnej kuchni z tyłu eleganckiego domu. Sacha nie miał pojęcia, co myśleć. Ostatni raz widział nauczyciela angielskiego w Paryżu, kiedy pan Deide ostrzegał Taylor, że jest w niebezpieczeństwie.

Wyglądał teraz tak samo jak wtedy. Miał koszulę, gustowne okulary i był ogolony. Wydawał się jednak nieco starszy, jakby tych parę tygodni dodało mu kilka lat.

– Pogubiłem się – oznajmił Sacha. – Myślałem, że jest pan w Paryżu. Co się stało?

– No cóż. – Trudno było odczytać wyraz ukrytych za szklami oczu Deidego. – To długa historia.

Taylor, która stała nieco dalej, ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na nich obu.

– Gdzie Louisa i Alastair? – zapytała.

– Nic im nie jest – zapewnił ją nauczyciel. – Mieli trochę problemów z furgonetką, ale już są w drodze. Telefony wam nie działają? Próbowali się z wami skontaktować. Bardzo się martwiliśmy.

– Oba się rozładowały – wyjaśniła.

Skinął głową i odwrócił się, żeby wlać do kubka wrzątek z czajnika. Kuchnia wyglądała jak z katalogu. Lady wykonano z polerowanej sosny, na ścianach wisały białe szafki, a całe pomieszczenie było ładne i zupełnie pozbawione charakteru.

– Tak właśnie podejrzewaliśmy.

– Nadal nie rozumiem, co pan tutaj robi – powiedział Sacha.

Deide wręczył Taylor kawę.

– Wyjaśnię – odparł. – Chodźcie za mną.

Poprowadził ich przez szeroki główny korytarz do salonu. To pomieszczenie o lśniącym parkiecie było duże i kosztownie

umeblowane. Stały tu między innymi wygodne białe sofy. Podobnie jak w kuchni, w salonie panowała atmosfera pustki.

Sacha i Taylor usadowili się obok siebie na jednej z sof, a Deide usiadł naprzeciwko, z kubkiem kawy w dłoni.

– Po waszym wyjeździe z Paryża chciałem cię znaleźć, Sacha – zaczął. – Ale w Świętym Wilfredzie uznano, że to kiepski pomysł.

– Dlaczego? – Sacha zmarszczył brwi.

– Bo wtedy mnie śledzono. Teraz wiemy, że chodziło o Mortimera Pierce'a, ale wówczas nie mieliśmy o tym pojęcia. Rozumieliśmy tylko, że to ktoś, kto igra z mroczną mocą. Aldrich uważał, że powinienem zostać w Paryżu, aby odciągnąć od was Pierce'a. Gdyby Mortimer uznał, że was ukrywam, mielibyście większe szanse. Niestety, nie poszło tak dobrze, jak na to liczyliśmy. A potem Aldrich zginął. – Zachmurzył się i umilkł, po czym odwrócił się do Taylor. – Przykro mi z powodu twojego dziadka. Spotkałem Aldricha tylko kilka razy, ale bardzo go podziwiałem.

– Dziękuję – odparła z wdzięcznością i umilkła. – Proszę pana, czy jesteśmy tu bezpieczni? – zapytała po chwili. – Dlaczego nie mogłam wyczuć pana w tym domu? Usiłowałam go przeniknąć, ale nie emanował żadną energią.

Nauczyciel wydawał się zadowolony.

– Zatem dobrze się sprawiliśmy. Ten budynek, jak wszystkie nasze kryjówki, jest chroniony starymi metodami.

W skazał fragment ściany nad oknem. Sacha po raz pierwszy zauważył wyryte tam znaki – trójkąty wpisane w koło oraz węża pożerającego własny ogon.

– Ta konkretna kombinacja alchemicznych symboli działa jak bariera – dodał Deide. – Żadna energia nie wniknie do środka i żadna się nie wydostanie na zewnątrz.

– A Mortimer Pierce? – zapytał Sacha. – Czy taka ochrona go powstrzyma?

Deide miał ponurą minę.

– Obawiam się, że nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Mortimer para się demonologią, a jego moc wykracza poza wszystko, co rozumiemy...

Zawiesił głos, podniósł rękę, żeby nie dopuścić ich do głosu, i nasłuchując, odwrócił się do okna. Po chwili Sacha też usłyszał ryk silnika samochodu, który przybliżał się i nagle zahamował. Deide zerwał się z sofy i wybiegł z pokoju. Nie czekając na zaproszenie, Taylor i Sacha pognali za nim do głównych drzwi wejściowych.

Podniszczona niebieska furgonetka Alastaira zaparkowała tuż obok lśniącego motocykla Sachy. Drzwi od strony pasażera zaskrzypiały i z samochodu wysiadła Louisa. Jej turkusowe włosy połyskiwały w popołudniowym słońcu.

– A niech was szlag oboje – zachnęła się, przerzucając skórzaną torbę przez ramię. – Gdzie byliście, do cholery?

– Louisa! – Taylor popędziła po schodach i rzuciła się na nią. – Tak bardzo się martwiłam.

Louisa odruchowo ją uściskała. Sacha po raz pierwszy widział ją autentycznie podenerwowaną.

– Tylko bez przedstawień – burknęła.

Sacha wiedział jednak, że jest zadowolona.

Alastair wysiadł od strony kierowcy, wynosząc resztę rzeczy. Sacha nigdy nie widział go z tak potarganymi włosami.

– Silnik się przegrzał w tej cholerniej furgonetce. – Jego elegancki angielski akcent robił wrażenie. – Myślałem, że Louisa zamorduje samochód wzrokiem.

– Zasłużył na śmierć – zauważyła Louisa.

Alastair podszedł do Sachy i zarzucił mu rękę na ramiona.

– Dobrze cię widzieć w jednym kawałku – mruknął.

– Ciebie też. – Sacha uśmiechnął się szeroko.

Wszyscy mówili jednocześnie, narzekając na drogi i na furgonetkę, kiedy nagle Deide uniósł rękę.

– Moi drodzy, s'il vous plaît. Nie jesteśmy tu bezpieczni. Wprowadźcie pojazdy na podwórze i zamknijcie bramę. Wtedy pogadamy.

Kilka minut później wszyscy siedzieli w salonie i opowiadali o wydarzeniach ubiegłej nocy.

– ... więc biwakowaliśmy nad jeziorem – skończył Sacha. – Ani śladu kłopotów. A wy?

– Spaliśmy w furgonetce. – Louisa lekceważąco wzruszyła ramionami. – U nas też nie było żadnych czarnych charakterów. – To nie do końca prawda – wtrącił Alastair i wymownie na nią popatrzył.

– No tak – przyznała. – Tamto.

– Jakie tamto? – chciała wiedzieć Taylor.

– Przez cały dzień wyczuwaliśmy mroczną energię – odparła Louisa po chwili wahania i zerknęła na Deidego. – Pojawiała się i znikła. Nie była na tyle stabilna, żebym mogła ją zlokalizować albo zidentyfikować. Może to jakiś inny gość od mrocznej mocy, ale miałam wrażenie, że ktoś nas śledzi.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby wspomnieć o tym wcześniej? – Deide nie wydawał się zachwycony.

– Chodzi o to, że kompletnie znikła, kiedy wjechaliśmy do lasu – wyjaśnił Alastair. – Potem się już nie pojawiła. Myśleliśmy, że może udało nam się go pozbyć.

Deide odchylił się na krześle. Na jego twarzy widniała troska.

– Nie sądzę, żeby pozbycie się Pierce’a w ten sposób było możliwe – oświadczył. – Nie podoba mi się to wszystko.

– Jak on to robi? – Sacha usłyszał frustrację w głosie Taylor. – Jak nas znalazł? Jak on to robi z tymi zombie? Z atakiem? To bez sensu. Przecież postępujemy dokładnie tak, jak trzeba. Zupełnie jakby nie był człowiekiem.

Mocno przygryzła wargę, jakby chciała się powstrzymać od mówienia.

– Nie mylisz się – odpowiedział po chwili Deide. – To, co on robi, od dawna uważane było za niemożliwe. – Starannie dobierał słowa. – I wcale nie jestem pewien, czy jeszcze jest człowiekiem.

Popatrzył na Louise, a ona lekko skinęła głową.

– Naszym zdaniem to, co robi, ta jego moc, może oznaczać, że jest bliższy przywołania demona niż nam się wydawało – ciągnął nauczyciel. – Całkiem jakby już współdziałali.

Sacha poczuł się tak, jakby ktoś przeszył mu serce soplem lodu. – Myślałem, że potrzebował mnie do przywołania demona. Nie o to w tym wszystkim chodzi? Co chce pan powiedzieć? Że już to zrobił? Spóźniliśmy się?

– Prawdopodobnie nie dość, że porozumiał się z demonem, to jeszcze korzysta z jego pomocy – odparł Deide.

– Dlaczego? – zająknął się Sacha. – Jak...?

– Dlaczego? – wtrącił Alastair. – Bo wygrana Mortimera leży w interesie demona. Jak? To właśnie usiłujemy rozgryźć.

– Nie spóźniliśmy się, Sacha. – Deide pochylił się i oparł nadgarstki na kolanach. – Demon nie przebywa w naszym wymiarze, ale jego energia sączy się tutaj. Możliwe, że to tylko kwestia czasu. Klątwa ma się wypełnić już za trzy dni. To, co dzieli nasz świat i inne wymiary, zapewne słabnie. To może wyjaśniać, jak Mortimer stworzył te istoty i dlaczego nie reagują one na nasze moce. I dlaczego tradycyjne środki, które zwykle nas chroniły, teraz zawodzą.

– I co dalej? – zapytała Taylor. – Jak długo możemy tu zostać? Kiedy wyruszamy?

– Myślę, że możecie bezpiecznie spędzić tu noc – odparł Deide. – Jutro jednak musicie wyjechać do Carcassonne. Tam czeka na was inna kryjówka, lepiej zamaskowana i staranniej chroniona.

– Ale dziś będziemy tutaj bezpieczni, prawda? – upewnił się Sacha. Deide popatrzył na niego ze smutkiem.

– To wszystko, co możemy wam teraz zaoferować. Obawiam się, że już nigdzie nie jesteście bezpieczni.

Taylor zapamiętała noc spędzoną w kryjówce jako rozmyte pasmo zdarzeń. Po pierwszej poważnej dyskusji nastrój nieco zelżał, momentami było wręcz wesoło. Napięcie było zbyt wielkie i w końcu musiało opaść.

Zjedli kolację przy długim stole w jadalni, rozmawiając i co chwilę wybuchając śmiechem. Ku swemu zdumieniu Taylor całkiem dobrze się bawiła. Przez większość czasu nikt nie wspominał o Mortimerze, dyskutowali o innych sprawach.

Louisa opowiedziała im o koszmarnej nocy w furgonetce i o tym, jak okropnie chrapie Alastair.

– Jak śmiesz – oburzył się żartobliwie.

– Zupełnie jak jakaś cholerna kosiarka. – Louisa zademonstrowała donośnie, jak chrapał, a on rzucił w nią kromką chleba.

Taylor i Sacha wyjaśnili, jak przetrwali na zmaltretowanych ciastkach i jak myli zęby w wodzie z jeziora. Mówili coraz bardziej gorączkowo, byle tylko uniknąć tematu pocałunków.

– I jeszcze ptaki upiornie hałasowały! – wykrzyknął Sacha. – Upiornie – zgodziła się Taylor z przesadnym entuzjazmem. – To było szaleństwo.

Nikt jednak chyba nie zauważył, jak się wysilają.

Przez cały czas Deide słuchał z uśmiechem, śmiał się w odpowiednich miejscach, napełniał puste szklanki oraz zachęcał wszystkich do rozmowy.

Byli wykończeni, więc dość wcześnie zagonił wszystkich do pokojów. Taylor i Louisa zajęły przestronne pomieszczenie na samej górze, z bielonym parkietem i podwójnymi łózkami, na których leżały nieskazitelnie czyste narzuty z wypukłym deseniem. Niewielka porcelanowa lampka stała na stoliku między łózkami, pod olejnym obrazem przedstawiającym wiejski dom na tle czystego, błękitnego nieba.

Louisa zostawiła torbę pod drzwiami i rzuciła się na pierwsze posłanie.

– Prawdziwe łóżko – westchnęła. – Jak zasnę, już nic mnie nie obudzi.

Po umyciu zębów i przebraniu się – Taylor w szorty od pizamy i koszulkę, a Louisa w strój niemal identyczny jak ten, który miała na sobie wcześniej – zgasiły światło.

Taylor była zmordowana, ale nie mogła zasnąć. Za oknami gromadziły się cienie. Słowa Deidego – „nigdzie nie jesteście bezpieczni” – odbijały się echem w jej głowie. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała Mortimera niszczącego wszystko, co było bliskie jej sercu. Potwory z wypalonymi znamionami zmierzały ku niej ciężkim krokiem. Zwiastuni wyciągali ręce, powodując ból.

Usiadła na łóżku.

Louisa leżała nieruchomo, oddychając miarowo i powoli. W całym domu panowała cisza, zakłócona jedynie monotonnym tykaniem zegara. „Tylko się rozejrzę – powiedziała sobie Taylor. – A potem pójdę spać”.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Louisy, wyśliznęła się z łóżka i podreptała do okna. Za szybą widziała niewielkie podwórko, całkiem puste. Z amfory posągu przez cały czas wylewała się woda. Latarnia za murem oświetlała rząd eleganckich domów i pustą ulicę. Wszędzie panował spokój.

Taylor odetchnęła głęboko. Wszystko było w porządku, nie musiała się przejmować.

Postanowiła wrócić do łóżka, kiedy nagle zobaczyła coś kątem oka. Pośpiesznie przycisnęła twarz do szyby i z narastającym przerażeniem patrzyła, jak od muru opactwa oderwał się jakiś cień i podszedł bliżej.

W ciemnościach trudno jej było cokolwiek dostrzec. Nagle zza chmury wyłonił się księżyc i Taylor wydało się, że widzi długi cień laski.

Gwałtownie wstrzymała oddech i odskoczyła od okna. Klnąc pod nosem, po chwili stanęła w tym samym miejscu co poprzednio i zmusiła się do wyjrzenia. Jej serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć, więc przycisnęła rękę do piersi.

Nikogo tam nie było. W tej samej sekundzie czyjaś dłoń ścisnęła ją za ramię.

– Nie wrzeszcz – wyszeptała Louisa. – To on?

Taylor nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Czowała się tak, jakby przemieniła się w kamień.

– Myślałam, że to on – wydusiła z trudem. – Ale teraz...

Louisa minęła ją i wyjrzała. Taylor patrzyła na nią, ledwie ośmielając się odetchnąć.

– Nic tam nie ma. Co widziałaś?

Opisała cień oraz sposób, w jaki się poruszał.

– Myślałam, że to on... Jego laska. – Odetchnęła niepewnie. – Ale potem go nie było. Zniknął.

Louisa zastanawiała się przez chwilę.

– Chodź. – Chwyła ją za rękę i wywlokła z pokoju.

Niemal bezszelestnie zbiegły boso po drewnianych schodach. Na pogrążonym w ciszy i ciemności parterze pobiegły do frontowych drzwi i tam się zatrzymały. Louisa położyła na nich rękę, a zasuwki skomplikowanych zamków odsunęły się przy wtórze serii głośnych kliknięć i drzwi się otworzyły.

Noc była chłodna, a powietrze przesycone zapowiedzią deszczu. Wszędzie panował idealny spokój.

Stały obok siebie na podwórku, rozglądając się w poszukiwaniu Mortimera. Taylor nic nie wyczuła, z wyjątkiem odrobiny mrocznej mocy, która rozlewała się niczym połyskujący olej na wodzie.

Nawet nie była pewna, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraziła. – Co się dzieje? – Za nimi w drzwiach stanął Alastair, boso, w dżinsach i w koszulce Kolegium Świętego Wilfreda. Twarz miał zapuchniętą od snu. – Uciekacie?

– Taylor wydawało się, że widziała Pierce'a – odparła Louisa.

Natychmiast oprzytomniał i do nich podszedł.

– Gdzie? Jakies oznaki?

– Tak jak wcześniej. – Popatrzyła na niego znacząco. – Tylko słabe ślady.

Alastair zmarszczył brwi.

– Cholera – zaklął. – Jak on to robi? I co to oznacza? Tropi nas? Czy to coś nowego?

– Nie wiem. Ale niech Taylor na wszelki wypadek wejdzie do środka. – Louisa wzięła Taylor za ramię i skierowała ją ku drzwiom.
– Gdzie Sacha?

– Śpi w naszym pokoju – oznajmił Alastair.

Mimo rozkojarzenia Taylor ulżyło, że Sachy nic nie jest. „Przynajmniej tyle”, pomyślała.

Louisa złapała pierwsze lepsze buty ze stosu przy drzwiach i błyskawicznie je włożyła. Taylor przyglądała się jej z niepokojem.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Chcę się rozejrzeć. Muszę się upewnić, że naprawdę zniknął.

– Idę z tobą – zaoferował Alastair.

– Ja też. – Taylor sięgnęła po buty, ale Louisa ją powstrzymała.

– Ty nie możesz – powiedziała stanowczo. – Wiem, że chcesz, ale musimy zapewnić ci bezpieczeństwo. O to w tym wszystkim chodzi. Zostań tu.

Taylor natychmiast się najeżyła. Przecież to jej moc pokonała zwiastunów i zombie. Ocaliła wszystkich, i to niejedną raz. Nie chciała się jednak klócić, więc milczała.

Ostrożnie, z Alastairem u boku, Louisa otworzyła drzwi. Taylor zobaczyła fragment cichej ulicy i poczuła na twarzy powiew chłodnego nocnego powietrza.

Po chwili Louisa i Alastair zniknęli w ciemności.

Nie było ich od wielu godzin.

Taylor czekała przez jakiś czas w salonie, po czym położyła się na sofie. Wszędzie panowała głucha cisza.

Zmęczenie w końcu wygrało z lękiem i w pewnym momencie Taylor zasnęła. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że przez okna wpada światło, i usłyszała ciche głosy. Momentalnie się rozbudziła, zerwała na równe nogi i pobiegła do kuchni.

Sacha, Alastair i Deide siedzieli na wysokich stołkach wokół kuchennej wyspy, z kubkami kawy w dłoniach. Brakowało jedynie Louisy. Na grubej drewnianej ladzie widniały pozostałości śniadania, złożonego z chleba, sera i owoców.

– Jest – powiedział Deide, gdy Taylor stanęła w progu.

Miał na sobie wyprasowaną białą koszulę i wydawał się zrelaksowany, całkiem jakby w nocy nic się nie wydarzyło.

– Dlaczego nikt mnie nie obudził? – spytała Taylor oskarżycielsko.
– Co się stało? Wszystko okej? Gdzie Louisa?

– Na zewnątrz. – Alastair ziewnął i przetarł oczy. – Pełni straż.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją Deide. – Ani śladu Pierce’a. – Nie wierzę, że przegapiłem całe to zamieszanie – odezwał się ponuro Sacha. – Pozwoliliście mi wszystko przespać.

– Nie było nic do oglądania – zapewnił go Alastair i wypił łyk kawy.

– Wyjeżdżamy, gdy tylko wróci Louisa. – Deide wręczył Taylor duży kubek café au lait.

Sacha podsunął jej bagietkę i nóż.

– Zostawiliśmy dla ciebie trochę żarcia – mruknął.

Miał potargane włosy, a na sobie czystą czarną koszulkę i dzinsy bez paska. Taylor poczuła się odrobinę lepiej i bezpieczniej. Usiadła na pustym stołku obok Sachy i zmusiła się do tego, żeby przełknąć kęs chleba, jednak w ogóle nie czuła smaku. Straciła apetyt.

– Skoro go nie było, to co widziałam? – spytała. – Śniło mi się?

Deide usiadł naprzeciwko niej.

– Nie wiemy na pewno. Podejrzewamy, że jakoś wytropił Alastaira i Louise. Twoje zdolności mogły pozwolić ci inaczej zinterpretować sytuację. Oni widzieli mrok, ty cienie. – Wzruszył ramionami. – Mamy tylko nadzieję, że nasze zabezpieczenia zadziałały i nie wyczuł twojej obecności w domu.

– A jeśli dzisiaj będzie nas śledził? – spytał Sacha. – Skoro wcześniej za nami podążał, to równie dobrze możemy doprowadzić go do następnej bezpiecznej kryjówki.

– Ja i Lou skrupulatnie sprawdziliśmy miasto – oświadczył Alastair.
– Jeśli Mortimer tu jest, to całkowicie niewidzialny.

Deide odstawił kubek.

– Znow musimy pojechać różnymi drogami – zdecydował. – Wyruszymy w tym samym czasie, żeby nie mógł śledzić nas wszystkich.

– Co robić, jeśli go wyczujemy? – zapytała Taylor.

– Jeśli zorientujecie się, że was śledzi, nie jedźcie do kryjówki – odparł Deide. – To dotyczy każdego z nas. Zatrzymajcie się gdzieś i zadzwońcie. Wymyślimy, jak ściągnąć was z powrotem.

– Nie możemy sprowadzić go do nas po raz drugi – zgodził się Alastair.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i wszyscy podskoczyli. Glany Louisy dudniły o drewniany parkiet, kiedy przemierzała korytarz. Miała na sobie ciemną bluzę z kapturem i czarne spodnie, a z braku snu pod jej oczami pojawiły się sińce.

– Pada – powiedziała tylko.

– Czysto? – Deide skierował na nią wzrok.

– Zupełnie pusto – odparła. – Ani śladu Pierce’a. Powinniśmy jechać, zanim ten cholerny sukinsyn się obudzi i znowu zacznie nas tropić.

Deide odwrócił się do stołu i popatrzył na zegarek.

– Allons-y. Dochodzi szósta – oznajmił. – Za kwadrans nie powinno nas tutaj być. Sugeruję, żebyście szybko się spakowali. Pora ruszać do Carcassonne.

Zmierzając na południe, Sacha i Taylor trzymali się bocznych dróg. Przez cały ranek padało, przez co podróż była niebezpieczna i Sacha musiał jechać wolniej. Niemal toczyli się przez senne wioski i szerokie, puste pastwiska.

Po niespokojnej nocy Taylor czuła się bezbronna i bezradna. Nieustannie dręczyło ją przekonanie, że jest obserwowana, ale za każdym razem, gdy się odwracała, w zasięgu wzroku nie było nikogo. Ani razu nie wyczuła Mortimera, co nie oznaczało, że nie znajdował się w pobliżu.

Tak jak zaplanowali, wyruszyli z domu jednocześnie. Zanim Louisa wsiadła do furgonetki, mocno uścisnęła Taylor.

- Uważaj na siebie - powiedziała. - Nie ryzykuj.

- Wy też nie ryzykujcie - odparła Taylor porywczo.

Deide wsiadł do zdumiewająco eleganckiego sportowego auta - nie było specjalnie pozerskie, ale bardziej wystrzałowe, niż można by się spodziewać po nauczycielu angielskiego.

- Do zobaczenia w Carcassonne - powiedział i założył modne przeciwsłoneczne okulary.

Sacha i Taylor pojechali za pozostałymi do głównego skrzyżowania w mieście, gdzie wszyscy się rozdzielili i wyruszyli w trzech różnych kierunkach. Od tego czasu nie komunikowali się ze sobą i Taylor mogła tylko mieć nadzieję, że reszta jest bezpieczna.

Gdy dojeżdżali do Carcassonne, piękno francuskiego krajobrazu zakłóciły mało subtelne wskazówki, że zbliżają się do turystycznego miasta. Na drogach roiło się od wycieczkowych autokarów i wynajętych aut. Bujną, zieloną roślinność upstrzyły billboardy, reklamujące tanie hotele, bary szybkiej obsługi i schroniska młodzieżowe.

Zgodnie ze wskazówkami mieli skręcić z szosy, zanim dotrą do miasta, więc wkrótce znów trafili na cichą wiejską drogę. Otaczały ich niewysokie wzgórza z winnicami, a plantacje ciemnozielonej

winorośli, uginającej się pod ciężarem owoców, rozciągały się we wszystkich kierunkach.

W pewnej chwili Sacha zatrzymał motocykl i wyjął z kieszeni kartkę ze wskazówkami. Zdjął kask, po czym rozejrzał się wokół. – To chyba to miejsce – powiedział. – Ale mamy skręcić w lewo przy wiatraku. Widzisz jakiś wiatrak?

Słońce wisiało już nisko na niebie, którego błękit zmieniał się w intensywny odcień fuksji. Od wzgórz wiał chłodny wiatr, a Taylor widziała wyłącznie winnice.

– Nic nie zauważyłam – odparła.

Sacha z zadumą potarł szczękę.

– Może źle skręciliśmy kilka kilometrów temu – zasugerował. Ta myśl ich zaniepokoiła. Wkrótce miały zapaść ciemności, w których trudniej byłoby znaleźć to, czego szukali. Przy drodze nie było latarni ani wielu domów, do tego nie dostrzegli żadnych charakterystycznych punktów.

– Pojedźmy jeszcze kawałek – rzuciła Taylor. – Do następnej wioski. Jeśli nie znajdziemy wiatraka, zawrócimy i spróbujemy od nowa. Jechali przed siebie, wypatrując wiatraka. Taylor wydało się, że go dostrzeżga dopiero wtedy, gdy zachód słońca przybrał krwistoczerwoną barwę. Postukała Sachę po ramieniu i wyciągnęła przed siebie rękę.

Z dala od głównej drogi, przy zrytej koleinami dróżce stał przysadzisty, stary wiatrak z drewna, nieruchomy i cichy. Ani trochę nie przypominał tych, które Taylor widywała w Anglii. Aż trudno było uwierzyć, że poszukują tego zrujnowanego maleństwa.

Sacha zatrzymał motocykl. Według wskazówek mieli jechać ścieżką za wiatrakiem, aż do kryjówki, ale na razie nie widzieli nic poza drzewami.

– To musi być to. – W głosie Sachy dało się słyszeć powątpiewanie. – Chyba powinniśmy to sprawdzić.

Zjechał na stary, kamienisty podjazd, tak nierówny, że musieli się toczyć powoli i ostrożnie. W zachodzącym słońcu długie cienie wyciągały się ku nim niczym szpony. Dopiero gdy minęli wiatrak, ich oczom ukazał się dom, niemal całkowicie ukryty za gęstwiną drzew.

Château D'Orbay był wspaniałym trzykondygnacyjnym budynkiem o dwóch skrzydłach. Niegdyś szare mury osypywały się teraz pod warstwą bujnego ciemnozielonego bluszczu. Nie schodząc z motocykla, Sacha i Taylor zapatrzyli się na imponujące główne drzwi. Po bokach futryny widniały wyrzeźbione symbole słońca i księżyca, a nad wejściem wyryto trójkąt wpisany w koło.

Bez wątpienia trafili we właściwe miejsce. Taylor wyczuła dobiegającą z niego dziwną energię, która zdawała się... buczeć.

– Dom wydaje się pusty – odezwał się Sacha.

– Nie jest pusty – zapewniła go. – Chyba... żyje.

Zanim zdążył zapytać, o co jej chodzi, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Louisa, po czym spiorunowała ich wzrokiem. Jej akwamarynowe włosy połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. – Będziecie tak siedzieć cały dzień czy włączicie? – zapytała.

Ukrywszy motocykl obok furgonetki Alastaira w zapuszczonym budynku gospodarczym z boku château, wrócili za Louisą do frontowych drzwi. Otworzyły się, gdy tylko przyłożyła do nich dłoń. W środku panowały niemal nieprzeniknione ciemności, a w powietrzu unosiła się woń kurzu i stęchlizny. Dopiero po chwili wzrok Taylor przyzwyczaił się do mroku. To, co ujrzała, odebrało jej mowę.

Meble, które dawniej musiały być ekskluzywne, ale teraz dosłownie rozpadały się na kawałki, wypełniały ogromne pomieszczenia. Bezcenna jedwabna tapeta powoli gniła na ścianach. Misterna sztukateria na wysokim suficie nadal prezentowała się wspaniale, choć tu i ówdzie zdążyła się już pokruszyć i odpaść. Drewniane elementy wokół ogromnych, sięgających od podłogi do sufitu okien zniszczyła i przebarwiła woda. W każdym kącie widać było pozostałości niegdyś pięknych przedmiotów. Posągi nagich, kształtnych Greków o białych, szczupłych ramionach wyzierały z zakamarków, a ich pozbawione wyrazu oczy wpatrywały się pusto w przestrzeń. Pod wysokim sufitem w największym salonie wisiał żyrandol, którego kryształ pokryły się szarym kurzem i delikatnymi pajęczynami.

Przez to wszystko przebijały zamaskowane vibracje, które Taylor wyczuwała już na zewnątrz – całkiem jakby była w samolocie i przestrzeń wypełniał warkot niewidzialnych wielkich silników.

I ona, i Sacha trzymali się z tyłu, próbując oswoić się z domem, a Louisa dziarsko maszerowała przed siebie, jakby nic wokoło nie wydawało się niezwykle.

– Tędy – powiedziała, idąc przez długi, pogrążony w półmroku korytarz, obok spiralnych schodów. – To najbezpieczniejsze miejsce, jakie znamy w całym regionie. Żadne inne nie jest tak dobrze ukryte.

Może nie wygląda najlepiej, ale wierzcie mi, ma niesamowite zamki.

Skręciła i przeszła przez szerokie podwójne drzwi.

– Co jest, do cholery? – wymamrotał Sacha, gdy weszli tuż za nią. Taylor wcale mu się nie dziwiła. Czuła się tak, jakby trafili do zupełnie innego domu.

Tutaj wszystko było odkurzone, a wypolerowane podłogi lśniły, podobnie jak olbrzymie okna. Stare, lecz zadbane krzesła o wymyślnie rzeźbionych nogach stały tu i tam, pogrupowane po kilka sztuk. W każdym kącie migotały świece w wysokich świecznikach, a na stołach paliły się lampy naftowe.

Wnętrze urządzone z rozmachem, który zapierał dech w piersiach. Taylor omal nie przeoczyła Alastaira, który leżał na zapadniętym szeszlunku w kącie olbrzymiego salonu i cicho chrapał, zasłaniając ręką oczy.

– Nie mamy tutaj prądu – wyjaśniła Louisa i podniosła lampę naftową. Płomień zamigotał, rzucając na twarz dziewczyny ruchome cienie. – Nie oświetlamy frontu domu. Jest za to woda. Połóżcie tu swoje torby. Herbaty?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła ku drzwiom po drugiej stronie pokoju. Sacha i Taylor wymienili zdumione spojrzenia i pobiegli za nią. – Dom jest ogromny – rzuciła Louisa przez ramię. – Nie wchodźcie do piwnicy, to siedlisko szczurów. Reszta budynku jest w porządku, chyba że pada. Na schody też trzeba uważać.

– Gdzie Deide? – spytał Sacha.

Louisa otworzyła drzwi do kuchni.

– W mieście – odparła.

– W Carcassonne? – zdziwiła się Taylor. – Sam?

– Szuka Mortimera. – Louisa zmarszczyła brwi. – Rozumiem, że dziś go nie widzieliście.

Taylor pokręciła głową.

– Nikt go nie widział – mruknęła Louisa, wyraźnie zaniepokojona.

Zrobiło się ciemno, więc kuchnia, oświetlona tylko lampą Louisy, pozostawała pogrążona w półmroku. Taylor zauważyła jednak, że to duże, kwadratowe pomieszczenie z solidnym dębowym stołem z boku. Po drugiej stronie dominował stary, żeliwny piec, a na nim stał staromodny czarny czajnik. W całej kuchni unosiła się lekka woń palonego drewna.

Louisa postawiła lampę na wyszorowanym blacie, otworzyła szafkę, po czym wyjęła z niej trzy kruche porcelanowe filiżanki i tyle samo torebek.

– Korzystanie z pieca jest trochę ryzykowne – zauważyła, podnosząc czajnik za owiniętą ścierką rączkę. – Ktoś może zauważyć dym. Ale w końcu jesteśmy Anglikami, palcem nie kiwniemy bez herbaty.

Po napełnieniu filiżanek wyjęła mleko z przenośnej plastikowej lodówki, która zupełnie nie pasowała do tego otoczenia.

– Tu jest niesamowicie – powiedział Sacha, kiedy wręczyła mu filiżankę. – Co to za miejsce?

– No właśnie, wyczuwam tutaj dziwną energię – dodała Taylor. – Jakby buczenie.

Louisa wskazała głową drzwi.

– Pogadajmy tam, gdzie jest światło. Nie będziemy przeszkadzać Alastairowi. Przespałby nawet huragan czwartej kategorii.

W salonie poprowadziła ich do cichego kąta, gdzie usiedli na krzesłach o patykowatych nogach i postawili filiżanki na kolanach.

– Kiedyś mieszkał tu słynny francuski alchemik, siedemnastowieczny naukowiec, markiz D’Orbay – oznajmiła. – Słyszeliście o nim?

Oboje pokręcili głowami.

– Przyjaźnił się z Isaakiem Newtonem i był naukowcem oraz wynalazcą. O wiele lat wyprzedzał swoją epokę. Wynalazł rzeczy, które do dzisiaj są w użytku, choćby coś w rodzaju pierwowzoru próbówki. Opracował zasady destylacji alkoholu. – Zamachała ręką. – Najważniejsze jednak, że rozumiał medycynę lepiej niż ktokolwiek. Potrafił nastawiać kości i leczyć infekcje. Cieszył się ogromną

popularnością. W Paryżu ludzie ustawiali się w kolejce do jego drzwi, by ich leczył. Było tylu chętnych, że przeniósł praktykę tutaj, do château, i stworzył coś w rodzaju szpitala. Niektórzy uważali, że miał mistyczne moce. I szczerze mówiąc, tak było. – Ponownie machnęła ręką. Tym razem Taylor poczuła ciepło, gdy Louisa przyciągała do siebie energię. Lampa na stole zgasła. Louisa strzeliła palcami i lampa znów się zapaliła. – Niestety, sukces ściągnął na niego uwagę francuskich władz. Oskarżono go o czary i zastraszone pokazowym procesem oraz okrutną śmiercią. Ukrył swój dom, żeby przeżyć. – Ukrył dom? – Sacha uniósł brwi. – Jak?

– Wiatrak. – Widząc brak zrozumienia na ich twarzach, Louisa uśmiechnęła się szeroko. – Wiatrak pompuje wodę z podziemnej formacji wodonośnej. W wodzie skrywa się olbrzymia energia. My możemy to porównać z elektrownią atomową, a on dosłownie na tym siedział. Wykorzystując skomplikowane alchemiczne formuły, które sam wymyślił, i czerpiąc energię z wody, starannie zamaskował budynek. Przeciętnym ludziom wydaje się odtąd, że rosną tu drzewa. Wyglądało to tak, jakby dom z dnia na dzień po prostu przepadł. Śledczy szukali D’Orbaya, a jego zniknięcie było dla wszystkich wielką zagadką, lecz życie toczyło się dalej i w końcu wszyscy zapomnieli o markizie.

Odchyliła się razem z krzesłem, opierając je o ścianę. Zatrzeszczało niepokojąco, kiedy jego dwie nogi uniosły się nad podłogą.

– Po tym, jak zniknął, siłą rzeczy nie mógł już leczyć chorych, ale do końca życia kontynuował badania. Gdy zmarł, dom trafił do francuskiej gałęzi naszej organizacji i przez wiele lat służył za instytut naukowy. Ponieważ na początku dwudziestego wieku instytut przeniósł się do nowocześniejszego budynku, teraz dom zazwyczaj stoi pusty. – Zerknęła na Sachę. – Chyba że mamy coś do ukrycia.

Taylor położyła rękę na ścianie, żeby lepiej wyczuć buczenie.

Nagle wszystko nabrało sensu.

Sacha zmarszczył brwi.

– Skoro ten człowiek nie żyje, dlaczego dom pozostaje niewidzialny? – zapytał.

– Właśnie to jest najdziwniejsze – odparła Louisa. – Nie umiemy tego rozgryźć.

Taylor opuściła rękę.

– To znaczy nie wiecie, jak to działa?

– Nie mamy pojęcia.

– Ale... zaraz. Jak możecie nie wiedzieć?

– Markiz był wynalazcą, zapomnieliście? – spytał Alastair.

Nie zauważyli, kiedy się obudził. Podszedł do nich, trąc oczy.

– Cieszę się, że dotarliście – dodał.

Ustawił wolne krzesło obok Louisy, usiadł, po czym spojrzał na nią pytająco i wyjął filiżankę z jej ręki. Louisa skinęła głową, a wtedy Alastair upił łyk herbaty.

– Naszym zdaniem wymyślił technikę albo urządzenie, które działa jak perpetuum mobile i nie potrzebuje nas, żeby funkcjonować – wyjaśnił. – Po prostu nie wiemy, jak działa, nigdy nie znaleźliśmy planów. Może wykorzystuje jego energię po śmierci. Koniec końców, pochowano go w piwnicy.

– Jest pochowany na dole? – Taylor wzdrygnęła się mimowolnie. – Wszystko na to wskazuje, bo jego ostatnim życzeniem było pozostanie w tym domu po śmierci. – Louisa przeciągnęła się i ziewnęła, a przednie nogi krzesła ponownie grzmotnęły o podłogę. – I tutaj leży. – Skoro dom naprawdę jest niewidzialny, dlaczego go zobaczyłem, kiedy podjeżdżaliśmy? – W głosie Sachy dał się słyszeć sceptycyzm.

– Zobaczyłeś, bo chcieliśmy, żeby tak było – odparła Louisa. Alastair dopił herbatę i odstawił filiżankę na stolik o cienkich nóżkach.

– Możemy wykorzystać naszą energię do neutralizowania energii domu i na chwilę go pokazać – wyjaśnił. – Gdy przestajemy używać swojej energii, wynalazek D’Orbaya ponownie się uruchamia i budynek staje się niewidzialny.

Taylor popatrzyła na miejsce, w którym ozdobny sufit zniknął w ciemnościach, i pomyślała o ściganym markizie. Zaczynała rozumieć, jak musiał się czuć, kiedy śmierć deptała mu po piętach, i dlaczego chciał zniknąć.

– To piękna kryjówka – oświadczyła.

– Remontujemy ją fragment po fragmencie – powiedziała Louisa. – Ale trzeba to robić bardzo ostrożnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Dom musi być niewidzialny, dlatego nie ma tu prądu. Jak mielibyśmy się podpiąć do sieci elektroenergetycznej, nie mówiąc nikomu, że ten dom istnieje?

– Dlaczego nie możemy korzystać z pomieszczeń od frontu? – zapytał Sacha.

– Ponieważ woda się przemieszcza i porusza, więc jej moc jest niestabilna – wyjaśnił Alastair. – Poza tym światło ma własną moc i może dojść do konfliktu energii. Zdarza się, choć bardzo rzadko, że miejscowi donoszą o zauważeniu świateł i zarysów domu za wiatrakami. – Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – Myślę, że okolica jest nawiedzona. I dobrze. Jeśli się boją, to tu nie przyjdą. Tak czy owak, nie możemy zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza teraz, gdy Mortimer nas szuka.

Taylor odruchowo popatrzyła na okno, ale na szybie widziała tylko odbicie tańczących płomieni świec.

Zapadła noc.

Była pora kolacji, kiedy Deide wrócił z Carcassonne.

Alastair ugotował spaghetti na starym piecu. Wszyscy zgromadzili się wokół kuchennego stołu i jedli przy świecach, gdy nagle do pomieszczenia wszedł Deide. Hałaśliwie rzucił na podłogę torbę, którą nosił na ramieniu. W białej koszuli i spodniach khaki wyglądał jak czyjś ojciec po powrocie z pracy.

Uśmiechnął się szeroko na widok Taylor i Sachy.

– Wiedziałem, że wam się uda. – Odwrócił się do pozostałych. – Kłopoty?

Louisa pokręciła głową.

– Spokojnie jak w grobie.

– I dobrze.

Czekali w milczeniu, aż Deide nałoży sobie porcję makaronu na porcelanowy talerz. Taylor wiedziała już, że w tym domu znajdują się wyłącznie stare i piękne przedmioty. Ciężki jak kamień widelec w jej dłoni zrobiono z masywnego srebra.

Deide usiadł po drugiej stronie stołu i sięgnął po butelkę wina.

– Co tam w mieście? – zapytała Louisa.

Upił łyk wina, które w tym świetle wydawało się całkiem czarne. – W Carcassonne nie zauważyłem żadnych śladów obecności Mortimera – odparł, odstawiając kieliszek. – Miasto jest bardzo dziwne.

Zbyt czyste.

– Żadnych śladów? – Alastair zmarszczył brwi. – To nie ma sensu. – Właśnie. – Deide popatrzył mu w oczy. – Nie podoba mi się to. – Jest tutaj. – Louisa z ponurą miną sięgnęła po butelkę. – Wiem, że jest.

– Ja też to wiem, ale nie mogę go znaleźć. Nikogo nie mogę znaleźć. Ciężko to wyjaśnić, ale miasto wydaje się puste, choć roi się w nim od ludzi. To chyba coś, co robi Mortimer, żeby się ukryć. Sacha popatrzył na Louise i Deidego, po czym zadał pytanie, które przyszło do głowy także i Taylor.

A może naprawdę go nie ma? Może zrezygnował?

– Nigdy nie zrezygnuje – odparła Louisa. – Nie może. Zawarł pakt z demonem i nie zdołałby zerwać umowy, nawet gdyby chciał.

Alastair odchylił się na krześle.

– Wcale mnie nie dziwi, że nie możemy go zlokalizować – powiedział. – Podobnie jak my dokłada wszelkich starań, żeby nie rzucać się w oczy. Może zastosował jakieś demoniczne sztuczki i stał się niewidzialny. – Wyjrzał przez okno na ciemną noc. – Obawiam się, że jeśli my go wkrótce nie znajdziemy, on znajdzie nas. Nie można czekać. Zostały tylko dwa dni do urodzin Sachy. Mortimer z pewnością desperacko nas poszukuje.

– Był pan w kościele? – Taylor pomyślała o mapie w gabinecie Jonesa i o krzyżyku, którym zaznaczono kościół.

Deide skinął głową.

– Tam jest nawet dziwniej niż w mieście. Natrafiłem tam na moc, której nie potrafiłem zidentyfikować. Nie była mroczna, tylko... Jak to ująć? Niezwykle groźna. Chciałem ją zbadać, ale się nie odważyłem z obawy, że przedwcześnie zdradzę naszą obecność. – Popatrzył na Louise. – Powinniśmy wrócić jutro i ponownie zabrać się do poszukiwań. Jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii trzeba znaleźć dokładne miejsce egzekucji Isabelle Montclair. To nie będzie łatwe. Podobno jest ukryte. Cały obrzęd należy przeprowadzić z ogromną dbałością o szczegóły, więc nie możemy czekać do urodzin Sachy, żeby ustalić lokalizację. Teraz musimy się dowiedzieć, gdzie znajduje się to miejsce. Dlatego zaryzykujemy i wrócimy tam razem.

Ceremonia... Taylor starała się o niej nie myśleć. W skazówki Zeitingera nadal znajdowały się w jej kieszeni – pogniecione, ale niepokojąco jasne. Nie poinformowała Sachy, co ma się wydarzyć. Ta rozmowa była jeszcze przed nimi.

Zbliżały się jego urodziny. Musiała powiedzieć mu prawdę, i to jak najszybciej.

– Dobrze. – Louisa najwyraźniej straciła apetyt, gdyż odepchnęła od siebie talerz. – Jutro razem pojedziemy do miasta i spróbujemy przeszukać kościół, żeby znaleźć to szczególne pomieszczenie. Jeśli bazylika jest pod obserwacją, Mortimer dowie się o naszej obecności i napuści na nas wszystko, czym dysponuje. Będzie chciał dorwać Sachę przed jego urodzinami, więc jeśli dopadnie go jutro, odniesie

sukces. – Popatrzyła na zebranych. – Czy tylko ja widzę wady tego planu?

Taylor zerknęła na Sachę, który z kamienną miną słuchał rozmowy, tak jakby mówili o kimś innym. Alastair odkaszlnął.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział. – Kluczem do wszystkiego jest pozbycie się Mortimera, więc... powinniśmy pozbyć się Mortimera.

Louisa przewróciła oczami.

– Tak – burknęła szyderczo. – Może Święty Mikołaj odwali za nas czarną robotę, jeśli go ładnie poprosimy.

– Mówię poważnie – zachnął się Alastair. – Lepiej posłuchaj. Mortimer nie spodziewa się ataku. Myśli, że w dniu urodzin Sachy zabierzemy go do kościoła i odprawimy rytuał, to wszystko. Robi, co może, żeby nas powstrzymać. Jeśli więc uda się nam go jutro wywabić i zlikwidować..

– ... wówczas już nikt nas nie powstrzyma, kiedy nadejdzie pora ceremonii. – Deide powoli uniósł głowę. – To nie najgorszy pomysł.

– Tylko jak? – Louisa nie wydawała się przekonana. – Nie możemy ot tak po prostu powiedzieć: „A teraz zabijemy Mortimera Pierce’a” i już. Facet wcale nie chce umrzeć.

– Rzeczywiście – przyznał Deide. – Niemniej, jak słusznie zauważył Alastair, Mortimer nie bierze pod uwagę naszego ataku, więc mamy przewagę. Możemy wykorzystać element zaskoczenia. – No właśnie – oświadczył Alastair z ożywieniem. – Damy radę. Perspektywa zabicia Mortimera ożywiła wszystkich. Ich wcześniejsze zmęczenie zniknęło bez śladu.

Po plecach Taylor przebiegł dreszcz.

– Ale jak? – Popatrzyła na dorosłych przy stole. W słabym świetle trudno było zobaczyć ich miny. – Nie możemy tak po prostu... Sama nie wiem... Zastrzelić Mortimera. Prawda?

Louisa i Alastair wymienili spojrzenia, jednak oboje milczeli.

– Łatwo jest zabić – powiedział Deide zwięźle.

Podniósł ciężki srebrny nóż. Odbijające się w nim światło groźnie zabłyśło.

W dwie sekundy zdołałbym kogoś zabić tym nożem.

Nóż stoczył się z czubków jego palców i spoczął w dłoni. Deide przeszył nim powietrze.

– Ja go zabiję – oświadczył nieoczekiwanie Sacha.

Taylor odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Z jego oczu była zajadłość i nienawiść.

– Pozwólcie mi to zrobić.

Deide hałaśliwie odłożył nóż na blat.

– Plan zakłada udział nas wszystkich – odparł. – Najpierw jednak musimy znaleźć Mortimera. Dziś mi się nie udało. Zostały nam tylko dwa dni. Potem będzie za późno.

Mina Louisy wyrażała wątpliwość.

– Wiem, że twoim zdaniem się zabezpieczył, więc jak go znajdziemy, skoro on nie chce dać się znaleźć?

Spojrzenie Deidego powędrowało do Sachy i Taylor.

– Użyjemy przynęty.

Następnego ranka Taylor obudziła się nagle w nieznanym pokoju. Białe światło dnia sączyło się przez grube, niegdyś żółte zasłony z delikatnym kwiatowym wzorem, obecnie pociemniałe ze starości i brudnozłociste.

Taylor zamrugnęła i powoli usiadła. Pokój był olbrzymi, cztery razy większy niż jej sypialnia w Świętym Wilfredzie. Jedną ze ścian zdominował marmurowy kominek, naprzeciwko którego stała olbrzymia i piękna szafa. Łoże z baldachimem było ozdobione zasłonami uszytymi z takiej samej tkaniny jak ta w oknach, podwiązanej do każdego z czterech grubych słupów w rogach łóżka. Materiał z pewnością był kiedyś jasny i pogodny, lecz teraz tu i ówdzie przegnił, a w dodatku zalatywał stęchlizną.

Poszli spać bardzo późno. Żeby trafić do sypialni na piętrze, musieli oświetlać świecami szerokie, zaniedbane schody. Stopnie niepokojąco skrzypiały, ale Louisa upierała się, że wystarczy nie chodzić środkiem, a nikomu nic się nie stanie.

– Jeszcze pod nikim się nie zawałyły – powiedziała nieprzekonująco.

Z jednej strony sypialni Taylor znajdował się pokój Sachy, z drugiej pokój Louisy. Szykując się do snu, słyszała krzepiące odgłosy kroków

obojga, gdy krążyli po przestronnych pomieszczeniach. Teraz jednak wszędzie panowała niepokojąca cisza.

Taylor odniosła wrażenie, że znowu czuje zapach parzonej kawy. Nie wątpiła, że inni na nią czekają, lecz mimo to nie od razu zerwała się z łóżka. Leżąc na zdumiewająco wygodnym materacu, powróciła myślami do wieczornej rozmowy z przyjaciółmi.

Musiała pozbyć się wątpliwości i przygotować na poranne spotkanie. Czas na niepewność już minął.

Wczoraj po kolacji wrócili do salonu, gdzie Taylor zwinęła się w rogu zapadniętej sofy. Sacha siedział sztywno na drugim końcu. Przez cały wieczór milczał, pogrążony w rozmyślaniach.

– Oto plan – oznajmił Deide. – Jutrzejszego ranka pojedziemy do Carcassonne. Wy dwoje... – wskazał na Taylor i Sachę – ... będziecie trzymać się razem. Nie próbujcie się ukrywać, ale też nie zachowujcie się demonstracyjnie. Wtopcie się w tłum. Reszta nas zachowa bezpieczny dystans, ale w razie potrzeby ruszymy wam na pomoc.

– Co właściwie powinniśmy robić? – spytał Sacha. – Poza wtapieniem się w tłum?

– Mamy dwa cele. Po pierwsze, zgodnie ze wskazówkami musicie znaleźć dokładne miejsce ceremonii. Zamierzacie zlokalizować symbole, tak?

– Profesor Zeitinger powiedział, że mamy szukać uroborosa, węża pożerającego własny ogon – powiedziała Taylor z wahaniem. – Podobno będzie wyryty w kamieniu, na którym trzeba odprawić rytuał.

– Otóż to. – Deide pokiwał głową. – Musicie znaleźć ten kamień. Dzięki temu następnej nocy łatwo do niego dotrzecie. Jednocześnie upewnijcie się, że jesteście widoczni. – Zerknął na Louise i Alastaira. – Drugi cel na jutro to dać się zauważyć Mortimerowi. Zapewne będzie chciał dopaść Sachę, a kiedy spróbuje to zrobić... – Zabijemy go – dokończył Sacha głucho.

– Otóż to.

– Ale jak to, tak w środku dnia? – zdumiała się Taylor. – W obecności tylu ludzi? Jak ma się nam udać?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

Zrobimy to, co należy – odparł. – Moim zdaniem lepiej, żeby uważali nas za morderców, niż żebyśmy skończyli jako trupy.

Brzmiało to okropnie, ale sensownie.

– A zatem wracamy do przygotowań.

Deide wyjął plan miasta z kieszeni marynarki i rozpostarł go na porysowanym blacie małego stolika, a potem przysunął świecę, żeby wszyscy dobrze widzieli.

W ciepłym pokoju przyjemnie pachniało roztopionym woskiem oraz palonym olejem z lampy naftowej. Deide wskazał zielone miejsce na mapie.

– Na szczycie wzgórza, nieopodal cytadeli, znajduje się parking – powiedział. – Sacha i Taylor zostawią tam motor. Drugi parking jest na rogatkach, ale właśnie stamtąd można się najszybciej dostać do kościoła. Mortimer o tym wie i będzie miał oko na to miejsce. Musicie działać bardzo sprawnie.

– Jak Mortimer może jednocześnie obserwować parking i okoliczne ulice? – spytała Taylor. Louisa popatrzyła jej w oczy.

– Nie będzie sam – odparła.

Taylor poczuła ucisk w brzuchu.

– Skąd wiesz...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Na drugim końcu rozjaśnionego blaskiem świec pokoju, w torbie Taylor rozległ się dźwięk telefonu. Dzwoniła Georgie, o czym świadczył sygnał, czyli jej ulubiona w danej chwili popowa piosenka. W takim otoczeniu taneczny utwór wydawał się zupełnie nie na miejscu.

– Przepraszam. – Taylor oblała się rumieńcem.

Przebiegła przez pomieszczenie i po krótkiej walce z zamkiem błyskawicznym wyciągnęła telefon w chwili, gdy melodia się urwała. Z ekranu uśmiechała się do niej pogodna twarz Georgie. Pozostali powrócili do pełnej napięcia rozmowy, a Taylor wpatrywała się w piękną twarz o wyrazistych kościach policzkowych i ciemnej skórze, dopóki nie uruchomił się wygaszacz.

Następnie wyłączyła telefon i wepchnęła go z powrotem do torby.

– Na czym stanęliśmy? – zapytała.

Louisa podniosła na nią wzrok.

– Gdy już dotrzecie do kościoła, jak najszybciej weźcie się do poszukiwań – powiedziała. – Pomieszczenie może się znajdować w jednej z bocznych kapliczek, oddalonych od głównej nawy. Może być w jednej z krypt albo gdzieś za zamkniętymi na klucz drzwiami. Uważnie szukajcie symbolu. Znajdziecie go zapewne z przodu budynku. – Będzie tam wielu turystów – wtrącił Deide. – Bazylika to popularne miejsce, więc nic nie powinno wam zagrażać, ale nie możecie dać się uwięzić. Macie się pokazać, ale nie trafić w ich ręce.

Taylor z trudem przełknęła ślinę. Dotąd nie przyszło jej do głowy, że mogłaby utkwąć w kościele z Mortimerem i jego demonami.

– Stamtąd jak najszybciej wróćcie do motocykla i przyjedźcie tutaj – ciągnął Deide. – My podążymy za wami, licząc na to, że Mortimer połknie haczyk. Jeśli tak się stanie, będziemy gotowi do konfrontacji. – Umilkł na moment. – Szczerze mówiąc, nie sądzę, że Mortimer zaatakuje was za dnia. Owszem, mam nadzieję, że to zrobi, ale w to wątpię. Jeśli tak się nie stanie, będziemy musieli wrócić nocą i spróbować ponownie. Będziemy ponawiać próby aż do urodzin Sachy. Nie damy za wygraną.

Taylor przyłapała się na tym, że schodząc na parter, uważnie przygląda się wnętrzu domu w świetle dnia. Poprzedniego wieczoru było tak ciemno, że niewiele zdołała zobaczyć. Teraz, gdy słońce wpadało przez okna, mogła podziwiać wszystko, co przegapiła.

Ściany w szerokim holu wyłożono dębowymi panelami, które niegdyś były zapewne wypolerowane na wysoki połysk, teraz jednak sprawiały wrażenie przygaszonych i chropowatych. Marmurowe wazy na cokółkach stały puste.

Mimo obszarpanej tapety salon prezentował się imponująco. Dwa ogromne lustra wisiały nad dwoma kominkami, które zdawały się podtrzymywać boczne ściany podłużnego pomieszczenia o prostokątnym kształcie. Dawniej najprawdopodobniej pełniło ono funkcję sali balowej. Taylor z łatwością mogła sobie wyobrazić damy w wirtuozerskich sukniach tańczące tu w blasku świec.

Gdy kilka minut później weszła do kuchni, inni zdążyli już skończyć śniadanie. Deide i Louisa nadal siedzieli przy stole, a Alastair stał przy zlewie, po łokcie unurzany w mydlinach i zajęty zmywaniem naczyń.

Na widok przyjaciół Taylor szeroko otworzyła usta. Wszyscy byli ubrani jak turyści. Deide miał na sobie porozciąganą koszulkę i dżinsy. Z szortów bojówek Alastaira wystawały blade, muskularne nogi, porośnięte miękkimi, złocistymi włoskami. Do kompletu włożył koszulkę z angielską flagą.

Alastair zauważył minę Taylor i rozłożył ramiona, żeby mogła się lepiej przyjrzeć. Mydliny spływały mu z palców na kamienną podłogę.

– Podoba się?

– Bardzo szykowne – odparła.

Najbardziej zmieniła się Louisa. Biała bluzka z długimi rękawami zasłoniła tatuaże na jej rękach, a te na nogach ukryte były pod nogawkami spodni do kostek. Niebieskie włosy zniknęły pod należąca do Alastaira baseballówką z logo Uniwersytetu Oksfordzkiego.

– Wyglądasz okropnie normalnie – zauważyła Taylor.

– Właśnie na okropną normalność liczyłam – oświadczyła Louisa.

Taylor miała na sobie czarne szorty i białą koszulkę ze słowami „Accio książka”, czyli w zasadzie wyglądała jak zawsze. Zastanawiała się, czy to oznacza, że na co dzień ubiera się jak turystka.

Louisa zebrała naczynia i zaniósła je Alastairowi.

– Nie zjadłaś śniadania – zwróciła się do Taylor. – Lepiej szybko wrzucić coś na ruszt.

– Nie jestem głodna. – Ze zdenerwowania nie byłaby w stanie przełknąć ani kęsa. – Gdzie Sacha? – zapytała, gdy zauważyła, że tylko jego brakuje.

– Przy motorze. – Louisa ruszyła do drzwi. – Wyjeżdżamy za pięć minut. Idę po rzeczy.

Taylor naląła sobie szklankę wody i podeszła do Deidego, który wyglądał przez wysokie, kuchenne okno. Widok zapierał dech w piersiach. Między jałowymi wzgórzami rozciągała się głęboka dolina, a w oddali widać było piękny biały zamek z okrągłymi wieżyczkami, które lśniły w słońcu. Wyglądał jak przeniesiony tu z bajki. Był niemal zbyt piękny, by mógł być prawdziwy.

– Co to takiego? – spytała, wyciągając rękę.

– To Carcassonne – odparł Deide.

Był późny ranek, kiedy Sacha zaparkował elegancki czarny motocykl na wpół legalnym miejscu między długim autokarem a minivanem i zgasił silnik.

Parking był wypełniony po brzegi. Rzędy samochodów i autokarów zajmowały cały szczyt wzgórza, a nieprzebrane rzesze ludzi sprawiały, że miasto Carcassonne zdawało się pękać w szwach.

Sacha zdjął kask i obejrzał się przez ramię na Taylor.

– To jakieś szaleństwo – powiedział.

W powietrzu unosił się zapach typowy dla turystycznych miejscowości – mieszanka prażonej kukurydzy, karmelu i spalin z silników diesla. Hordy przyjezdnych ciągnęły tu pieszo z miasta w dół.

– Tu jest gorzej niż w Legolandzie. – Taylor podała mu swój kask. – Wiedziałam, że będzie tłoczno, ale nie sądziłam, że aż tak. Skąd oni wszyscy się wzięli?

– Zewsząd.

Przechodząca obok rodzina obrzuciła motocykl podejrzliwymi spojrzeniami. Trójka małych dzieci wybiegła naprzód, ściskając w lepkich rączkach balony i krzycząc z emocji.

Sacha pokręcił głową.

– Jest gorzej, niż to zapamiętałem.

Jeszcze nie minęło południe, ale upał dawał się wszystkim we znaki. Z tego miejsca Sacha ledwie widział miasto u stóp wzgórza, czyli zwyczajne zbudowane z wapienia domy kryte czerwoną dachówką. Po drugiej stronie drogi wznosił się potężny zamek o murach z białego kamienia, które zdawały się płynąć wokół dziesiątków wież obserwacyjnych, zwieńczonych strzelistymi dachami.

Budowla wydawała się ponadczasowa. Wieczna. Przed tymi murami łatwo było uwierzyć w przekleństwa i alchemików, w lochy i publiczne palenie na stosie.

– Jest piękny – mruknęła Taylor, podążając wzrokiem za spojrzeniem Sachy. – Aż dziwne, że takie miejsce nadal istnieje.

Sacha ledwie raczył zaszczycić spojrzeniem budowlę i spokojnie zawiesił kaski na uchwytach kierownicy.

– To podróba – burknął.

Taylor spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Co masz na myśli?

– Zamek. – Zsiadł z motoru i poczekał, aż Taylor pójdzie w jego ślady. – Wygląda na średniowieczny, ale jakiś wariat odbudował go półtora wieku temu. Nie ma nic wspólnego ze średniowieczem. Taylor oparła ręce na biodrach i popatrzyła na elegancki zamek na wzgórzu.

– Tak czy owak, jest super – powiedziała.

Zwyczajna rozmowa sprawiła, że napięcie, które zdominowało ich krótką podróż z château, nieco ustąpiło. Opuściwszy parking, dali się porwać tłumowi, który zmierzał ku wielkiej, łukowatej bramie do cytadeli. Sacha poczuł się nieco pewniej. Był tu kiedyś na szkolnej wycieczce i dzięki znajomym widokom wszystko wydało mu się trochę mniej przerażające.

Może gdyby potraktował tę wyprawę jak zwykłą przechadzkę, zdołałby spokojnie przez nią przebrnąć.

Minęli bramę i znaleźli się w płątaninie wąskich uliczek wyłożonych kocimi łbami. Sacha rozglądał się wokół z zainteresowaniem, przypominając sobie starówkę. Z pierwszej wizyty najlepiej zapamiętał awantury w autokarze i dzieciaki wymiotujące po napchaniu się niezdrowymi paskudztwami. Teraz jednak, gdy wraz z chmarą turystów wchodzili na most łączący brzegi niegdyś szerokiej fosy, a obecnie trawiastego wąwozu, miał przebłyski nieco zatartych wspomnień.

Tak jak wyjaśnił Taylor, zamek odbudowano, ale wcześniej stał tu przez setki lat mniej więcej w takim samym kształcie jak teraz. Wtedy to jednak było coś więcej niż zamek – za grubymi, ufortyfikowanymi murami znajdowało się najprawdziwsze miasto. Żyła tutaj cała społeczność, po której pozostały domy. To właśnie ci ludzie spalili Isabelle Montclair. To te budynki mijają w noc swojej śmierci. Może w jednym z nich mieszkali przodkowie Sachy.

Chyba powinien czuć jakiś związek z tym miejscem, niezależny od szkolnej wycieczki. W końcu był do tego stopnia związany z przeszłością swojej rodziny, że wkrótce mógł przez to stracić życie.

Nie czuł jednak żadnej więzi z zamkiem.

Sklepiki z oknami o ołowianych ramkach i drewnianymi szyldami, pełne słodyczy i ręcznie wyrabianych mydeł, były zwykłymi sklepami. Wąskie, wyłożone kamiennym brukiem uliczki, nieco wklęsłe pośrodku i wyższe na krawędziach, wyglądały ładnie, ale nie wydawały się mu znajome.

Zerknął na Taylor, żeby jej o tym powiedzieć, ale ujrzał w jej oczach niezwykle skupienie. Wiedział, co to oznacza.

– Wyczuwasz coś? – spytał.

– To bardzo dziwne. – Z niepokojem zmarszczyła czoło. – W zasadzie nie wyczuwam praktycznie nic.

Mężczyzna w czerwonej koszulce i szortach przepchnął się obok, a Sacha odciągnął Taylor na bok.

– Co takiego? Nic nie czujesz? – Patrzył na nią ze zdziwieniem.

– Trochę jak w tych kryjówkach – wyjaśniła. – Tylko bardziej. Jakby coś sprawiło, że nic nie da się wyczuć. Dla ochrony.

Okręciła się, przyglądając twarzom ludzi wokół, po czym znów spojrzała na Sachę. Ujrzał w jej oczach panikę.

– Nie potrafię tego opisać. Nie widzę tych ludzi... to znaczy ich energii. Nie ma jej. Całkiem jakby nie byli prawdziwi. Jakby byli duchami. Twojej też nie wyczuwam, a przecież wiem, że tu jest. To tak, jakbym była sama na tej ulicy, a nie jestem. – Odetchnęła szybko i nerwowo. – Ktoś mnie blokuje.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego bezradnie. – Teraz rozumiem, co mówił wczoraj pan Deide. Nie ma tu śladu Mortimera, bo nie ma tu śladu niczego.

Sacha rozejrzał się po starej uliczce. Wszędzie byli ludzie – rodziny, trzymające się za ręce pary, staruszkowie z laskami. Słowa Taylor nie miały sensu.

Ci ludzie byli prawdziwi. Mały sklep ze słodyczami, przed którym stali, również był prawdziwy. Nawet słyszał rozmowy w środku. („Czy mogę prosić w mniejszym pudełku?” „Naturalnie, madame..”). Zapach

cukru pudru i migdałów w klimatyzowanym powietrzu ulatującym przez otwarte drzwi też był prawdziwy.

– Jest coś jeszcze. – Taylor przygryzła wargę, jakby się zastanawiała, ile może powiedzieć, po czym wychyliła się ku Sachy. – Dzieje się coś strasznego – oznajmiła pośpiesznie. – Tu jest coś mrocznego i okropnego. Nie widzę tego, ale to czuję. Coś mnie dławi.

To przypomina... śmierć.

– To robota Mortimera? – zapytał cicho.

– To coś gorszego niż mroczna moc – odparła bez wahania.

Sacha znów rozejrzał się po okolicy, próbując odnaleźć źródło tego, o czym mówiła. Odnosił wrażenie, że coś wyczuwa, choć w ograniczonym stopniu, ale może mylił to ze strachem. Tak czy owak, miał nerwy napięte do granic możliwości.

Wszystko, co dotąd uważał za nieszkodliwe, wydawało mu się teraz groźne. Fontanna z kamiennymi nimfami, które wylewały wodę z dzbanów do sadzawek u swoich drobnych stóp. Grupki ulicznych artystów w średniowiecznych kostiumach po drugiej stronie placu, którzy robili magiczne sztuczki, zonglowali pochodniami i zabawiali tłum nieustanną paplaniną.

Chciał się stąd wydostać, ale jeszcze nie mogli odejść.

– Musimy iść – powiedział ponuro.

Taylor skinęła głową, jednak zauważył niechęć i obawę na jej twarzy.

Ostrożnie wmieszali się w tłum. W cichej bocznej uliczce histeryczny śmiech skierował ich uwagę na ukryty w cieniu małej kamienny domek. Wyglądało na to, że mieści się tam sklepik ze staroświeckimi lalkami z drewna. Niewielka scena przed sklepem, przykryta czarnym materiałem, przyciągnęła tłumek dzieci, które chciały obejrzyć przedstawienie kukielkowe.

Taylor i Sacha przystanęli tuż za nimi, w cieniu platanu.

Jedna lalka była ubrana w obszarpaną czarną suknię, druga, mężczyzna na koniu, odgrywała łotra. Na jego małej rzeźbionej twarzyczce namalowano gęstą brązową brodę. Sacha dopiero po chwili uświadomił sobie, co ogląda. Mężczyzna był sędzią, który skazywał na stos kobietę oskarżoną o czary.

Sacha skrzywił się i odwrócił, żeby wyjaśnić Taylor, co się dzieje. – Załapałam – powiedziała, zanim zdążył otworzyć usta. – To okropne.

Spalono tu wiele czarownic, nie tylko Isabelle Montclair. W tej niemal niezmienionej przez wieki przestrzeni nietrudno było wyobrazić sobie stukot końskich kopyt na kamieniach, krzyki łowców i upiorne wycie palonych ofiar.

Taylor i Sacha odeszli w pośpiechu.

W ostatnim momencie zauważyli, że lalka kobieta stoi na miniaturowym stosie, a „płomienie” z czerwonych i pomarańczowych skrawków materiału, poruszanych małym wiatraczkiem, trzaskają pod jej drewnianymi stopami.

Kilka minut później Taylor zatrzymała się raptownie.

– Popatrz, Sacha – powiedziała.

Podążając wzrokiem za jej wyciągniętym palcem, Sacha zobaczył symbol wyryty w wiekowym kamieniu – trójkąt w kole, alchemiczny znak ochronny. Widział dziesiątki takich w Kolegium Świętego Wilfreda.

– Co ten znak tutaj robi? – spytał.

– Nie wiem. Wydaje się bardzo stary. Może alchemicy oznakowali to miasto w przeszłości – odparła. – Żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Poszli dalej, przyglądając się budynkom w poszukiwaniu innych symboli. Okazało się, że nie musieli iść zbyt daleko, gdyż były dosłownie wszędzie.

– Patrz. – Taylor wskazała słońce i księżyc wyryte nad sklepem. – I jeszcze tam.

Półtora metra dalej, na kamieniu, zobaczyli symbol nieskończoności. Każdy z nich zdawał się prowadzić do następnego.

Sacha zmarszczył brwi.

– To przypomina szlak – zauważył.

Poszli za znakami wzdłuż starej ulicy, mijając sklepy i knajpki. Tak bardzo zajęli się tropieniem, że Sacha nie od razu uświadomił sobie, dokąd doprowadziły ich symbole.

Stali na cichym, kamiennym placu przed bazyliką St Nazaire, wzniesioną na miejscu egzekucji Isabelle Montclair.

Tam, gdzie miał umrzeć Sacha.

Masywna budowla górowała nad niskimi średniowiecznymi zabudowaniami, a dzwonnica wznosiła się ku błękitnemu bezchmurnemu niebu. Odrażające maskarony o nienaturalnie długich, wygiętych szyjach wyciągały łby nad placem. Miały ludzkie dłonie, ale psie pyski z obnażonymi zębiskami.

Sacha i Taylor ostrożnie ruszyli do otwartych łukowatych drzwi.

– No to chyba wchodzimy – powiedziała Taylor z wahaniem.

– Chyba tak.

Mijali ich turyści, ale mimo to Sacha czuł się dziwnie samotny, jakby nie było tu nikogo poza nim. Nie pamiętał, kiedy wziął Taylor za rękę, jednak ścisnął ją, kiedy mijali próg kościoła.

W środku było chłodno, niemal zimno, i zdumiewająco ciemno. Przeciętnie wyglądająca świątynia nie wydawała się niebezpieczna. Wszystko w niej było takie, jak się spodziewali: przestrzeń wypełniały rzędy czarnych ław, przed ołtarzem stał prosty stół, przykryty jasnym obrusem, a na kamienną podłogę padały fioletowe plamy światła z witraży o kształcie mieczów.

Turyści raczej nie wchodzili do środka. Kilka osób podziwiała okna, dwie inne, które zajęły miejsca w ławach, najprawdopodobniej się modliły. W półmroku Sacha dopiero po chwili rozpoznał Alastaira, który siedział z pochyloną głową, nie podnosząc wzroku. Na widok przyjaciela Sacha poczuł się pewniej i doszedł do wniosku, że da sobie radę.

Poszukiwania rozpoczęli od przestronnej nawy głównej. Zeitinger mówił im, że stos wzniesiono na miejskim placu, a potem w tym samym miejscu dobudowano część świątyni. To nasuwało przypuszczenia, że pomieszczenie, którego szukali, znajdowało się nieopodal frontu istniejącego budynku.

Przy przedniej ścianie mieściło się kilka niewielkich kapliczek ku czci różnych świętych. Taylor i Sacha zatrzymywali się przed każdą z nich i rozglądali w poszukiwaniu wyrytego w kamieniu uroborosa. Do tego stopnia skupili się na poszukiwaniach, że nie od razu zauważyli zmianę atmosfery i to, że w pewnej chwili zapadła śmiertelna cisza.

W powietrzu unosiła się woń kadzidła i lilii, ale dołączyło do niej coś jeszcze – nieprzyjemnie słodki zapach, kojarzący się ze smrodem

rozkładu. Powietrze wydawało się ciężkie i gęste. Sacha z trudem zapanował nad nagłą chęcią ucieczki.

Taylor pobladła, a Sacha poczuł, że jej dłoń się spociła. Wtedy zrozumiał, że nie tylko jego ogarnął niepokój.

Wokół nich zaszła niepokojąca przemiana.

Podczas ich poszukiwań w pewnej chwili kościół opustoszał. Pozostał w nim tylko Alastair, który wstał i z zaskoczoną miną rozglądał się wokół siebie.

Cokolwiek się działo, wszyscy troje byli tego świadomi.

– Co jest? – wyszeptała Taylor.

Sacha nie miał pojęcia, więc tylko pokręcił głową.

– Chodź – powiedział.

Czuł, że coś ściska go w brzuchu, do tego dudniło mu w głowie. Ruszyli do następnej kapliczki – dotarli już niemal do końca ściany i jak na razie niczego nie znaleźli. Alastair dołączył do nich bez słowa. Nie patrzył na nich i zachowywał się jakby nigdy nic, ale Sacha widział jego napięcie i czujne spojrzenie, świadczące o gotowości do walki.

W kościele nagle rozległ się dźwięk organów – muzyka brzmiała złowieszczo, wręcz złowróźbnie. Atmosfera coraz bardziej się zagęszczała. Chorobliwie słodki zapach stawał się trudny do wytrzymania, powietrze wydawało się ich przygniatać swoją wagą.

Muzyka grała coraz głośniej, dźwięki zlewały się w ogłuszającą kakofonię. Słodkawa woń śmierci już niemal dławiła Sachę. To, co było w kościele, najwyraźniej go rozpoznało i postanowiło dopaść.

Z wysiłkiem stawiał jedną stopę przed drugą, jakby brnął naprzód w zadymce. Gdzieś trzasnęły drzwi i do kościoła wpadł lodowaty wiatr. Głęboki, gardłowy głos nagle wyszeptał do ucha Sachy:

– Tu się zaczęło od ognia i krwi. Tu też przyjdzie kres. Jutrzejszą nocą w tym miejscu. Na tych kamieniach dokonasz żywota.

Sacha poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. W następnej sekundzie Alastair znalazł się tuż za nimi i popchnął ich w stronę drzwi.

– Na zewnątrz, szybko – rozkazał.

Sacha nie potrzebował dodatkowej zachęty. Chwycił Taylor za rękę i rzucił się biegiem do ucieczki.

Wypadli z kościoła na oczyszczające światło słońca, a Sachy wydało się, że słyszy szyderczy śmiech dochodzący ze świątyni. Biegł przed siebie, przez plac, by jak najbardziej oddalić się od ohydnych maskaronów, które zdawały się go obserwować. Gnał, aż w końcu przystanął w cieniu drzewa, padł na kolana i zwymiotował.

Gdy wstał, ocierając usta wierzchem dłoni, Taylor i Alastair czekali tuż obok. Po chwili dołączyła do nich Louisa, uważnie obserwując twarze w tłumie.

– Nic ci nie jest? – spytała Taylor bez tchu.

– Słyszałem demona – odparł Sacha drżącym głosem. – Powiedział, że umrę. – Z trudem panując nad sobą, popatrzył na Louisę. – Jak demon mógł się znaleźć w kościele?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo uprzedził ją Alastair.

– Nie wiem – mruknął z ponurą miną. – Ale tam był i na nas czekał.

Tego popołudnia w château panowała atmosfera przygnębienia. Po powrocie z miasta wszyscy usadowili się na starych krzesłach w głębi salonu, żeby porozmawiać.

– Czułam się tak, jakby niewidzialna ściana oddzielała mnie od innych – wyznała Taylor. – Mortimer mógłby podejść do mnie i wcale bym się nie zorientowała.

– My też to czuliśmy – dodała Louisa. – Pierwszy raz w życiu doświadczyłam czegoś takiego.

– Demon nabiera sił – oświadczył Deide z kamienną miną. – Nie znaleźliśmy pomieszczenia, w którym należy odprawić rytuał, a Mortimer nie zaatakował. Bawił się z nami. Przykro mi, ale musimy tam wrócić dzisiejszej nocy i przynajmniej spróbować go zabić. Trzeba doprowadzić sprawę do końca, nim jutro zabraknie nam opcji.

Sacha wzdrygnął się na samą myśl o powrocie. W kościele poczuł własną śmierć.

– Ale jak to zrobimy? – spytała Taylor płacząco. – Moc w kościele była przytłaczająca, a my nic nie mogliśmy na to poradzić.

Odpowiedziało jej milczenie.

Rozglądając się po zrozpaczonych twarzach wokół, Sacha z przerażającą jasnością uświadomił sobie, że nikt nie zna odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Było o wiele gorzej, niż sobie wyobrażali.

– Ona ma rację – odezwała się w końcu Louisa. – Jak mamy znowu zabrać tam Taylor i Sachę, skoro nawet nie widać, z czym walczymy? Mortimer może stać obok, a my nie będziemy mieli o tym pojęcia. Działamy tam po omacku.

– Nie ma wyboru. – Deide ściągnął okulary i rzucił je na stół. – Nie rozumiecie? Nie wolno nam tak odejść. Musimy znaleźć to pomieszczenie, i to przed urodzinami Sachy. Trzeba też zabić Mortimera. Dlatego wrócimy dziś do miasta. Będziemy walczyć albo jutro zginiemy.

Jego słowa zdawały się rozbrzmiewać echem w starym domu. Jutro zginiemy... jutro zginiemy...

Sacha opuścił głowę. Klęska wydawała się nieuchronna. Inni też milczeli, wszyscy poza Taylor. Tylko ona nie dawała za wygraną. – Dobrze, proszę pana – powiedziała spokojnie. – Wrócimy tam dzisiaj i zabijemy Mortimera. Tylko jak?

Nauczyciel wyciągnął mapę i rozłożył ją na stole. Bez okularów wyglądał dużo młodziej.

– Mam plan – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Po spotkaniu Sacha poszedł do swojego pokoju na piętrze.

Rozmawiali o planie Deidego przez godzinę i teraz już wszyscy wiedzieli, co muszą zrobić. Mimo to Sacha wątpił, by choć jedna osoba w ich gronie szczerze wierzyła w powodzenie akcji. Nie powiedział o tym nikomu, ale w głębi serca uważał, że walka dobiegła końca. Głos demona w jego uchu jasno dał mu to do zrozumienia.

Odkąd Sacha poznał Taylor, próbował przekonać samego siebie, że mają szansę. Że przezwyciężą klątwę, a on przeżyje. Teraz wiedział, że to była tylko fantazja.

Gdy znalazł się w olbrzymiej sypialni, położył się na wysokim łożu z baldachimem. Tego ranka nie odsunął zniszczonych zasłon, więc w pograżonym w półmroku pokoju panował chłód.

Zamknął oczy. Już nie chciał być przytomny, nie chciał myśleć. Mimo to tak jak ostatnio sen nie chciał nadejść. W głowie Sachy co chwilę pojawiały się nowe, okropne ewentualności i straszne wizje.

Po pewnym czasie usiadł, żeby się otrząsnąć z natrętnych myśli. Chwycił telefon z nocnego stolika i sprawdził godzinę. Minęła trzecia. Do Carcassonne mieli wrócić dopiero późną nocą. Zostało mnóstwo czasu do zabicia, zanim wszystko się zawali.

Niemal odruchowo przejrzał wiadomości w telefonie. Jak zawsze, kilka napisała matka. Dowiedział się, że ciotka Annie wyszła ze szpitala i powoli leczy rany w domu, wraz ze swoim psem Pikachu.

Pies się zmienił, ciągle szczeka. Śpi przed twoim dawnym pokojem, jakby myślał, że wrócisz. Wszyscy na to liczymy.

Po policzku Sachy spłynęła łza, którą szybko otarł wierzchem dłoni. Od wyjazdu z Oksfordu unikał dzwonięcia do matki. Czekał, aż będzie miał dobre wieści do przekazania.

Tyle że dalsze czekanie i liczenie na pomyślne informacje nie miało już sensu.

Nacisnął przycisk połączenia. Zupełnie nie wiedział, co powie, ale to było bez znaczenia. Chciał tylko porozmawiać z kimś, kto go kochał.

– Halo? – To nie był głos matki.

– Laura? – Puls Sachy przyśpieszył.

Jego siostra krzyknęła cicho.

– Sacha. To naprawdę ty?

– Naprawdę ja. – Zaśmiał się nieszczercze. – Czy to moja ulubiona młodsza siostra?

– Jedyna młodsza siostra – ofuknęła go. Wyobraził sobie, jak Laura przewraca oczami, a potem usłyszał, że odsuwa telefon od ucha. – Maman, to Sacha!

Znowu położył się na łóżu i zamknął oczy. Wyobraził sobie ich mieszkanie, zalane światłem w letni dzień. Laura najprawdopodobniej siedziała w salonie, na starej sofie, lekko zapadniętej w środku. Pewnie przykryła chude nogi puszystym kocem i oglądała teledyski.

W oddali usłyszał radosny krzyk mamy. Może znów pracowała w szpitalu na nocne zmiany. Jeśli tak było, to właśnie ją obudził.

– Sacha? – Znajomy głos matki wydawał się zadyszany. Tak bardzo kojarzył się z domem i bezpieczeństwem, że serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. – Mon chéri. Nie wierzę. Jak się masz? Gdzie jesteś? Tak bardzo tęsknimy.

Sacha odetchnął niepewnie, usiłując mówić swobodnym głosem. – Nic mi nie jest, maman – zapewnił ją. – Jestem we Francji, ale nie mogę powiedzieć, gdzie dokładnie. U mnie wszystko w porządku. – Boję się o ciebie. Proszę, wracaj do domu. Zostało tak mało czasu i chciałabyśmy... chciałabym... Sacha z trudem przełknął ślinę.

– Maman, posłuchaj uważnie. Możliwe, że rozmawiamy po raz ostatni – oznajmił.

Jego matka milczała.

– Wszystko jest bardzo skomplikowane – dodał. – Nie mogę wrócić do domu. Ciągnie się za mną niebezpieczeństwo. Przecież wiesz.

Prychnęła cicho na znak protestu, ale nic nie powiedziała.

– Jestem tu z kilkoma osobami. To dobrzy ludzie. Uważają, że uda się im to powstrzymać. Ja... sam nie wiem. – Odetchnął głęboko. – Nie

jestem pewien, czy mają rację. To się wydaje niemożliwe, ale przecież trzeba spróbować. Papa ich znał i im ufał. Teraz ja muszę im zaufać. – To ta dziewczyna z Anglii? – zapytała podejrzliwie. – Ta Taylor Montclair?

– Jest tutaj – przyznał. – Ale nie tylko ona. Są inni, którzy próbują pomóc. Robią, co mogą.

– No cóż...

Aż trudno było uwierzyć, że dwa krótkie słowa mogą być aż tak wymowne.

– Włącz tryb głośnomówiący – poprosił. – Chciałbym, żeby Laura usłyszała to, co powiem.

– Chce porozmawiać z nami dwiema – oznajmiła matka, odsuwając głowę od telefonu. – Jak się włącza ten... głośnik?

Laura westchnęła z frustracją.

– Pokazywałam ci tysiąc razy, maman. Wciśnij ten guzik.

– Hm... – Głos matki teraz brzmiał jakby z oddali. – Słyszysz nas?

Sacha uśmiechnął się do siebie.

– Słyszę – przytaknął.

– Cześć, Sacha! – Rozemocjonowany głos Laury brzmiał donośniej niż głos matki. – Mam nadzieję, że skopałeś tyłki potworom.

– Owszem. – Żałował, że tak nie było. – Słuchajcie, nie mogę długo rozmawiać. Musicie obie usłyszeć moją obietnicę. Przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przeżyć, i że pewnego dnia wrócę do domu i was uściskam. I że razem będziemy obchodzili moje osiemnaste urodziny. – Odetchnął z trudem. – Jeśli nie zdołam, uwierzcie, że naprawdę się starałem. Okej? Zrobię wszystko, żeby żyć. Chcę was znowu zobaczyć.

Usłyszał stłumiony dźwięk, być może szloch. Nie chciał o tym myśleć.

– Laura, jeśli nie wrócę, opiekuj się maman, okej? – poprosił.

Odezwała się dopiero po długiej chwili.

– Obiecuję – powiedziała cienkim głosem.

Sacha miał tak ściśnięte gardło, że ledwie zdołał wypowiedzieć następne słowa.

– Kocham was obie, pamiętajcie o tym. A teraz muszę iść, bo... wołają mnie.

- My też cię kochamy, Sacha - rzuciła szybko jego matka. -
I zobaczymy się w twoje urodziny.

Zanim zdołała cokolwiek dodać, Sacha pośpiesznie się rozłączył.
Potem przetoczył się na plecy, zasłonił oczy ramieniem i spróbował
o niczym nie myśleć.

Nie tylko Sacha miał problemy ze snem. Za sąsiednimi drzwiami całkowicie rozbudzona Taylor leżała na łóżku i patrzyła na zakurzoną ozdobną sztukaterię na suficie. Myśłami jednak błędziła gdzie indziej – była w Carcassonne, w starym kościele, w mroku, który tam wyczuła. Potem skupiła się na Georgie, matce, domu, Oksfordzie, Kolegium Świętego Wilfreda...

Kiedy te myśli ją w końcu przytłoczyły, zerwała się z łóżka i z telefonem w dłoni zbiegła po skrzypiących schodach na parter, żeby się czymś zająć. Chciała zadzwonić do mamy, ale nie mogła. Niby co miałyby jej powiedzieć?

Nie przychodziły jej do głowy żadne przekonujące kłamstwa, a myśl o pożegnaniu bolała niczym otwarta rana. Brak kontaktu wydawał się lepszym rozwiązaniem.

W domu panowała cisza. Kłębki kurzu tańczyły w promieniach popołudniowego słońca, a posągi w kątach patrzyły na Taylor pustym wzrokiem, jakby słyszały jej kroki i nie potrafiły zrozumieć, co ona tu robi.

Na stole w pustym salonie zapomniana baseballówka Alastaira leżała obok pustej butelki wina z poprzedniego wieczoru. Panował tu niczym niezmacony spokój, a cisza wydawała się nieziemską, jakby w całym domu nikt nie oddychał.

Taylor pośpiesznym krokiem przeszła do kuchni, która również okazała się pusta. Dopiero gdy wiatr zmierzwił jej włosy, zauważyła, że tylne drzwi są lekko uchylone. Zaciekawiona, otworzyła je szerzej. Robiło się coraz chłodniej. Powietrze pachniało dziką lawendą, która rosła z tyłu domu.

Louisa siedziała na podniszczonym drewnianym krześle przy drzwiach i patrzyła w dal, na białe zamkowe wieże Carcassonne. Zaniepokojona skrzypnięciem otwieranych drzwi, spojrzała w ich kierunku. W popołudniowym świetle jej oczy przybrały barwę toffi. Znowu miała na sobie czarną bluzkę z krótkimi rękawami i szorty,

a wytatuowane ciemnym barwnikiem alchemiczne symbole mocno kontrastowały z jej bladą skórą.

– Nie możesz spać? – zapytała.

Taylor pokręciła głową. Louisa nie wydawała się zdziwiona.

– Ja też nie – mruknęła.

Taylor przysiadła na progu obok niej i podciągnęła kolana pod brodę.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała Louisa, jakby w ogóle nie przerwały poprzedniej rozmowy. – Dlaczego siły ciemności są już tak potężne? Powinniśmy mieć jeszcze przeszło dobę. Urodziny Sachy formalnie zaczną się dopiero jutro o północy.

Przez chwilę obie milczały, po czym Louisa dodała:

– Nie mówiłam ci o tym, ale przed wyjazdem z kolegium natrafiłam na księgę w gabinecie Aldricha. To było szesnastowieczne tłumaczenie manuskryptu z trzynastego wieku, zatytułowanego O zawezwaniu demona.

Taylor odwróciła się i na nią spojrzała, a Louisa uniosła dłoń, jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie.

– Przeczytałam księgę i doszłam do wniosku, że to pierdoły, ale zmieniłam zdanie. Myślę, że to wyjaśnia wszystko, co się teraz dzieje.

– Dlaczego uznałaś to za pierdoły? – zapytała Taylor.

– Bo Aldrich zostawił między kartkami jedną ze swoich notatek – odparła Louisa, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jakich notatek?

– Wiesz, że miał mnóstwo książek, prawda?

Taylor skinęła głową.

– No więc w końcu przeczytał ich tak wiele, że nie pamiętał, jak ocenił każdą z nich. Czy to książka, którą przeczytał i z którą się zgodził, czy może uznał ją za idiotyczną? Nieustannie musiał ponownie czytać te same książki, co go spowalniało. W końcu zaczął zostawiać w nich notatki. Opracował cały system. „B” to być może, „A” to absurd. I tak dalej. – Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. – Typowy Aldrich.

Zawiesiła głos.

– A co z tą książką? – zniecierpliwiła się Taylor. – Tą o demonie? Jaką notatkę do niej włożył?

– „M” jak mało prawdopodobne. – Niebieskie włosy Louisy zaiskrzyły się, gdy przyczesła je palcami. – To oznaczało, że nie dowierzał autorowi, ale też nie do końca odrzucał jego teorie. W każdym razie w księdze napisano, że jeśli demon skontaktuje się ze swoim ludzkim gospodarzem i postanowią zawrzeć pakt, przestrzeń między wymiarami stopniowo się skurczy. Demon nie może się tu dostać, ale może nas wyczuć. – Znowu spojrzała na zamek. – A my jego.

Taylor zaschło w ustach. Pomyślała o tym, co czuła dziś w mieście, o przytłaczającym lęku, tak jakby mroczna moc była wszędzie, jakby sączyła się ze ścian i oblepiała stopy niczym smoła.

Louisa jeszcze nie skończyła.

– Napisano też, że w dniu zawarcia paktu otworzą się wrota. – Zamachała ręką. – A wtedy przejdzie przez nie demon. – Ostatnie słowo wypowiedziała niemal szeptem. – I wszyscy zginiemy.

Serce Taylor zabiło mocniej.

– Wierzysz w to?

– A ty? – odpowiedziała jej pytaniem Louisa.

Z pełnym bezradności przerażeniem Taylor zrozumiała, że wierzy. Dotąd nie potrafiła sobie wyobrazić, czym jest demon, jak bardzo jest potężny i jaką monstrualną mocą dysponuje. O czymś takim pisano w starych księgach, podobnie jak o smokach i wrózkach. To były fantazje, które teraz zmieniły się w rzeczywistość.

Czerwone, na wpół zagojone ślady pazurów na jej dłoni dowodziły istnienia demonów.

– Niech to diabli, Louisa – westchnęła. – Co robimy?

Wracamy tam – odparła Louisa bez chwili wahania. – Znajdziemy Mortimera Pierce’a i go zabijemy.

– Ale jak? – nie odpuszczała. – Czułaś dziś tę moc.

– Owszem. – Louisa pochyliła się i oparła łokcie na kolanach, po czym spokojnie popatrzyła na Taylor. – Ale czułam też twoją moc. Mówiłam ci już wcześniej, Taylor, jesteś jak bomba atomowa. Mortimer już od wielu tygodni próbuje cię zabić, bo się ciebie boi. Naprawdę nie rozumiesz? – Przechyliła głowę. – Myśli, że możesz zwyciężyć.

Taylor na chwilę odebrało mowę.

– Nie mogę, Lou – powiedziała w końcu. – Nie miałam czasu się nauczyć.

– Nie potrzebujesz czasu – oznajmiła Louisa z przekonaniem. – Musisz tylko przestać się bać własnej mocy. Kiedy będziesz w kościele dzisiaj wieczorem, a Mortimer przyjdzie po Sachę, po prostu bądź sobą. Zaatakuj go wszystkim, co masz. Otwórz się na to. Zabij Mortimera Pierce'a, Taylor. Zrób to dziś w nocy.

Po tej rozmowie Taylor nie mogła usiedzieć na miejscu. Chodziła po zakurzonych korytarzach, wędrowała z pokoju do pokoju, niespokojna i zdenerwowana, nieustannie odtwarzając w głowie słowa Louisy.

„Bądź sobą. Zabij Mortimera Pierce'a”.

Dotąd zakładała, że Louisa albo Deide zajmą się zabijaniem, jeśli okaże się ono konieczne. Teraz stało się jasne, że będzie inaczej. To ona musiała zlikwidować Mortimera, tak jak zabiła zwiastunów i jednego z zombie.

Uważali, że w głębi duszy jest morderczynią. Może mieli rację. Tyle że moc, z którą zetknęła się tego dnia w kościele, wydawała się nie do pokonania.

Jeśli była jedyną nadzieją swoich przyjaciół, czekała ich rychła śmierć.

Zakręciło się jej w głowie, gdy dotarło do niej, że nie skończy studiów, nie zobaczy świata. Nawet nie zda egzaminu na prawo jazdy.

To było niesprawiedliwe. Miała tyle planów...

Świadomość wszystkiego, czego nigdy nie zrobi, była wręcz obezwładniająca, i może właśnie dlatego Taylor czuła, że musi znajdować się w nieustannym ruchu. Zmuszała nogi, by robiły krok za krokiem, by krew krążyła po ciele. Udowadniała sobie, że jeszcze nie umarła.

Na samym końcu korytarza otworzyła ostatnie drzwi po lewej, ale nie dlatego, że interesowało ją, co się za nimi kryje, tylko dlatego, że tam były.

Otworzyły się, skrzypiąc na znak protestu. Za nimi znajdowało się wysokie, pogrążone w półmroku pomieszczenie, w którym ściany, od sufitu do podłogi, zasłonięte były pozłocanymi grzbietami starych ksiąg.

To była biblioteka.

Zaintrygowana Taylor wśliznęła się do środka. Nawet kiedy świat się walił, biblioteka nadal potrafiła poprawić jej samopoczucie.

Naturalnie wszystkie księgi napisano po francusku. Z oddali wyglądały pięknie, oprawione w skórę, z wytłoczonymi i pomalowanymi na złoto tytułami. Z bliska jednak Taylor zobaczyła, że są poplamione wodą, spłowiałe od słońca, nabrzmiące od wilgoci i ogólnie zniszczone z powodu kiepskich warunków, w jakich je trzymano.

Tak czy inaczej, były to książki.

Wszystkie meble w bibliotece zasłonięto białymi prześcieradłami. Taylor wyciągnęła kilka interesujących na pierwszy rzut oka książek i usadowiła się na przykrytej sofie, ignorując chmarę kurzu, którą wzbiła.

– Je m'appelle Jacques – przeczytała głośno z książki najprawdopodobniej przeznaczonej dla dzieci.

Podkuliła nogi i skupiła się na lekturze, od czasu do czasu zastanawiając się nad nieznanymi słowami. Tak bardzo pochłonęła ją historia podróży Jacques'a na statku wielorybniczym, że kiedy rozległo się dziwne buczenie, powiodła wokół zdumionym wzrokiem, jakby źródło hałasu miało się objawić gdzieś w kącie, i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to jej telefon. Rano odruchowo wepchnęła go do kieszeni i kompletnie o nim zapomniała.

Wyjęła aparat i ujrzała na ekranie rozpromienioną twarz Georgie. Przez moment wpatrywała się w jej znajome brązowe oczy, po czym nacisnęła guzik rozmowy.

– O mój Boże. – Ciszę budynku zakłócił donośny, ożywiony głos Georgie. – Nie wierzę. Co się dzieje w tym Oksfordzie? Związali cię i uwięzili w piwnicy? Dlaczego nie odbierasz, kiedy dzwonię?

Ku swojemu zdumieniu Taylor wybuchnęła śmiechem.

– Nie jestem w piwnicy – odparła. – Nie dramatyzuj.

– Ignorujesz moje telefony. Jeśli nie siedzisz w piwnicy, to pożałujesz.

– Cicho bądź – powiedziała odruchowo Taylor. – Zadzwoń, żeby na mnie nawrzeszczyć? Jestem w bibliotece i będę miała kłopoty, jeśli przyłapią mnie na rozmowie. Streszczaj się.

Usiadła wygodniej na sofie. Georgie demonstracyjnie westchnęła.

– W porządku. Dzwonię, bo mam nowiny. Jak wiesz, w przyszły weekend jadę z rodziną do Hiszpanii i oto dobre wieści: mama mówi, że możesz jechać z nami, jeśli chcesz. Moi rodzice za ciebie zapłacą. – Jakby spodziewając się odmowy Taylor, dodała niecierpliwie: – Tak, tak, wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale możesz przyjechać w sobotę i wrócić w poniedziałek rano. Żaden z twoich zdziwaczałych, brodatych profesorów nawet nie zauważy, że cię nie ma. Co ty na to? Taylor i Georgie znowu razem, zwalają z nóg chłopaków na Costa del Sol. Uda się nam?

Taylor poczuła przemożną tęsknotę za światem, w którym przyjaciółki mogłyby wyjechać razem na weekend. Za światem bez potworów, bez śmierci i bez alchemików oraz Mortimera Pierce'a.

Dlaczego nie mogła tego mieć? – Tak – usłyszała swój głos. – Jedźmy.

Georgie pisnęła z zachwytem.

– Mówisz poważnie? O mój Boże, muszę powtórzyć mamie!

Poczekaj chwilę!

Odłożyła telefon, a Taylor słyszała stłumione tupanie stóp na podłodze absurdalnie różowej sypialni. Georgie podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Mamo! – krzyknęła. – Taylor mówi, że pojedzie!

Mama Georgie powiedziała coś z aprobatą. Po chwili Georgie wróciła.

– Będzie cudownie! – oznajmiła bez tchu do telefonu. – Mama pyta, czy masz paszport.

Taylor skinęła głową, uśmiechając się przez łzy.

– Tak – wyszeptała. – Mam.

Rzeczywiście miała paszport i w gruncie rzeczy podczas tej rozmowy ani razu nie okłamała Georgie. Jeśli to był ich ostatni kontakt, postanowiła jak najmniej kłamać.

Naprawdę chciała pojechać do Hiszpanii. Była gotowa się tam wybrać, jeśli nie zginie.

– Cudownie – westchnęła Georgie. – Tak bardzo za tobą tęsknię, Tay. Wiem, że naprawdę chcesz być w Oksfordzie, ale bez ciebie tu jest

beznadziejnie. Szkoda, że nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Też żałuję.

Georgie umilkła, jakby usłyszała przygnębienie w głosie przyjaciółki. Kiedy jednak znowu się odezwała, mówiła równie radośnie jak zawsze.

– Nie wierzę, że w przyszłym tygodniu się zobaczymy. Moja mama załatwi wszystko z twoją. – Wydała z siebie radosny okrzyk. – Cieszę się, że w końcu odebrałaś. Muszę lecieć, mama chce iść na zakupy. Do zobaczenia za parę dni.

– Do zobaczenia – odparła Taylor. Georgie już zdążyła się rozłączyć i nie usłyszała ostatnich słów. – Kocham cię.

Po rozmowie z Taylor Louisa wyruszyła na poszukiwania Alastaira. Kuchnia świeciła pustkami, więc cofnęła się i obeszła budynek.

Znalazła Alastaira w szopie, pochylonego nad silnikiem ukochanej niebieskiej furgonetki.

– Tu się chowasz. – Oparła się o ścianę obok starej skórzanej uprząży. – Wszędzie cię szukałam.

Alastair zerknął na nią.

– Nie chowam się – oznajmił.

W chłodnym budynku panował półmrok, a w powietrzu unosił się całkiem przyjemny zapach benzyny i ziemi. W kącie Louisa dostrzegła niepokojąco dużego pająka, który pracowicie tkął ogromną sieć, i odnotowała w pamięci, żeby nie iść w tamtą stronę.

Furgonetka, własnoręcznie polakierowana przez Alastaira, wydawała się bardzo poobijana i rozklekotana przy lśniącym motocyklu Sachy i szpanerskim sportowym aucie Deidego. Louisa wiedziała jednak, że samochód Alastaira jest wytrzymały. Poza krótkim incydentem z przegrzaniem dzielnie im służył.

– Zależy mi tylko na tym, żeby nie popsuł się dziś wieczorem – powiedział Alastair, nie przerywając pracy.

Był zajęty dokręcaniem poczerniałej śruby staroświeckim kluczem francuskim.

– Chciałbyś – mruknęła Louisa. – Stary gruchot. Wyczuje demona i od razu padnie.

Alastair wyprostował się i wytarł poplamione smarem ręce w szmatkę.

– Nie, o ile ja będę miał coś do powiedzenia. – Wyjrzał przez otwarte drzwi szopy i popatrzył na spokojne château. – Reszta śpi?

Louisa pokręciła głową.

– Wszyscy się denerwują. Starają się jakoś zabić czas.

– Wcale się im nie dziwię. – Otarł czoło dłonią, zostawiając na nim smugę smaru. – A ty? Też się denerwujesz?

– Martwię się, Al – odparła szczerze. – Dzisiejszy dzień wszystko zmienił. Zobaczyliśmy, z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Nie jest dobrze. Staram się podtrzymywać wszystkich na duchu, tylko widzisz, sama nieustannie o tym myślę. Bez względu na to, jak rozgrywam tę sytuację w swojej głowie, nigdy nie kończy się dobrze.

– Taylor i Sacha razem stanowią esencję mocy – przypomniał jej. – Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego. Trzeba dać im szansę.

– Wiem. – Westchnęła. – Ale ty też to dziś poczułeś. Ta demoniczna moc była poza skalą. To była śmierć.

Alastair z uporem pokręcił głową. W jego oczach ujrziała dezaprobatę.

– Daj spokój. Przecież wiesz, jak to działa. Demon chciał, żebyśmy to poczuli. Chciał, żebyśmy stracili nadzieję. Bawi się z nami.

– A skąd wiesz? – Starła się nie okazywać frustracji. – Byłeś tam i to czułeś.

– Pamiętaj o zasadzie numer jeden – odparł łagodnie. – Demony kłamią.

Wyciągnął upačkaną smarem rękę, a ona ujęła ją bez wahania i pozwoliła mu się przyciągnąć. Kiedy Alastair ją objął, natychmiast poczuła się bezpieczniejsza.

Tamtego pierwszego dnia na korytarzu przed swoim pokojem pokochała Alastaira i ani na moment nie przestała go kochać. Kryła to w sobie latami, maskowała fascynację, przez którą jej serce biło jak szalone, a żołądek ścisnął się za każdym razem, gdy Alastair był w pobliżu.

Po kilku miesiącach od pierwszego spotkania stali się sojusznikami, a potem przyjaciółmi. Bez względu na to, jak bardzo się jeżyła i jak wysoki mur budowała wokół siebie, Alastair zawsze znajdował jej łagodną stronę. Nic go nie odstręczało.

Gdy złorzeczyła, tylko się śmiał. Gdy psuła rzeczy, on je naprawiał. Zanim go poznała, nie sądziła, że ktoś mógłby chcieć to dla niej zrobić.

Każdy potrzebuje kogoś, kto pomoże pozbierać potłuczone skorupy.

Podczas tej wyprawy w końcu przełamali bariery, którymi się odgradziła. Pozwoliła sobie na bliskość z Alastairem, a teraz miała

go stracić. Dzisiaj w Carcassonne zrozumiała, że śmierć depcze im po piętach. Poczła jej obrzydliwy ciężar i koszmarną pustkę.

Demon na nich czekał. Był przygotowany.

– Przejdziemy przez to – obiecał Alastair i przytulił ją mocniej. Louisa uśmiechnęła się ze smutkiem. Nawet teraz, gdy wszystko wydawało się stracone, on nie zamierzał się poddać. Przycisnęła nos do jego piersi, wdychając zapach świeżego powietrza, smaru i rozgrzanej słońcem skóry.

– Jeśli ten demon cię tknie, to go zabiję – wymamrotała.

Poczła, jak Alastair trzęsie się ze śmiechu.

– Demon nie ma pojęcia, na co się porywa – zauważył.

Louisa uniosła głowę, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Jak to zrobimy, Alastair? Jak to przeżyjemy?

Delikatnie musnął jej usta swoimi.

– Będziemy działać zgodnie z planem – odparł. – Musimy wierzyć w siebie i się nie poddawać.

Gdy późną nocą wjechali do Carcassonne, okazało się, że trafili do zupełnie innego miasta niż to, które zwiedzali po południu. Zniknęły hordy turystów tłoczących się w wąskich uliczkach. Zniknęły również autokary, samochody i miejscowi. Kręte zaułki były opustoszałe. Ryk motocykla Sachy przeszywał ciszę, kiedy jechali na szczyt wzgórza.

Olbrzymi zamek z białego kamienia był oświetlony dziesiątkami reflektorów, ze wszystkich stron i pod każdym możliwym kątem. Wszystkie parkingi przy cytadeli okazały się puste, jednak Sacha je zignorował i zatrzymał się dokładnie naprzeciwko wielkiej kamiennej bramy, pod znakiem zakazu parkowania.

Taylor ściągnęła kask i popatrzyła na znak. Na widok jej miny Sacha wzruszył ramionami.

– Wątpię, żeby policja parkingowa o tej porze patrolowała okolicę – powiedział.

Potężna brama z wrotami przypominającymi spuszczaną kratę stała otworem, ale minęli ją i skręcili w cień. Zamek z dwóch stron graniczył ze stromą, trawiastą skarpą, która docierała aż do nowoczesnego miasta w dole. Piaszczysta ścieżka prowadziła wzdłuż szczytu wzgórza na zewnątrz murów. Sacha i Taylor przystanęli na jej skraju, czekając na sygnał.

Nie trwało to długo. Bez żadnego dźwięku ani ostrzeżenia wszystkie reflektory nieoczekiwanie zgasły. Przez chwilę światła w mieście migotały, po czym, w kompletnej ciszy, i tam zapadła ciemność.

Całe Carcassonne pogrążyło się w mroku. Sacha gwizdnął z uznaniem.

– Felicitations, Louisa – wyszeptał.

Taylor bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć. Trzęsła się jak liść, spięta do granic możliwości.

Noc była spokojna i bardzo ciemna. Nawet księżyc nie oświetlał im drogi, a wzrok Taylor nie zdołał przyzwyczaić się do mroku na tyle, żeby zobaczyła gwiazdy. To jednak nie tłumaczyło złowieszczego strachu, który tętnił jej w żyłach.

Gdzieś za tymi murami skrywał się Mortimer.

– Gotowa? – Sacha popatrzył na nią pytająco.

On był gotowy. Nawet teraz widziała jego nieustraszone, niebieskie oczy.

Do pewnego stopnia mogła zrozumieć brak lęku Sachy. Wizja tej chwili i tego miejsca dręczyła go przez całe życie. Była niczym miecz nad jego głową. Teraz zbliżał się koniec. Wkrótce mieli albo powstrzymać to na dobre, albo polec.

Tak czy owak, to oznaczało kres oczekiwania. Taylor wiedziała, jak bardzo Sacha tego pragnie.

Z wysiłkiem skinęła głową.

Chłopak ostrożnie poprowadził ją w dół wąskiej ścieżki, która biegła samym skrajem stromego wzgórza. Wystarczył jeden nieprzemyślany krok, żeby oboje spadli.

W teorii spacer miał być krótki i łatwy, jednak zdawał się trwać w nieskończoność. Taylor straciła poczucie czasu, gdy obchodzili starą kamienną konstrukcję. W pewnym momencie potknęła się i w ostatniej chwili złapała równowagę.

Sacha odwrócił się do Taylor.

– W porządku? – spytał.

Pokiwała głową, po czym uświadomiła sobie, że pewnie tego nie widać.

– Tak – odparła.

Sacha znów się odwrócił.

– To dobrze. Chyba jesteśmy...

Urwał i oboje zamarli, gdy miasto na dole nagle wypełniło się krystalicznie czystym wyciem syren.

– Merde – wyszeptał Sacha.

Na czarnym, aksamitnym tle pozbawionej elektryczności nocy migające niebieskie światła radiowozu były wyraźne i jaskrawe. Zawodzące syreny brzmiały żałośnie i natrętnie.

Taylor wstrzymała oddech i powiodła wzrokiem za światłami, aż w końcu zniknęły w oddali. Wypuściła powietrze z płuc, które boleśnie zakłuły na znak protestu.

– Szybciej. – Sacha był już znacznie dalej. Nawet nie zauważyła, że odszedł. – Musimy dostać się do środka.

Dogoniła go biegiem w chwili, gdy przystanął przed zardzewiałą furtką u podnóża jednej z baszt.

– Tu – wyszeptał i wskazał ciężką kłódkę.

Taylor odetchnęła głęboko i położyła dłoń tuż nad kłódką. Następnie zamknęła oczy i zaczęła szukać energii molekularnej. Krążyło jej tu zdumiewająco niewiele. W pobliżu brakowało cieków wodnych, w starym murze nie było elektryczności. Udało się jej wyciągnąć delikatne, złociste pasemko z trawy pod stopami, a wtedy wyobraziła sobie, jak zamek ustępuje.

„Otwórz się”.

Nie była pewna, czy wystarczy jej mocy, dopóki nie usłyszała szcęknięcia, a następnie głuchego łoskotu upadającej kłódki.

– Dziękuję – szepnęła do ziemi tak cicho, że Sacha nic nie usłyszał. I tak nie zwróciłby na to uwagi, gdyż już popychał furtkę. Zawiasy zaskrzypiały na znak protestu – nikt od dawna nie używał tego wejścia – ale furtka się uchyliła, tak jak to wcześniej zapowiedział Deide.

Wśliznęli się do środka. Serce Taylor mocniej zabiło, gdy weszli na kamienne ulice cytadeli. Demoniczna energia krążyła wszędzie, i to w dużej ilości.

Taylor zamknęła oczy, szukając oznak życia, ale tak jak rano, niczego nie wyczuła – ani Sachy, ani innych, a już na pewno nie Mortimera.

Gardło się jej ścisnęło i z trudem zapanowała nad paniką. Jeśli miało się jej udać, musiała być skupiona.

Jej wzrok oswoił się z nocą na tyle, że widziała wokół siebie stare miasto. Wyglądało teraz zupełnie inaczej niż za dnia. Z trudem dostrzegła pęknięcia na kamiennych murach obronnych. Jaskrawe i irytujące w słonecznym świetle sklepiki z pamiątkami dla turystów, oferujące słodczyce oraz zabawkowe miecze, w mroku wydawały się wiekowe i groźne.

Wiatr rozwał jej włosy i rozkołysał staroświeckie drewniane szyldy. W powietrzu czuć było pleśń i śmierć.

Sacha ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w drogę przed sobą. Szedł pewnym krokiem, jakby przemierzał te ulice już tysiące razy. Wybrał najkrótszą trasę i już po kilku minutach zamajaczył przed nimi kościół, olbrzymi i ponadczasowy.

Gdy minęli plac i znaleźli się przed łukowatymi drzwiami świątyni, Taylor zaczęła szcząkać zębami. Tym razem wejście było zamknięte, nie tak jak rankiem.

Taylor opuściła powieki, szukając mocy. Wcześniej znalazła odrobinę przy furtce, ale teraz nie zdołała przywołać nawet jednego pasma alchemicznej energii. Zmarszczyła brwi i skoncentrowała się jeszcze bardziej. Wyciągnęła rękę do drzwi, usiłując wychwycić jakąkolwiek energię, kiedy nagle zamek szcząknął głośno i metalicznie. Zamarła i zrobiło się jej zimno z przerażenia. Sacha spojrzał na nią pytająco.

– To nie ja.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, drzwi kościoła otworzyły się gwałtownie, uderzając w kamienną ścianę z taką siłą, że poleciały drzazgi. Taylor odruchowo się uchyliła, a Sacha zaklął i osłonił twarz dłonią.

Nad ich głowami wszystkie dzwony zaczęły bić w okropnej kakofonii, która przypominała krzyk.

Mroczna moc naparła na Taylor ze wszystkich stron, przetaczając się falami po starych kamiennych murach. Taylor chwyciła Sachę za rękę.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała. – Natychmiast. Nie protestował. Rzucili się do ucieczki po kocich łbach, a dzwony zagłuszyły stukot ich kroków.

Udało się im dobiec tylko do połowy placu.

– Tu jesteście. – Mortimer, schludnie ubrany i emanujący mocą, wyłonił się z cienia przed nimi. – Wszędzie was szukałem.

W tweedowej marynarce i starannie wyprasowanych spodniach Mortimer wyglądał tak, jakby wybierał się na wiejski jarmark. Jak zawsze ukrywał siwe włosy pod kaszkietem, a nad jego cienką górną wargą rosły srebrne wąsy. Oczy mężczyzny płonęły nienawiścią, gdy wpatrywał się w Sachę.

Taylor z trudem chwyciła powietrze. Przecież tego chcieli.

Mortimer tu był.

Teraz musiała tylko go zabić.

Podszedł do nich, niedbale trzymając laskę w jednej dłoni. Nie wydawał się ani specjalnie zadowolony, ani rozentuzjasmowany. Zachowywał się jak typowy zatopiony w myślach profesor zmierzający na zajęcia ze studentami.

Miała wrażenie, że wrosła w ziemię, jednak Sacha cofnął się o krok i pociągnął ją za sobą.

– Trzymaj się od nas z daleka. – Spiorunował wzrokiem Mortimera.

– Ojoj – zacmokał Mortimer. – Miałem nadzieję, że nie będziecie tego utrudniać. Jakkolwiek patrzeć, walka jest bezsensowna, kiedy już się ją przegrało. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyście przyznali się do porażki i pozwolili nam kontynuować pracę.

Wyciągnął ramię, a Taylor poczuła mroczną moc, która przetaczała się przez niego niczym niepowstrzymana fala nienawiści. Rozpaczliwie uniosła dłoń.

– Nie! – krzyknęła, wymachując ręką w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby ich ochronić. Niczego nie znalazła.

Kamienie nie miały energii molekularnej. Nie było tu trawy, w pobliżu rosło zaledwie kilka drzew. Nie świeciło słońce, nie płynęła woda – a do tego, ze względu na plan alchemików, zabrakło elektryczności.

Nic nie mogło jej ochronić. Mroczna energia Mortimera bez przeszkód krążyła wokół niej. Taylor starała się trzymać, jednak palce Sachy wyśliznęły się z jej uścisku i niewidzialna siła odrzuciła ją

do tyłu. Zabrakło czasu na reakcję. Była bezbronna. Usłyszała czyjś krzyk, a potem mocno o coś uderzyła.

Zapadła ciemność.

Kiedy na moment otworzyła oczy, nie rozpoznała otoczenia. Leżała na kamieniach i wszystko ją bolało, a wokół panowały egipskie ciemności.

W oddali słyhać było krzyki i wrzaski, błyskały światła, coś huknęło raz i drugi.

„Ktoś strzelał?”, przeraziła się.

Próbowała wstać, ale zakręciło się jej w głowie i ponownie osunęła się na bruk. Nagle obok niej pojawił się Sacha.

– Taylor? Bogu dzięki. Wszystko w porządku?

Jej wargi odmawiały posłuszeństwa i zdołała odpowiedzieć dopiero po kilku próbach.

– W porządku – wydusiła w końcu z siebie.

Potwornie bolała ją głowa. Kiedy jej dotknęła, żeby sprawdzić, co się dzieje, przekonała się, że jej palce są lepkie i wilgotne.

Krew.

Wtedy wszystko wróciło.

– Nic mi nie jest – podkreśliła z uporem, bardziej stanowczo, choć wcale nie była pewna, czy to prawda. – Pomóż mi się podnieść. Sacha z wyraźną ulgą pociągnął ją za rękę, a gdy wstała, przez chwilę mocno tulił ją do siebie.

– Byłem pewien, że już po tobie – szepnął.

Przez ubranie czuła ciepło jego ciała. Świat się kołysał, więc trzymała Sachę za szczupłe ramiona, dopóki wszystko się nie uspokoiło. – Krwawisz. – Patrzył na nią uważnie. – Na pewno dasz sobie radę?

– Z lewej, Alastair!

Na kościelnym placu za ich plecami rozległ się znajomy głos.

– Czy to Louisa? Jak długo byłam nieprzytomna? Co się zdarzyło? – Wyciągała szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Łupało ją w głowie, ale czuła się trochę lepiej. Choć oberwała, nie było najgorzej.

– Zapal światło. – W głosie Deidego słyhać było gniew i napięcie. – Nie przytrzymam go zbyt długo.

– Staram się – burknęła Louisa.

Rozległ się jęk bólu albo wysiłku, a także odgłos ciosu pięścią. – Jasna cholera – przemówił w ciemności Alastair. – Ten lubi walczyć.

„Ten?“, pomyślała Taylor.

– Mortimer przyprowadził kumpli – mruknął ponuro Sacha. – Więcej stworów.

Żywe trupy. Dlatego słyszała wystrzały – tych istot nie dało się pokonać alchemią. Deide najwyraźniej przyniósł broń.

Pomyślała o olbrzymim, chwiejącym się stworze, który zaatakował ich w Kolegium Świętego Wilfreda. Pamiętała jego przerażającą siłę, a także bezradność, którą poczuła, gdy stanęła z nim oko w oko.

Drgnęła, próbując uwolnić się z objęć Sachy.

– Musimy im pomóc – powiedziała.

– Louisa kazała mi cię stąd zabrać. – Nie puszczał jej. – Jesteś ranna. Kiepsko to wygląda.

– Wcale nie – burknęła. – To tylko krew.

Gdzieś za nimi jakieś ciało, zapewne spore, uderzyło o ziemię z wstrząsającą siłą. Alastair zaklął fantazyjnie. Taylor słyszała napięcie w jego głosie.

– Nie trafiłeś, pierdoło.

Ciągnąc Taylor za rękę, Sacha ruszył w kierunku placu i po chwili zaszyli się w drzwiach wejściowych jednego z domów. Po drugiej stronie placu Louisa klęczała, opierając ręce o ciemny słup latarni. Bez wątplenia próbowała przywołać wystarczająco dużo energii, żeby przywrócić elektryczność, a wraz z nią fale mocy, z której mogliby korzystać.

Taylor wyczuwała jej frustrację. W pewnym momencie dostrzegła wielką i zwalistą postać, która z wyciągniętymi rękami natarła na Louise. – Arrêté! – krzyknął Deide i cisnął nożem.

Ostrze precyzyjnie i bezszelestnie wbiło się w plecy potwora, który przystanął i wykręcił rękę tak, jakby chciał trzepnąć komara. Taylor szarpnęła się, żeby pobiec w kierunku Louisy, ale Sacha mocno ją trzymał.

– Muszę jej pomóc. – Wyrwała się z jego uścisku.

– Czekaj, Taylor... – zaczął, ale już jej nie było.

Ruszyła przez plac i po chwili wylądowała na kolanach obok Louisy, która spiorunowała ją wzrokiem.

– Co tu robisz, do cholery? – warknęła złowrogo.

Sacha przykucnął tuż obok nich.

– Nie mogłem jej zatrzymać – wysapał.

– Do diabła, Taylor – wycedziła Louisa. – Zachowujesz się tak, jakbyś uparła się zginąć.

– Zamierzam ci pomóc. Sama nie dasz rady. – Taylor przyłożyła ręce do skrzynki kontrolnej u podstawy latarni. – Spróbujemy razem. Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Wykorzystując całą swoją siłę, ściągnęła kruche pasemko mocy z kilku drzew rosnących na placu i skierowała ją ku latarni.

Nie udało się. Lampa pozostała ciemna, a po tym wysiłku Taylor niepokojąco pulsowało w głowie.

– Szlag. – Wytarła pot z czoła i ujrzała czerwień na dłoni. – Dlaczego to nie działa?

Sacha delikatnie ujął ją za rękę i popatrzył jej w oczy.

– Spróbuj jeszcze raz – poprosił.

Oddech uwiązał jej w gardle. Sacha miał rację. Mogli sobie z tym poradzić. Sięgnęła po dłoń Louisy, żeby wszyscy troje mieli ze sobą fizyczny kontakt.

– Jeszcze raz – powtórzyła.

Tym razem poczuła ciepłą falę mocy Louisy. Odetchnęła z ulgą, zamknęła oczy i przywołała każdą, nawet najmniejszą molekułę energii, jaką udało się jej znaleźć. Nie czuła już kamieni brukowych pod stopami ani zimnego metalu pod opuszkami palców. Znikł ból głowy. Taylor miała wrażenie, że unosi się nad wszystkim, co się działo dookoła. Była silna, bardzo silna.

Wyczuwała przewody w murach wokół siebie, a nawet widziała je, puste, oczekujące na wypełnienie. Postanowiła je wypełnić.

Ściągnęła całą energię z okolicy.

„Światło”.

W oddali rozległo się szcęknięcie, a po nim buczenie i rozbłysło oślepiające światło.

– Bogu dzięki. – Louisa odchyliła się i usiadła na bruku.

Wokoło zapalały się światła – w sklepach, na latarniach, w mieście u stóp wzgórza, a także w kościele. Lampy zainstalowane wysoko na murach eksplodowały jasnością.

Widok był przepiękny.

– Uwaga! – rozległ się okrzyk za nimi.

Taylor i Sacha instynktownie odskoczyli na bok. Louisa była tuż za nimi. Coś gruchnęło o ziemię tam, gdzie przed chwilą stali.

Był to jeden ze stworów – miał nabrzmiałe, opuchnięte cielsko, puste oczy i trzymał się za zakrwawione plecy. Gdy Taylor patrzyła na niego, jęknął i zamrugał. Nadal żył.

Usłyszała łoskot zbliżających się ciężkich kroków. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała, że potwór bierze potężny zamach na Alastaira. Krew spływała po piersi i twarzy monstrum, które jednak nadal było niewiarygodnie silne.

Alastair uchylił się przed ciosem, odwrócił się i uniósł nóż rzeźniczy.

– Może w końcu zdechniesz, durne zombie? Przecież już raz ci się udało.

Deide bez ostrzeżenia wyskoczył z mroku i wpakował nóż w plecy potwora, który znieruchomiał, ryknął z bólu i odwrócił się ku niemu.

– Gdzie Mortimer?! – krzyknął Sacha do Louisy.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Musimy go znaleźć, ale najpierw trzeba ominąć te stwory. Wynoś się stąd razem z Taylor.

Taylor z uporem pokręciła głową.

– Nie zostawię cię.

– Zmiataj stąd i tyle.

– Louisa, mówię poważnie... – zaczęła Taylor, ale przerwał jej lodowaty głos z drugiej strony placu.

– Ta kłótnia przyprawia mnie o ból głowy.

Odwrócili się jednocześnie i ujrzeli obok siebie Mortimera.

Wyglądało to tak, jakby był tu od samego początku.

Pierwsza oprzytomniała Louisa.

– Jezu, Pierce. Ciarki mnie przechodzą na twój widok.

Mówiła spokojnym głosem, ale przyglądała mu się jak grzechotnikowi gotowemu do ataku.

– Louisa! – krzyknął Alastair z oddali. – Uważaj.

Taylor słyszała, że Deide walczy za nimi ze stworami, ale nie odważyła się odwrócić. Sacha uniósł pięści i zrobił krok do przodu. Już miał coś powiedzieć, ale nagle zgiął się w pół jak po ciosie w brzuch, kiedy Mortimer rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

– Sacha! – Taylor wyciągnęła do niego rękę.

Chłopak nie podniósł wzroku. Nawet nie poczuła, żeby Mortimer użył swojej mocy, była niewykrywalna.

Nagle strach zastąpiła furia. Taylor złapała Sachę za rękę.

– Co mu zrobiłeś, potworze?! – wrzasnęła.

Mortimer przechylił głowę.

– Interesuje mnie pani, panno Montclair – powiedział. – Najwyraźniej pragnie pani za wszelką cenę powstrzymać coś, czego nie da się powstrzymać. Aldrich uważał panią za inteligentną osobę, ale czy powtarzanie tego samego mimo świadomości, że jest się skazanym na porażkę, nie świadczy o braku inteligencji?

– To zależy od tego, czy faktycznie jestem skazana na porażkę – odparła lodowato Taylor.

Nadal trzymając Sachę za rękę, zaczerpnęła energię z łączącej ich więzi i z całej siły skierowała prąd z przewodów pod placem prosto na Mortimera.

Po takim ataku ktoś inny już by nie żył. Mortimerowi jednak wystarczyło pstryknięcie palców, żeby odtrącić nadciągający strumień mocy.

– To jest ta demoniczna moc, Mortimerze? – zakpiła Louisa i stanęła obok Taylor tak, żeby znaleźć się pomiędzy nią a Mortimerem. – Jak to jest sprzedać swoją duszę, obrzydliwy zbrojeńcu? Płakałeś, kiedy to się stało?

Mortimer zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się twój ton – wycedził.

Szybko uniósł rękę, ale Louisa okazała się jeszcze szybsza. Błyskawicznie odtrąciła mroczną energię, którą skierował na nią ze zdumiewającą szybkością i siłą.

Taylor czuła w powietrzu gryzącą woń ich mocy.

– Potrafisz tym miotać, ale wątpię, żebyś zdołał to przyjąć – drażniła się z nim Louisa.

Taylor widziała jednak, że nadrabiała miną. Mortimer był zbyt silny.

– Dość! – krzyknęła.

Mortimer natychmiast skupił uwagę na niej. W cieniu jego oczy wydawały się pozbawione powiek.

– Czy ma mi pani coś do zaoferowania, panno Montclair? Bo mogę w tej sekundzie powstrzymać to, co się dzieje.

– Masz na myśli oddanie ci Sachy? Wybij to sobie z głowy – warknęła. – Nie jest na sprzedaż. Gwarantuję ci, że nigdy go nie dostaniesz.

Mówiąc to, rozglądała się po placu w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zabicia Mortimera. Już poradził sobie z jej najsilniejszym jak dotąd atakiem i potrzebowała czegoś innego, kreatywnego.

Potrzebowała Sachy.

Wbiła wzrok w Mortimera, po czym posłała delikatne pasmo energii elektrycznej do Sachy, mając nadzieję, że Mortimer tego nie zauważy.

„Uwolnij”.

Mortimer wykrzywił wąskie usta w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Och, przekona się pani, że zwyciężę – wycedził. – Nie zaszedłem tak daleko, żeby ponieść klęskę, a pani sama mi go dostarczyła.

– Nie masz mnie i nigdy nie będziesz miał – odezwał się Sacha.

Taylor uśmiechnęła się szeroko. Plan się powiódł.

Mortimer zmierzył ich lodowatym spojrzeniem.

– Karmicie się złudzeniami. Cóż, pokażę wam, jak prezentuje się sytuacja, żebyśmy mogli iść dalej.

Zanim ktokolwiek uświadomił sobie, co się dzieje, machnął ręką w kierunku Louisy. Zaskoczona dziewczyna poleciała do tyłu z okrzykiem strachu. Jej stopy nie dotykały już ziemi, wzbiła się wysoko w powietrze.

Mortimer wykonał niemal niezauważalny gest, który Taylor dostrzegła kątem oka. Ciało Louisy przestało się poruszać. Zawisła, kołysząc się bezradnie na tle ciemnego nieba.

Mortimer zrobił krok w stronę Taylor.

– Teraz pani rozumie, panno Montclair? Przegrała pani tę walkę. Powoli zatoczył koło palcem, a wtedy ciało Louisy obróciło się w powietrzu, raz i drugi. Taylor usłyszała swój szloch.

Nagle, jak postrzelony ptak, Louisa bezwładnie osunęła się ku ziemi. Alastair krzyknął, a po chwili rozległ się upiorny łoskot, kiedy dziewczyna ciężko runęła na bruk.

Taylor odczuła to całym ciałem. Łzy zapiekły ją pod oczami, ale nie odważyła się oderwać wzroku od Mortimera, żeby sprawdzić, czy Louisa żyje.

– Ty sukinsynu – wyszeptała.

Popatrzył na nią zimno, ani razu nie mrugając.

– Biorę, co chcę, panno Montclair. Myślałem, że los dziadka czegoś panią nauczył.

Sacha chwycił Taylor za rękę i pociągnął do siebie.

– Nie dotykaj jej – powiedział, ale nawet ona słyszała strach w jego głosie.

Mortimer tylko się uśmiechnął.

Wtedy usłyszeli stukot kroków. Ktoś biegł w ich kierunku. Tym razem Taylor się odwróciła. Sądziła, że to Alastair szuka zemsty, ale ujrzała Deidego z pistoletem w dłoni.

– Mortimerze! – krzyknął.

Potem powiedział coś szybko po francusku. Zrozumiała tylko tyle, że wspomniał o piekle i śmierci.

Miała wrażenie, że to, co nastąpiło, rozegrało się w zwolnionym tempie.

Deide nacisnął spust. Taylor usłyszała huk i zobaczyła błysk u wylotu lufy. Później była pewna, że widziała też powoli lecącą kulę. Mortimer z zainteresowaniem przyjrzał się pociskowi, a następnie podniósł rękę i chwycił go w palce. Przez jedną chwilę wpatrywał się w niego uważnie, a następnie odrzucił go w kierunku Deidego.

Kula przeszła czoło nauczyciela, tuż nad okularami. Osunął się na ziemię i znieruchomiał.

– Non! – Sacha skoczył ku niemu, ale Taylor wiedziała, że to już nic nie da.

Deide nie żył, Louisa być może również nie. Czuła, że wszyscy zginą, jeśli nie wyprowadzi stąd Sachy, i to jak najszybciej. Tłumiąc

szloch, wyrzuciła przed siebie rękę i ściągnęła energię z całej okolicznej elektryczności.

„Chron”.

Dała z siebie wszystko. Niemal słyszała głos Louisy w głowie. „Przyłóż się, Taylor. Przestań się obijać”.

Latarnia obok Mortimera eksplodowała błyskiem światła i snopem iskier. Wszystkie światła znów zgasły. Pod osłoną ciemności Taylor chwyciła Sachę za rękę i odciągnęła go od zwłok Deidego. – Nie mogę go zostawić – zaprotestował, próbując się wyrwać. – On nie żyje, Sacha. – Trzymała go z siłą, o którą nawet się nie podejrzewała. Łzy spływały po jej policzkach. – Musimy stąd uciekać.

Biegli wąską boczną uliczką, mijając domek, w którym po południu widzieli niepokojące przedstawienie kukiełkowe, oraz sklepy, i w końcu dotarli do głównej bramy. Przez cały czas Sacha skupiał się na odgłosie kroków za nimi, ale słyszał tylko ciężki oddech Taylor i własny, a także stukot swoich butów na kocich łbach. Ciągle miał przed oczami twarz Deidego, jego pełną niedowierzania minę, gdy trafiła go kula. Nie mógł wymazać tego widoku z pamięci.

Motocykl czekał na swoim miejscu. Sacha jak automat skoczył na maszynę i jednym ruchem podniósł z ziemi oba kaski. Zerknął na Taylor, która trzęsa się jak osika.

– Louisa i Alastair uciekli?

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego zbolalym wzrokiem.

Nie zadawał więcej pytań, tylko odpalił silnik, a wtedy motor z rykiem ruszył w dół wzgórza. Sacha sam nie wiedział, jak się zmusił do skupienia uwagi na drodze przed sobą, a nie na koszarze, który za sobą pozostawili.

Bez zatrzymywania się jechali przez miasto, aż dotarli do umówionego miejsca spotkania przy szerokim, leniwym strumieniu na rogatkach.

Choć latarnie uliczne działały, w cieniu panował półmrok. Nie schodzili z motocykla, w każdej chwili gotowi do ucieczki. Czekaając, Sacha zapatrzył się na swoje ręce. Starał się nie myśleć o twarzy Deidego.

Był załamany. Całkowicie zawiedli. Nie udało im się zabić Mortimera. Nie udało im się znaleźć pomieszczenia, w którym należało odprawić rytuał niezbędny do zdjęcia klątwy.

Jak dotąd doprowadzili tylko do śmierci dobrego człowieka, a może kogoś jeszcze.

Sacha czuł, że Taylor drży.

– Pan Deide – wyszeptała. – Louisa.

Zamrugnął, żeby się nie rozplakać.

– Wiem – wymamrotał.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło do chwili, w której usłyszeli silnik furgonetki – pewnie zaledwie kilka minut, może nawet mniej. Czas jednak zdawał się ciągnąć w nieskończoność, nim auto zjechało z drogi i stanęło.

Sacha i Taylor zeskoczyli z motocykla i pobiegli do furgonetki. Alastair nie wysiadł. Wystawił głowę przez okno, a światło latarni rozjaśniło jego blond włosy, przez co wydawały się białe.

– Żyje. – W jego głosie pojawiło się napięcie. – Ledwie.

– Chcę ją zobaczyć. – Taylor energicznie otworzyła tylne drzwi. Nieprzytomna Louisa leżała na siedzeniu. Alastair owinał jej głowę koszulką, próbując zatamować krwawienie, i usztywnił szyję, żeby nie mogła się ruszyć. Sacha pomyślał, że jeszcze nigdy tak marnie nie wyglądała.

– Louisa – wykrztusiła Taylor, zasłaniając usta rękami. – O nie. – Zabieram ją do szpitala. Nie wiem, czy się z tego wylize, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc.

Alastair odgarnął włosy z twarzy, a wtedy Sacha ujrzał siniec nad jego lewym okiem i zaschniętą krew.

– Co z Mortimerem? – zapytał.

– Nie wiem. – Alastair pokręcił głową. – Gdy tylko eksplodowała latarnia, złapałem Lou i uciekłem. – Odetchnął głęboko. – Co zrobimy?

Przez moment nikt nie odpowiadał. Potem Taylor zamknęła drzwi, stanęła obok Sachy i chwyciła go za rękę. Sprawiała wrażenie dziwnie spokojnej, jakby przed chwilą w furgonetce podjęła ważną decyzję. Sacha domyślał się jaką, bo sam doszedł do identycznego wniosku. – Zawieź Louise do szpitala i upewnij się, że wszystko z nią w porządku – powiedziała do Alastaira. – My poradzimy sobie z Mortimerem. Zrobiliście już wystarczająco dużo.

Sacha uścisnął jej dłoń.

– Nic nam nie będzie – skłamał.

Alastair popatrzył na nich ze smutkiem, ale nie protestował.

– Okropnie wyszło – stwierdził. – Nie powinniście robić tego sami. – I tak zawsze chodziło tylko o nas – zauważyła Taylor. – Prawda? – Chce nas – przytaknął Sacha. – Nikt więcej nie powinien dla mnie umierać.

Alastair zacisnął usta.

– Zróbcie mi przysługę. – Wrzucił bieg. – Zabijcie sukinsyna, dobra? Zróbcie to dla Louisy.

Opony furgonetki zapiszczały, kiedy ponownie wyjeżdżała na ulicę.

Gdy w oddali ucichł warkot silnika i zostali sami, Taylor oparła się o Sachę.

– Co zrobimy? – zapytała.

Żałował, że nie zna odpowiedzi. Wiedział tylko, że nie mogą tu zostać. Popatrzył na motocykl.

– Chyba wrócimy do château – odparł.

Wzdrygnęła się na tę sugestię i wcale się jej nie dziwił. Perspektywa powrotu bez pozostałych była okropna, ale co mieli zrobić? Potrzebowali bezpiecznego miejsca, żeby się przegrupować.

Gdy usiedli na motorze, Taylor przytuliła się do Sachy, a on opuścił osłonę kasku.

Miał ochotę walnąć w coś pięścią i wrzasnąć, ale przecież nie był już dzieckiem. Wyjechał na wąską drogę i ruszył przed siebie, szybko oddalając się od Carcassonne.

Dopiero po powrocie do château przekonali się, jak kiepsko wygląda sytuacja.

Gdy Sacha skręcił z drogi w kierunku wiatraka, Taylor to poczuła. Później wyjaśniła, że to było jak smoła albo coś gorszego, lepkie i brudne, i wyssało powietrze z jej płuc.

Pochyliła się, wbijając palce w boki Sachy.

– Zawróć, Sacha – zażądała. – Zawróć.

Znał ją na tyle dobrze, żeby nie zadawać niepotrzebnych pytań. Zatoczył ciasne koło, żeby zawrócić motocykl, i popędził z powrotem do głównej drogi. Spod kół maszyny wystrzelił grad żwiru.

Dopiero kiedy znaleźli się odpowiednio daleko, Sacha zatrzymał motor i odwrócił się, żeby sprawdzić, co wyczuła Taylor. Zniszczone, porośnięte bluszczem mury château majaczyły daleko w ciemności niczym okręt wyłaniający się z gęstej mgły. Cały budynek był oblepiony dziwnymi stworami, które wdrapywały się po murach. W mroku Sacha niezbyt dobrze je widział, ale zauważył, że poruszały się jak pająki.

Przyglądał się im z przerażeniem, gdy nagle na parterze buchnęły płomienie, które, potężne i wygłodniałe, natychmiast wspięły się wyżej. Wkrótce cały budynek stał w ogniu.

Taylor zalała się łzami i przycisnęła głowę do pleców Sachy, jakby nie była w stanie na to patrzeć. Gdy odjeżdżali, widział ogień w lusterkach wstecznych motoru.

Jeździli bez celu po pogrążonych w ciemnościach wiejskich drogach. Sacha starał się wymyślić, co teraz zrobić, ale kręciło mu się w głowie. Najpierw Deide, potem Louisa, a na końcu dom.

Mortimer odbierał im wszystko.

Po niespełna godzinie Sacha zjechał z drogi i zgasił silnik, po czym ściągnął kask, żeby odetchnąć. Odwrócił się do Taylor.

– Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym przeczekamy do jutrzejszej nocy – powiedział. – Nic nie wiesz o innych kryjówkach?

Pokręciła głową i otarła łzy z policzków.

– Tylko Deide i Louisa wiedzieli, gdzie są – odparła. – Może powinniśmy zadzwonić do kolegium? Tym razem to Sacha pokręcił głową.

– Nie chcę mieszać w to innych, to zbyt niebezpieczne. – Myślał gorączkowo. – Mam trochę pieniędzy, ale hotel to chyba nie najlepszy pomysł. No i musimy ukryć motor.

Siedzieli przez chwilę, zastanawiając się, co dalej. Chłodzący się silnik motocykla cicho tykał. W oddali głośno śpiewał jakiś nocny ptak. – Potrzebny nam pusty dom – oświadczył Sacha bez przekonania. – Opuszczony budynek czy coś w tym rodzaju. Miejsce, w którym będziemy mogli się zaszyć.

Taylor zamrugęła.

– Na obrzeżach Carcassonne widziałam stację obsługi pojazdów – oznajmiła. – Z napisem „Na sprzedaż”. Chyba była zabita deskami. Sacha przypomniał sobie obskurny biały budynek z usuniętymi dystrybutorami paliwa i przekrzywionym szyldem.

– Wiem, o którą ci chodzi. I chyba pamiętam, gdzie się znajduje. Jedźmy to sprawdzić.

Odnalezienie stacji przysporzyło Sachy więcej problemów, niż się spodziewał. W końcu jednak ją dostrzegli. Budynek okazał się

starannie zabezpieczony, a okna rzeczywiście były zabite deskami. Drzwi zamknięto na trzy zamki, ale Taylor uporała się z nimi w okamgnieniu.

Pomieszczenie w środku było niemal puste, na podłodze leżał tylko stos ulotek reklamowych. Część już pożółkła ze starości, co wskazywało na to, że nikt od dawna nie odwiedzał tego miejsca.

Sacha zaprowadził motocykl do warsztatu, a Taylor rozejrzała się w poszukiwaniu jedzenia i wody. Niczego nie znalazła. Brakowało też mebli i prądu.

Wyczerpani, usiedli w mroku na brudnym betonie. Taylor objęła kolana rękami, trzęsąc się jak liść.

– Hej. – Sacha przygarnął ją do siebie. – Wszystko będzie dobrze.

– Wątpię – odparła.

– No cóż. – Usilnie starał się wymyślić coś optymistycznego. – Przez następne pięć minut na pewno będzie dobrze.

Uśmiechnęła się z trudem.

– Przynajmniej czeka nas miłe pięć minut – zauważyła.

Przez chwilę oboje milczeli, po czym Taylor wypowiedziała nazwisko, które nie dawało Sachy spokoju.

– Pan Deide. – Otarła łzy. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem.

Znów przypomniał sobie pocisk wystrzeliwujący z palców Mortimera i przeszył go dreszcz.

– Tak bardzo boję się o Louise – dodała Taylor. – Chcę zadzwonić do Alastaira, ale nie mam odwagi. A jeśli Mortimer nas wytropi?

Wygląda na to, że zna każdy nasz krok.

– Nie dzwoń – powiedział łagodnie. – Musimy mieć nadzieję.

Znowu otarła łzy grzbietem dłoni.

– Chyba już nie wiem, jak to jest mieć nadzieję – wyznała.

Sacha bez słowa przycisnął usta do jej głowy, lepkiej od zasychającej krwi.

– Twoja głowa. – Wściekły na siebie, że zapomniał, popatrzył na nią, próbując dostrzec w ciemności, w jakim jest stanie. – Musimy coś z tym zrobić. Jest tu jakaś apteczka?

Wiedział, że to bardzo głupie pytanie i że nie znajdzie tu niczego poza śmieciami oraz pocztą. Myśl o tym, że Taylor będzie zmuszona

spędzić noc na podłodze, z zakrwawioną głową, nagle wydała mu się nie do zniesienia.

– Bordel! – krzyknął i uderzył pięścią w beton. – Nie możemy tak żyć.

– Hej. – Taylor złapała go za rękę i uniosła ją do ust. – Przestań.

Jej oddech był ciepły i delikatny jak aksamit.

– Nic mi nie jest – dodała. – Słowo.

– Wcale nie.

Sacha przycisnął pięści do oczu, usiłując się skupić.

– Jakiś kilometr stąd widziałem sklep całodobowy – powiedział. – Pamiętam, że w oknie wystawowym paliło się światło. Niewiele tam będą mieli, ale lepsze to niż nic.

– Sacha, nie. – Pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne.

On jednak zdążył już wstać.

– Potrzebujemy wody i jedzenia, a także bandaży. Na pewno będą to mieli.

– Sacha...

Uniósł rękę.

– Mam rację, Taylor, i dobrze o tym wiesz. Oddychanie nie wystarczy do przeżycia. Potrzeba nam siły, a bez jedzenia i wody nie będziemy jej mieli.

Taylor przygryzła wargę.

– W porządku – westchnęła. – Ale proszę, bądź ostrożny. Usiłował uśmiechnąć się do niej zawadiacko, jednak jego usta nie chciały współpracować. To nie był dobry dzień.

– Zamknij drzwi – polecił jej, a widząc cierpienie na jej twarzy, dodał: – Będę ostrożny.

Nie było go tylko przez dwadzieścia minut, ale dla Taylor te minuty ciągnęły się niczym godziny.

Krążyła od jednej ściany do drugiej, modląc się w duchu, żeby już wrócił. Serce ciążyło jej w piersi niczym kamień. Gdyby Mortimer dopadł teraz Sachę, nigdy by sobie nie wybaczyła.

Gdy wyczuła obecność swojego przyjaciela tuż przed drzwiami, podbiegła do nich, już z daleka nakazując zamkom się otworzyć. Wypadła przez drzwi, zanim zdążył wejść, i rzuciła się na niego, omal go nie przewracając.

– Bogu dzięki, że żyjesz – westchnęła.

Objął ją, a plastikowa siatka z zakupami w jego ręce uderzyła Taylor w plecy.

– Oboje żyjemy – powiedział.

Po chwili Taylor usiadła na podłodze i czekała cierpliwie, aż Sacha oczyści jej ranę wodą Evian w butelce.

– Nie wygląda najgorzej. – Popatrzył na jej głowę w świetle kieszonkowej latarki, kiedy nakładał środek odkażający.

Szczypało, ale Taylor nawet tego nie zauważyła. Liczyło się tylko to, że byli tutaj razem.

Gdy skończył, wyciągnął z torebki chleb i ser w plastrach, po czym szybko zrobił kanapki. Jedli bez żadnej przyjemności, tylko po to, żeby zyskać energię potrzebną do walki. Potem oboje zwinęli się na podłodze, opierając głowy o torbę, którą Sacha ściągnął z motoru. Taylor była tak zmęczona, że ciążyły jej ręce, jednak jej umysł nie chciał się uspokoić i choć pragnęła zapaść w nieświadomość, wciąż miała przed oczami wspomnienia sprzed kilku godzin.

Może gdyby udało się jej zasnąć, nie musiałaby już oglądać ciała Louisy, które spada na ziemię, ani pustych oczu Deidego, kiedy przeszła go kula.

– Mam nadzieję, że z Louisą wszystko w porządku – wymamrotała, gdy zmęczenie w końcu wzięło górę i poczuła, że jej powieki opadają.

– Ja też – wyszeptał Sacha.

To było ostatnie, co usłyszała, zanim zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, światło słoneczne wpadało przez szczeliny w sklejce na oknach. Sacha leżał na plecach, trzymając Taylor luźno w pasie, a ona opierała się o jego pierś. Ciało miała obolałe, ale z głową było nieco lepiej niż poprzedniego dnia. Czuła też nieprawdopodobne pragnienie. Ostrożnie, żeby nie obudzić Sachy, wyplątała się z jego ramion i wstała.

Na zewnątrz panował idealny spokój, zakłócany co jakiś czas jedynie przez przejeżdżający samochód. Idąc na palcach po butelkę z wodą, Taylor zastanawiała się, która jest godzina. Gdy się napiła, sięgnęła do kieszeni po niemal całkiem rozładowany telefon.

Okazało się, że już dawno temu minęło południe. Jej puls przyspieszył. A więc zostało im niespełna dwanaście godzin. Potem będzie po wszystkim.

Zastanawiała się, czy powinna obudzić Sachę, ale wydawał się tak spokojny, że nie miała serca wyrywać go ze snu. Przetoczył się na bok i oparł głowę na ramieniu.

Taylor przeciągnęła się, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie, po czym usiadła pod ścianą i sprawdziła SMS-y.

Jeden był od Georgie:

Tak się cieszę z Hiszpanii!!! Twoja mama kazała ci się skontaktować w sprawie lotu i takich tam. xxxxx

Drugi, tak długo oczekiwany, wysłał niedawno Alastair:

Nadal żyje.

A więc Louisa przetrwała noc.

Tłumiąc szloch, Taylor z ulgą przycisnęła telefon do piersi.

„Walcz, liverpoolanko”, pomyślała. To był pierwszy, maleńki promyk nadziei od bardzo długiego czasu. Zamierzała się go trzymać.

– Co tam?

Podniosła wzrok i zauważyła, że oparty na łokciu Sacha obserwuje ją uważnie.

– Louisa. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Żyje.

– Bogu dzięki. – Wyciągnął ręce. – Chodź tu.

Taylor ścisnął się żołądek. Był taki piękny, nawet na zakurzonej podłodze, szczupły i przystojny.

Uklękła obok niego, nagle zawstydzona, a on przyciągnął ją i po chwili znowu opierała się o jego pierś.

– Za każdym razem, kiedy budziłem się w nocy, tak właśnie leżałaś.
– Jego oddech poruszył jej włosami. – Podobało mi się to.

– Mnie też – szepnęła.

Łatwiej było to mówić, nie patrząc na niego, więc przywarła twarzą do jego ciała i poczuła, jak zatrzęsł się od śmiechu.

– Dlaczego chowasz się przede mną?

Pociągnął ją do siebie i położył na sobie w taki sposób, że jej twarz znalazła się nad jego twarzą. Taylor już nie miała gdzie się schować. Gdy tak na nią patrzył, omiatając ją spojrzeniem, trudno jej było ubrać myśli w słowa.

– Wcale się nie chowam – powiedziała nieprzekonująco. – To dobrze – odparł cicho. – Bo lubię na ciebie patrzeć.

Przesunął rękę tak, że teraz spoczywała z tyłu jej głowy. Delikatnie ją przyciągnął i po chwili ich usta się spotkały. Pocałunek był czuły i łagodny, ale nie tego potrzebowała teraz Taylor. Przywarła do Sachy, całując go mocno i namiętnie. Rozsunęła jego wargi czubkiem języka. Sacha odetchnął, po czym objął ją opiekuńczo i przetoczył się na nią, oparty na przedramionach. Taylor popatrzyła mu w oczy.

– Cieszę się, że tu jesteś – wyszeptała. – Razem ze mną.

Zachmurzył się odrobinę i pogłaskał ją kciukiem po dolnej wardze.

– Nie chciałbym tu być z nikim innym.

Wyciągnęła rękę i przejechała palcami po jego jedwabistych, brązowych włosach. Pogłaskała ostre linie kości policzkowych oraz proste, miękkie brwi i wyraźny zarys nosa, jakby próbując zapamiętać każdy centymetr jego twarzy.

– Jesteś taki piękny – wyznała.

Sacha uśmiechnął się do niej.

– Nie żartuj sobie.

– Naprawdę jesteś – upierała się. – A najfajniejsze, że nawet o tym nie wiesz.

– Dziwne, bo myślę dokładnie to samo o tobie – powiedział.

Pocałował ją szybko, żarliwie i przywarł do niej, obejmując ją mocno. Niczego nie ukrywał. Pocałunek był wyłodniały i spragniony. Taylor pogłaskała ciało Sachy, po czym wsunęła dłonie pod jego

koszulkę, delektując się ciepłem jego skóry. Wdychała jego oddech, wypełniała nim płuca.

Być może musieli stawić czoło końcu wszystkiego, ale nie byli sami. Mieli siebie i na chwilę mogli zapomnieć o koszmarach, które ich czekały. Mogli sobie wyobrazić życie, o jakim marzyli.

Jakiś czas później siedzieli przytuleni pod tylną ścianą pomieszczenia i pogryzali zeschnięty rogalik z czekoladą.

Taylor zarzuciła prawą nogę na lewą Sachy, a on zaborczym gestem położył dłoń na jej kolanie. Było jej ciepło i czuła się bezpieczna po raz pierwszy od wielu dni. Wiedziała, że to tylko iluzja, ale chwilowo w ogóle jej to nie obchodziło.

W kryjówce czas zdawał się wolniej płynąć, więc rozmawiali na wszystkie tematy – nawet na takie, których nigdy dotąd z nikim nie poruszyli. Opowiadali o rodzinie i o domu.

– Wczoraj zadzwoniłem do mamy i siostry, żeby się pożegnać – powiedział Sacha. – Na wypadek, gdybyśmy się już nie widzieli.

– A ja nie mogłam zadzwonić do mojej – wyznała Taylor. – Pomyślałam, że jeśli usłyszę jej głos, ucieknę do domu. Nie wiedziałam, czy zdołam się powstrzymać. – Przetarła ręką oczy. – Lepiej, żebym przeżyła, bo jeśli zginę, nigdy mi nie wybaczy. Myśli, że w piątek lecę do Hiszpanii.

– Może pojedziesz.

Pochylił się i pocałował ją w głowę, a Taylor mocniej przycisnęła jego rękę do siebie.

– Jak się czujesz? – zapytała cicho. – Teraz, kiedy nadeszła już pora?

Sacha odetchnął głośno.

– Nie wiedziałem, że tak będzie – powiedział po dłuższej chwili. – Że będę tak się bał. Sądziłem, że przywitam osiemnaste urodziny jak wojownik, że rzucę śmierci wyzwanie. A teraz obawiam się, że będę się płaszczył i błagał o litość. – Nie patrzył jej w oczy. – Boję się.

Taylor przyciągnęła go do siebie.

– Nie będziesz się płaszczył – zapewniła go żarliwie. – Z natury nie jesteś do tego zdolny.

Jego błękitne oczy zrobiły się w tym momencie bardzo stare, starsze niż oczy nastolatka. Ścisnęło się jej serce.

– Skąd wiesz? Może nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz? – Znam cię, Sacho Wintersie – odparła. – Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką poznałam. Dasz sobie radę.

– Oboje sobie damy – poprawił ją. – Razem.

Gdy ją całował, jej usta smakowały czekoladą.

Później, gdy słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi i nieubłaganie zbliżał się czas rozstrzygnięcia, opracowali plan.

– Nie możemy się zjawić zbyt wcześnie – podkreślił Sacha. – Myślę, że powinniśmy przybyć na miejsce punktualnie o czasie i iść prosto do kościoła. Nie próbujmy zabić Mortimera. Po prostu odprawmy ten rytuał.

– Ale musimy jeszcze znaleźć kaplicę – przypomniała mu Taylor. – Jeśli się nie uda, zdaniem Zeitingera nic nie wyjdzie z ceremonii. Należy ją przeprowadzić we właściwym miejscu.

– Znajdziemy ją – zapewnił Sacha. – Przynajmniej wiemy, gdzie jej nie ma. Sprawdziliśmy już większą część nawy głównej. – Zastanawiał się przez chwilę. – Poczekaj. Zanim wczoraj wyszliśmy z kościoła, byliśmy we wszystkich kaplicach po tamtej stronie poza ostatnią na samym końcu. Pamiętasz?

Taylor tak martwiła się wtedy o Sachę, że nie pamiętała całej reszty. Teraz jednak przypomniała sobie metalowy świecznik z kilkudziesięcioma płonącymi świecami wotywnymi. W głębi pomieszczenia, za aksamitną kotarą znajdowały się niewielkie zamknięte drzwi.

– Chodzi ci o tę, przed którą stały świece?

Sacha skinął głową.

– To jedyne pomieszczenie po tamtej stronie, którego nie przeszukaliśmy.

Zapatrzyła się na niego.

– To musi być to.

Poculi przyływ optymizmu. Ostatnia kapliczka z boku zapewne była miejscem, którego szukali. Gdyby poszli prosto do niej, mogliby zdążyć, zanim Mortimer ich znajdzie.

Musieli się skupić, ale przynajmniej wiedzieli, gdzie szukać.

Taylor chciała mu wyjaśnić jeszcze jedną kwestię.

– Porozmawiajmy o tym, co się zdarzy w kościele. – Wyciągnęła z kieszeni złożony papier, który nosiła przy sobie od wyjazdu z Oksfordu. – Musisz to przeczytać.

Sacha popatrzył na nią ze zdziwieniem, po czym wziął od niej kartkę zapisaną przez Zeitingera i wygładził ją na zakurzonej podłodze.

Kiedy skończył czytać, na jego twarzy malowała się powaga.

– Jest tego pewien? – zapytał.

– Całkowicie.

Sięgnęła po torbę, której używali jako poduszki, i w niej poszperała. Po chwili natrafiła na długie, wąskie pudełko, które profesor wręczył jej, gdy opuszczała kolegium.

Uchyliła wieczko i położyła pudełko na brudnym betonie.

– Musimy tego użyć – oznajmiła.

Srebrny sztylet połyskiwał na tle granatowego aksamitu. Na rączce widniały wyryte alchemiczne symbole. Podstawę stanowiły splecione słońce i księżyc, a uchwyt został ozdobiony wyżłobioną dłonią z symbolami na czubku każdego palca.

– Masz nas tym pociąć? – Sacha wyciągnął rękę, żeby dotknąć ostrza, lecz szybko zmienił zdanie i opuścił dłoń.

– Powiedział, że tak będzie najlepiej.

Zapadła cisza.

– No cóż, to chyba jesteśmy gotowi – odezwał się po namyśle. Na zewnątrz słońce wisiało nisko na niebie. Pozostało już mało czasu.

Zapadała noc.

Kiedy nadeszła pora, zostawili motor Sachy w warsztacie, z kluczykami w stacyjce. Torby i kaski – wszystko co mieli – położyli na podłodze. Wzięli ze sobą tylko sztylet oraz wskazówki Zeitingera.

Zamykając drzwi, Taylor zamrugła, żeby odpędzić napływające do oczu łzy.

Wszystko wydawało się ostateczne, jakby zaraz miał nastąpić koniec.

Ramię w ramię wędrowali przez ciemne, kręte uliczki Carcassonne. Gdy minęli kościół, zegar wskazywał wpół do dwunastej. Zostało pół godziny do osiemnastych urodzin Sachy. Pół godziny do zatrzymania procesu, który rozpoczął się trzysta lat wcześniej, w czasach nienawiści i strachu. Pół godziny życia.

„Za mało czasu”.

Serce Taylor biło jak oszalałe. Była zbyt przerażona, żeby cokolwiek powiedzieć.

Sacha uściskał jej dłoń.

Nawet nie wyobrażała sobie, jak bardzo musiał się teraz bać. Ona ledwie mogła oddychać z przerażenia. Jemu na pewno było jeszcze gorzej, a mimo to patrzył prosto przed siebie i szedł miarowym krokiem. Taylor uniosła głowę. Skoro on sobie radził, ona też mogła. Była dziwnie czujna i superświadoma każdego dźwięku: wody kapiącej z rynny, trzepotania skrzydeł nocnego ptaka nad głową, stukotu ich niezgranych z sobą kroków.

Głowa już jej nie bolała. Zimny, nieokreślony strach przyćmił wszystkie inne odczucia.

Po kilku minutach wyrosła przed nimi cytadela. Oświetlone baszty zapierały dech w piersi, kojarzyły się ze sceną, idealnie przygotowaną na ich ostatni występ.

Wybrali dróżkę z tyłu, w górę trawiastych zboczy, z dala od głównego wejścia dla turystów. Taylor skupiła się na swoich stopach, na oddechu i na uścisku dłoni Sachy. Starła się nie myśleć

o sztylcie za paskiem džinsów, przyciśniętym do jej krzyża, ani o tym, co czekało na nich na szczycie wzgórza.

Bardzo się starała o niczym nie myśleć, kiedy Sacha się odezwał.

– Wyczuwasz coś? – spytał.

Pokręciła głową. Im bliżej zamku się znajdowali, tym bardziej przytłumione były jej alchemiczne zmysły. Jeśli Mortimer gdzieś się tu krył, nie wyczuwała go.

Ścieżka zaprowadziła ich prosto do jednej z bocznych furtek, ale nie do tej, którą pokonali poprzedniej nocy. Ta była nowoczesna i nie skrzypiała. Otworzyła się bezdźwięcznie pod wpływem dotyku dłoni Taylor.

Wśliznęli się do środka niczym cienie.

Na starówce paliły się latarnie – brakowało Louisy, która mogłaby je zgasić. Bez trudu znaleźli drogę na plac przed kościołem.

Taylor zerknęła na Sachę i zobaczyła, że wszystkie mięśnie ciała ma napięte do granic możliwości. Na jego zaciśniętej szczęce drżał nerw. Oboje wiedzieli, że ich plan jest w najlepszym wypadku niepewny. Dysponowali wyłącznie domysłami Zeitingera i bredzeniem zmarłego w zamierzchłej przeszłości naukowca z Niemiec, którego nazwisko niebezpiecznie kojarzyło się z nazwiskiem Frankenstein.

Niewiele, biorąc pod uwagę, że na szali leżało ich życie.

„Mamy jeszcze siebie – przypomniała sobie. – Mamy siebie”.

Zbyt szybko dotarli do placu przed bazyliką.

Taylor starała się nie spoglądać na miejsce śmierci Deidego. Zastanawiała się, co zrobili z jego zwłokami, a potem postanowiła o tym nie myśleć.

Plac był pełen cieni, które niebezpiecznie rzucały się i tańczyły. Może jej się tylko wydawało, ale odniosła wrażenie, że maszkarony przy dachu wiją się, wygłodniałe i wściekłe. Przez chwilę sądziła nawet, że słyszy ich warkot oraz kłapanie kamiennych szczęk.

Sacha odetchnął gwałtownie.

Olbrzymie drzwi kościoła stały otworem. Mortimer zapraszał ich do środka.

Sacha odwrócił się do Taylor i mocniej chwycił ją za rękę.

– Gotowa? – spytał.

Odetchnęła głęboko.

– Tak, jeśli ty też.

– Dobra – mruknął ponuro. – Chodźmy zabić demona.

Minęli próg i weszli w mrok.

Zdołali przejść zaledwie pięć kroków, kiedy drzwi za nimi się zatrzasnęły. Odwrócili się i pobiegli do nich. Sacha zadrżał z przerażenia, słysząc charakterystyczne szczęknięcie zamków. Głośno załomotał pięścią w grube drewno.

– Hej – odezwała się łagodnie Taylor. – Przecież wiesz, że mogę otworzyć te drzwi, jeśli chcesz. Nie musisz w nie tłuc.

Zmusił się, aby przestać. Dzięki Bogu, że tu była. A więc jednak nie musiał umierać samotnie.

– Przepraszam – westchnął, chociaż nie to chciał powiedzieć.

„Dziękuję. Kocham cię. Nie pozwól mi umrzeć”.

Z jej miny wywnioskował, że zrozumiała. Odetchnęła szybko, zapewne chcąc coś dodać, ale hałas dobiegający z cienia nagle przerwał ciszę. Usłyszeli szuranie, jakby w ciemności poruszało się coś dużego i powolnego.

Po plecach Sachy przebiegł dreszcz strachu. Oboje odwrócili się w kierunku źródła dźwięku, ale wszędzie panował nieprzenikniony mrok. Mogło się tam kryć cokolwiek.

Taylor coś wyszeptała i w tym samym momencie zapaliły się wszystkie świece w kościele. Teraz Sacha widział środkowe przejście między długimi rzędami ciemnych ław. Olbrzymie, ciężkie świeczniki zwisały na łańcuchach z sufitu, każdy z dziesiątkami zapalonych świec. Paliły się one również w kinkietach na ścianach, a także na ołtarzu. W każdym kącie stały ozdobne kandelabry.

Obracali się powoli wokół własnej osi, wypatrując oznak zagrożenia, ale niczego nie zauważyli.

– Gdzie on jest? – wyszeptała Taylor i przybliżyła się do Sachy.

– Nie wiem – odparł. – Znajdźmy kaplicę.

Ostrożnie przeszli równym krokiem po zabytkowej podłodze, wygładzonej przez setki lat krokami wiernych i księży, zakonnic i wyznawców.

Jak to możliwe, że w tym miejscu znajdowało się piekło?

To było złe i odrażające. Sacha poczuł gniew, a gniew był dobry, gdyż dawał siłę. Gniew wypędził strach z jego serca i zastąpił

go ogniem.

Taylor pierwsza zauważyła to, czego szukali.

– Tu. – Wyciągnęła rękę.

Tak jak je zapamiętali, małe drzwi skrywały się za na wpół zaciągniętą zasłoną z aksamitu. Rzędy wotywnych świec połyskiwały na metalowym stojaku przed nimi. Sacha sięgnął do klamki, ale Taylor złapała go za rękę.

Popatrzyła na niego ostrzegawczo i pokręciła głową. Gdzieś za plecami ponownie usłyszeli szuranie, a potem wyraźny stukot kroków.

Sachy zaschło w ustach.

– Szybko – wyszeptał.

Taylor uniosła dłoń. Zamek ustąpił i drzwi się otworzyły. Wąskie schody za nimi prowadziły na dół, w ciemność.

Sacha zaklął pod nosem. Byli przekonani, że znajdą tam kaplicę, a tymczasem mieli przed sobą schody, pewnie do piwnicy, w której mogli utknąć.

Kroki coraz bardziej się zbliżały. Taylor z rozpaczą popatrzyła na Sachę.

– Idziemy – powiedział.

Nie mieli innego wyjścia.

Wbiegli do środka. Taylor zamknęła za sobą drzwi i płynnym ruchem zablokowała zamek.

Na szczycie schodów przywarli do siebie, oddychając ciężko. Panowały tu nieprzeniknione ciemności i Sacha nie widział zupełnie nic. Czuł, jak Taylor się porusza, słyszał jej mamrotanie. Syknęło i pochodnie zapaliły się na ścianie starej, krętej klatki schodowej. Stopnie były wąskie i wiekowe, a otaczały je ściany z wilgotnego, szarego kamienia. Sacha i Taylor nie widzieli, co jest na dole, ale tylko tam mogli iść.

Powoli schodzili po nierównych stopniach, nasłuchując odgłosów pościgu, niczego jednak nie słyszeli. Wciąż byli sami, gdy schody skończyły się na skraju dużej, niemal pustej krypty.

W pozbawionym okien pomieszczeniu panował przenikliwy chłód, bijący od gołych, kamiennych ścian oraz podłogi. W głębi dostrzegli stół, a przed nim dwa rzędy zakurzonych drewnianych ław. Wysokie

świeczniki zapewniały światło. W powietrzu unosiła się cmentarna woń kurzu i odizolowania.

Wyglądało na to, że od lat nikt tutaj nie przychodził.

– Co to takiego? – wyszeptała Taylor, rozglądając się dookoła.

– Nie wiem – odparł Sacha. – Czujesz coś? W sensie... wyczuwasz?

Zamknęła oczy i natychmiast je otworzyła.

– Coś tu jest – powiedziała z ożywieniem. – Pomóż mi. Być może właśnie tego pomieszczenia szukaliśmy. Czuję jego energię.

Ich kroki rozbrzmiewały pustym echem, gdy powoli szli przez kryptę, oglądając każdy kamień. Wpełzli pod każdą ławę, przesuwali dłońmi po ścianach, żeby nic nie przegapić, ale na próżno.

Sacha był bliski rozpacz, gdy Taylor wyszeptała:

– O Boże, Sacha, tutaj.

Pobiegł tam, gdzie klęczała przed ołtarzem, i opadł obok niej na kolana. Pochylona Taylor wodziła palcami po żłobieniach układających się w duży, ozdobny krzyż.

– Zeitinger powiedział, że rozpoznamy ten krzyż, jeśli znajdziemy...

Zawiesiła głos i wskazała miejsce nad krzyżem. Sacha wyteńczył wzrok, żeby zobaczyć, co pokazuje. Nawet w tak słabym świetle nie mogli mieć wątpliwości – w kamieniu wyryto uroborosa.

Serce Sachy mocniej zabiło. A więc tego miejsca szukali.

Naprawdę mieli to zrobić.

Taylor popatrzyła na zegarek.

– Już prawie pora. Zeitinger kazał nam zacząć równo o północy – powiedziała. – Przygotujmy się.

Sacha obejrzał się przez ramię. Nie podobała mu się ta cisza. – Gdzie, do cholery, jest Mortimer? – zapytał.

– Nie wiem. – Taylor popatrzyła na niego. – Pośpieszmy się.

Wyciągnęła zza pleców sztylet. Zdobione srebro groźnie zabłysło. Sacha nie mógł oderwać wzroku od broni.

– Potrzebujemy trzynastu świec. – Wskazała jeden ze świeczników. – Mogą być te.

Sięgnął po zapalone świece. Gdy je niósł, roztopiony wosk kapał mu na skórę. Taylor klęczała, trzymając w dłoni wskazówki Zeitingera. Wyciągnęła rękę w kierunku rzeźbionego kamienia.

– Ustaw dwanaście z nich tak, żeby tworzyły gwiazdę na tym gładzie. – Palcem narysowała w kurzu dużą gwiazdę. – Ostatnią postaw w samym środku.

Wykonał polecenie, przylepiając każdą świecę kilkoma kroplami gorącego wosku. Taylor wyjęła sztylet z ozdobnej pochwy i położyła go przed płonąca gwiazdą.

– Musimy się skaleczyć – oznajmiła spokojnie. – Tak rozpoczyna się ceremonia. Jesteś gotowy?

– Taylor? – rozległ się od strony schodów głos z angielskim akcentem.

Sacha zerwał się z posadzki, uniósł pięści i wbił wzrok w ciemności. Nie słyszał kroków, a głos nie należał do Mortimera. To była jakaś dziewczyna.

Taylor nadal klęczała na kamiennej podłodze, a z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wpatrywała się w cień, tam, skąd dobiegał głos. – Nie – wyszeptała. – Proszę, nie, nie, nie... Oboje usłyszeli szybkie, lekkie kroki.

Z mroku wyłoniła się dziewczyna, mniej więcej w ich wieku, w krótkiej ciemnej spódnicy i obcisłej białej bluzce. Miała ciemną skórę, piękne nogi i gęste czarne włosy związane w koński ogon, który podskakiwał przy każdym kroku.

– Georgie – szepnęła Taylor. – Nie możesz tu być. To niemożliwe...

Wyglądała tak, jakby miało jej pęknąć serce.

Sacha przenosił spojrzenie z jednej dziewczyny na drugą. Taylor wiele razy mówiła mu o Georgie, pokazała mu też zdjęcie przyjaciółki na telefonie. Ta dziewczyna wyglądała dokładnie tak samo. Z paniki Taylor wywnioskował, że dziewczyna także mówiła jak Georgie. Ale przecież to nie mogła być ona...

– Wszędzie cię szukałam. Dzwoniłam i dzwoniłam. – Georgie zrobiła krok w jej kierunku. Obejmowała się rękami i wyglądała na przestraszoną. – Jakiś człowiek powiedział, że mnie potrzebujesz, więc z nim przybyłam. Taylor, kto to był?

– Sacha. – Oszołomiona Taylor spojrzała na niego. – To na pewno ona? Czy iluzja?

– Moim zdaniem iluzja – powiedział niepewnie. – Ale głowy nie dam.

Georgie zatrzymała się nieopodal i patrzyła na nich z wyrzutem. Jej załzawione oczy lśniły w blasku świec.

– Taylor, dlaczego tak się zachowujesz? Boję się. Nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, dlaczego musiałyśmy się spotkać tutaj, w ciemności.

– Wyciągnęła rękę. – Pomóż mi, proszę. Boję się tego mężczyzny.

Sacha zauważył, że Taylor się wzdrygnęła, a jej ręce zadrżały. Z pewnością ogromnie pragnęła przytulić Georgie.

Nie wiedział, co robić. A jeśli to naprawdę była Georgie? Oboje zdawali sobie sprawę, że Mortimer nie cofnąłby się przed niczym. Taylor cała się trzęsła, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał bardzo pewnie.

– W dziewiątej klasie chowałyśmy liściki do siebie w sekretnym miejscu. Gdzie to było? – zapytała.

Po policzkach Georgie płynęły łzy. Znowu wyciągnęła rękę. – Nie rozumiem, dlaczego o to pytasz, Taylor – chlipnęła. – Nie wiem, gdzie jestem. Dlaczego mi nie pomożesz? Boję się.

Taylor chwyciła się ławy z ciemnego mahoniu tak gwałtownie, że pobielały jej kostki.

– Odpowiedz na pytanie, Georgie – szepnęła.

– Dlaczego mi nie wierzysz? – zapytała Georgie żałośnie. – Jak możesz mi to zrobić?

Początkowo Sacha myślał, że Taylor mówi bez sensu, ale uświadomił sobie, o co jej chodziło. To był test, a Georgie go nie zdała. Zauważył, że Taylor odrobinę się przygarbiła, ale nie wiedział, czy to ulga, czy rozczarowanie.

– Ukrywałyśmy je w otworze w murze przed twoim domem – powiedziała Taylor. – Każdego dnia przez cały rok zostawiałyśmy sobie liściki. Georgie by to wiedziała. Ale ty nie jesteś Georgie, prawda?

Mortimer wyszedł z cienia obok dziewczyny, która zaczęła szlochać. Wydawał się rozdrażniony, ale wyglądał tak samo jak zwykle.

Miał starannie zapiętą koszulę i idealnie zawiązany krawat.

– To za długo trwa – oznajmił.

Sacha w ostatniej chwili zobaczył ostrze w jego dłoni i instynktownie chwycił Taylor, kiedy rzuciła się w kierunku Mortimera.

– Nie! – krzyknęła.

Nóż Mortimera z jedwabistą gładkością przeciął delikatne gardło Georgie. Jej krew trysnęła na kamienie u ich stóp niczym strumień spadającej wody.

Dziewczyna złapała się za szyję, patrząc na Taylor ze zdumieniem. Próbowła coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko ohydny gulgot, jakby tonęła.

Sacha pomyślał, że nigdy nie zapomni tego dźwięku.

W tej samej chwili Taylor straszliwie wrzasnęła. Sacha miał wrażenie, że pęknie mu serce. Objął ją mocno.

– Puść mnie – błagała, próbując się wyrwać. – Muszę jej pomóc.

Sacha, puść mnie...

– To nie ona, Taylor. Dobrze jej się przyjrzyj – powiedział przez ściśnięte gardło, ale z naciskiem.

Z początku nie był pewien, czy go usłyszała, ale po chwili odwróciła się do Mortimera, nadal szlochając.

– To nie ona, to nie ona – powtarzała, rozluźniając mięśnie. – To czarna magia. To dzieło mroku.

Po drugiej stronie pomieszczenia Mortimer westchnął ciężko.

– Co za strata czasu – mruknął.

Starannie, bez pośpiechu oczyścił ostrze białą chusteczką.

Sacha zapatrzył się na ciało na posadzce. Teraz widział, że to nie młoda dziewczyna, tylko mężczyzna o siwych włosach, w czarnym garniturze. W ogóle nie przypominał Georgie i ta świadomość zmroziła Sachy krew w żyłach.

Jak Mortimer to zrobił?

Taylor już nie płakała.

– Myślisz, że to śmieszne?! – krzyknęła do niego. – Twoim zdaniem to żart?

– Nie, panno Montclair. – Przygwoździł ją lodowatym spojrzeniem.

– W ogóle mnie to nie bawi.

– Nie wierzę.

Tak szybko, że Sacha nie zdążył zareagować, Taylor rzuciła się na podłogę i złapała sztylet.

– Może to też żart. – Uniosła lewą rękę, tę przeoraną pazurami demona, i głęboko nacięła spód dłoni.

Mortimer spiorunował ją wzrokiem.

– To nie twoja liga, dziewczynko – wycodził. – Bawisz się w głupie gierki w świecie, którego nie rozumiesz.

– Sacha. – Taylor z powagą odwróciła się do niego. – Podaj rękę. Bez wahania wyciągnął prawą rękę, a Taylor chwyciła go za nadgarstek. Gdy opuszczała nóż, w jej wzroku nie było współczucia ani strachu, tylko gniew.

Ostrze paliło jego skórę niczym ogień. Wzdrygnął się wbrew sobie, ale Taylor go nie puściła. Cięcie było szybkie i stanowcze.

Niedbale upuściła nóż, który zabrzączał na kamieniach u ich stóp. Uniosła krwawiącą dłoń i mocno uściśnęła rękę Sachy.

– Traciecie czas. – Mortimer wydawał się znudzony. – Diabelskie sztuczki z krwią są niebezpieczne. Sacha będzie bardziej cierpieć przez panią niż przeze mnie.

Z ich splecionych dłoni kapiała krew, zostawiając ciemne krople na podłodze. Taylor nacięła ich oboje naprawdę głęboko, ale zdawała się nie odczuwać bólu. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła biały materiał.

Sacha nie pamiętał, żeby go wcześniej pakowała.

Ignorując Mortimera, owinęła materiałem obie zaciśnięte ręce. – Teraz łączą nas więzy krwi – mówiła szybko. – Dzięki temu twoja klątwa jest moim przeznaczeniem, moje moce twoją siłą. Razem jesteśmy sobą i nami. Razem jesteśmy po dwakroć potężniejsi niż wcześniej.

Sacha widział te słowa spisane na kartce od Zeitingera. Taylor recytowała je niczym zaklęcie.

Podwinęła koniec tkaniny i spojrzała na niego.

– Czy przyjmujesz moją moc?

Wyglądała inaczej. Jej łzy wyschły, a zielone oczy były czyste i pełne straszliwej zajadłości.

– Dość już tego – rozległ się głos Mortimera.

Po raz pierwszy wydawał się rozgniewany. W tej samej chwili zabiły dzwony na wieży, ogłaszając północ.

Sacha wciąż czuł pieczenie na dłoni, a jego serce waliło z całej siły. Wcześniej przez chwilę się nie bał, teraz jednak ogarnął go wielki strach.

– Tak.

Taylor musiała jednak usłyszeć niepewność w jego głosie, gdyż na moment znieruchomiła.

– Zaufaj mi, Sacha – wyszeptała.

Bicie dzwonów niemal całkiem zagłuszało jej głos.

– Ufam ci – wyznał.

Splotła jego palce ze swoimi.

– Cokolwiek się zdarzy, nie puszczaj mojej ręki – mówiła szybko. – Dopóki dzielimy krew, jesteśmy jednością i klątwa nie może się spełnić. Krew Montclair w żyłach Wintersa. Krew Wintersa w żyłach Montclair. Jedno nie może umrzeć bez drugiego. Rozumiesz? Kiwnął głową.

– Prawda, Mortimerze? – zapytała głośniejszym głosem. – Nie możesz wezwać demona, dopóki Sacha żyje. A klątwa nie może zabić Sachy, gdy jego krew krąży w moich żyłach.

– To tymczasowa ochrona – prychnął Mortimer.

Teraz wydawał się wyższy. Dopiero po chwili Sacha uświadomił sobie, że Mortimer wzbił się w powietrze. Jego stopy oderwały się od podłogi i zawisły tuż nad kamieniami. Uniósł ręce niczym kaznodzieja wygłaszający mowę.

– Widzi pani, panno Montclair? Moc demona rośnie we mnie nawet wtedy, gdy bawi się pani w te swoje głupie gierki. – Uśmiechnął się. – Mój towarzysz zaraz się zjawi, żeby przekonać panią do zmiany zdania. Czy wyczuwa go pani, panno Montclair? Jest ogromnie zainteresowany spotkaniem z bezpośrednią potomkinią wspaniałej Isabelle Montclair. Pragnie osobiście pani podziękować. Wasze spotkanie w jego świecie sprawiło mu przyjemność. Teraz chciałby dokończyć je tutaj.

Po grzbiecie Sachy przebiegł dreszcz.

Taylor nie odpowiedziała. Schyliła się i podniosła z posadzki kartkę od Zeitingera. Odetchnęła głęboko, ale zanim zdążyła odczytać słowa, Mortimer ostentacyjnie westchnął.

– Jakież to męczące.

Pstryknął palcami i kartka w jej dłoni zajęła się ogniem. Taylor krzyknęła cicho, upuściła ją i cofnęła się o krok. Kartka u jej stóp spaliła się na popiół.

Widząc przerażenie na twarzy dziewczyny, Sacha zacisnął uścisk.

– Nie jest ci potrzebna – przypomniał jej. – Znasz to na pamięć.

Taylor w milczeniu pokręciła głową.

O dziwo, Sacha zrozumiał. Nie chodziło tylko o słowa. Zapisana przez Zeitingera kartka była częścią Kolegium Świętego Wilfreda, wsparciem dla Taylor, które teraz obróciło się w proch.

Dzwony biły z taką siłą, że czuł ich wibracje przez stopy. Z trudem powstrzymywał szcęknięcie zębami i ciągle tracił równowagę.

Czy to się działo z powodu bicia dzwonów?

Taylor nadal trzymała go za rękę, drugą zaś chwyciła oparcie ławy.

– Sacha.

Nie musiała mówić nic więcej.

– W końcu – westchnął Mortimer i wzniósł się nieco wyżej. – Zbyt długo pani czekała na odprawienie tego rytualiku, panno Montclair. Chwila nadeszła.

W skazał fragment posadzki przed ołtarzem. Na oczach Sachy kamień pękł w środku i rozdarł się jak tkanina, a coraz szerszy otwór przeobraził się w otchłań. Sacha nie chciał do niej zaglądać. Wolał nie wiedzieć, co za chwilę stamtąd wypełźnie.

Taylor zamarła z przerażenia.

– Taylor... – odezwał się Sacha głośno, żeby przekrzyczeć kakofonię.
– Zrób to teraz.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Przez chwilę myślał, że Taylor będzie zbyt przestraszona, aby przypomnieć sobie słowa. Nagle jednak się wyprostowała, z trudem zachowując równowagę na ruchomej posadzce.

Uniosła ich połączone dłonie i odchyliła ramiona. Sacha natychmiast poczuł przepływ elektryczności, która zaiskrzyła między nimi. Oddech uwiązał mu w gardle.

Nagły niespodziewany wietrzyk sprawił, że loki Taylor utworzyły chmurę wokół jej twarzy. Zielone oczy dziewczyny błyszczały.

Gdy się odezwała, jej głos brzmiał mocno i zagłuszył bicie dzwonów, łoskot spadających i pękających kamieni, a także wycie, które dobiegało w głębi otchłani.

– Przyzywam demony, by w swoim wymiarze uhonorowały odwieczną umowę. Jam jest córą Isabelle Montclair. Oto syn Matthieu L'hivera. L'hiver i Montclair, związani krwią. Prosimy o wysłuchanie.

Odetchnęła głęboko i wyrecytowała słowa Zeitingera.

– Przyzywam Azazela i Lucyfera. Przyzywam Molocha i Belzebuba. Przyzywam wszystkie demony w piekle, wysłuchajcie mojego wołania. Uwolnijcie chłopca. Zdejmijcie klątwę. Uehonorujcie odwieczną umowę. Przyzywam was. Przyzywam was. Przyzywam was.

– Przyzywasz mnie? – zabrzmiał głos Mortimera, ale głębszy. Oboje podnieśli wzrok tam, gdzie wisiał w powietrzu nad ich głowami.

Wyciągnął ręce. Oczy miał czarne jak otchłań.

– Córo Isabelle Montclair, oto jestem.

Wyjąc, wiatr uderzył ich oboje niczym pięść. Świece w pomieszczeniu zgasły, wszystkie poza tymi, które tworzyły gwiazdę na posadzce. Te zapłonęły jeszcze mocniej.

Ziemia się zachwiała i Taylor z trudem udało się utrzymać równowagę.

Podczas poprzedniego spotkania w Kolegium Świętego Wilfreda w ciemności nie widziała demona, zastanawiała się więc, jaki przyjmie kształt i jak naprawdę wyglądał. Może jak jaszczurka, a może był podobny do rogatego kozła?

Powinna się była domyślić, że objawi się jako człowiek. Zeitinger powiedział jej kiedyś, że Mortimer to gospodarz dla demona, ale dopiero teraz to zrozumiała.

Na tym właśnie polegała przerażająca umowa Mortimera – miał zostać demonem.

Dostrzegła śmierć w jego czarnych jak węgle oczach. Biła z nich lodowata bezwzględność. Taylor czuła przytłaczającą, drapieżną moc, jej niszczącą esencję.

Dawno temu Deide powiedział jej, że demony są dla ludzi równie niszczycielskie jak wojna atomowa. W tej chwili zrozumiała, jak trafne było to porównanie.

Zmusiła się, żeby spojrzeć w nieludzkie oczy Mortimera i się go nie bać. Wyobraziła sobie, jak Louisa mówi do niej: „Zaufaj swojej mocy, uświadom sobie swoją siłę”.

Czuła się silna. Zmieszanie krwi z krwią Sachy ogromnie zwiększyło jej moc. Zrozumiała to od razu, gdy poczuła przyływ niemal narkotycznie upajającej energii. To w niczym nie przypominało zwykłego trzymania się za ręce. Nowa moc była niemal boska.

Ale czy miała wystarczyć?

– Spotykamy się ponownie, córo Isabelle – powiedział demon. Nadal się unosił, nieograniczony prawami grawitacji, ponad metr nad

posadzką. Jego przypochebny głos sprawiał, że po jej plecach przebiegły ciarki. – Dlaczego ośmielasz się mnie zawezwać?

– Wzywam cię, byś uwolnił chłopca! – zawołała Taylor słowami Zeitingera, przekrzykując wiatr. – Zgodnie z odwiecznym prawem.

Ciąży na tobie powinność...

– Powinność? – Demon wybuchnął śmiechem. – Nic na mnie nie ciąży.

Jego śmiech ociekał nienawiścią. Taylor poczuła, jak mrok przetacza się przez nią, pochłania ją. Zaciśnęła zęby, ale mówiła dalej: – Twoją powinnością jest uwolnienie tego chłopca od klątwy. Tak nakazują odwieczne reguły. Zmieszaliśmy naszą krew, unieważniając w ten sposób klątwę.

Mortimer uśmiechnął się upiornie, nienaturalnie.

– Naprawdę wierzysz, że masz dość mocy, by stanąć do walki ze mną, córo Isabelle? Twój niemiecki profesor wmawiał ci, że możesz zwyciężyć? – Przechylił głowę. – To głupiec. Zajmę się nim, kiedy z tobą skończę.

Taylor zadrżała.

„Demony kłamią”, przypomniał jej głos Louisy.

– Czy kwestionujesz prawo unieważnienia? – Starła się mówić zimno i bez lęku. – Czy nie dotyczą cię odwieczne prawa? Masz się za potężniejszego od innych?

– Dość. – Mortimer popatrzył jej w oczy. – Kiedy spotkaliśmy się w moim wymiarze, czyż nie ostrzegłem cię przed konsekwencjami wyboru tej drogi? Czyż cię nie naznaczyłem?

Opuścił spojrzenie na jej dłoń, na niemal zagojone ślady po pazurach. Rana natychmiast się otworzyła, a Taylor poczuła piekący ból w ręce. Po jej palcach spłynęła krew.

Udało się jej stłumić krzyk. Znów starała się nie okazywać strachu.

– I kto teraz bawi się w gierki? – usłyszała swój głos.

Nie mogła zrozumieć, skąd u niej tyle zuchwałości.

Demon zmrużył czarne oczy.

– Och, córo Isabelle, nie masz pojęcia o moich gierkach. Pozwól, że coś zademonstruję.

Uniósł dłoń, a wtedy palce Sachy wysliznęły się z uścisku Taylor. Chłopak z olbrzymią prędkością przeleciał przez pomieszczenie

i rąbnął w ścianę nad ołtarzem. Rozległ się upiorny chrzęst i bezwładne ciało osunęło się na posadzkę, gdzie znieruchomiło.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Taylor nie miała szansy zareagować. Nawet nie zdążyła mocniej go chwycić. W jednej chwili był przy niej, w następnej już nie.

– O nie...

Z niedowierzaniem patrzyła na swoją pustą dłoń. Zakrwawiona tkanina, którą byli związani, podarta i obszarpana, zwisała, trzepocząc na wietrze.

Taylor czuła, że jej ręka jest bardzo zimna. Popatrzyła na skręcone ciało Sachy. Odkąd upadł, leżał nieruchomo. Okropnie, strasznie nieruchomo.

– Sacha – wyszeptała.

Czuła pustkę w piersi. Starła się odetchnąć, ale jej płuca nie chciały współpracować.

Zapomniała o Mortimerze, nie interesowało jej, gdzie się znalazła. Skupiła się wyłącznie na chłopaku, który leżał z rozrzuconymi rękami, jakby zbyt późno usiłował obronić się przed ciosem.

– Ostrzegałem cię, córo Isabelle – rozległ się głos Mortimera. – Powiedziałem ci, że on jest mój, a jednak próbujesz odczynić odwieczną klątwę.

Taylor w głębi duszy wiedziała, że musi przebrnąć przez rytuał, a przynajmniej spróbować, jednak nie mogła się odezwać.

Zresztą po co? Księga Zeitingera się myliła. Te słowa nie miały najmniejszego wpływu na demona.

– Sacha – powtórzyła z rozpaczą w głosie.

Żal wręcz ją rozrywał. Zrobiła niepewny krok w kierunku Sachy. Chciała tylko go dotknąć, sprawdzić, czy tli się w nim resztką życia. Mortimer zastąpił jej drogę. Najwyraźniej chwilę wcześniej opadł na ziemię, czego nawet nie zauważyła.

– Już po wszystkim – powiedział. – Klątwa się spełniła. To początek końca.

Taylor w końcu podniosła wzrok. Coś sprawiło, że jej ból przemienił się we wściekłość. Kipiała złością, czuła nienawiść każdą cząstką ciała. Gniew przeszywał jej duszę niczym ostrze noża.

Jeśli Sacha nie żył, musiała go pomścić. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

– Powiedziałam, że go ocalę. – Ruszyła w kierunku Mortimera. Otworzył usta, ale Taylor uniosła dłoń.

„Cisza”.

Mortimer zamarł.

– Powiedziałam, że rozprawię się z każdym, kto spróbuje go skrzywdzić. – Poddała się oczyszczającej mocy gniewu. – Nie dotarło to do ciebie?

Przechylił głowę, wpatrując się w Taylor z zainteresowaniem.

– Jesteś potężniejsza niż sądziłem, córo Isabelle – zauważył. – Jestem – przytaknęła i uniosła dłoń.

„Nóż”.

Ceremonialny sztylet oderwał się od podłogi i wpadł prosto w jej rękę.

Taylor popatrzyła na pierś Mortimera, tam gdzie byłoby serce, gdyby je miał.

„Zabij”.

Ostrze pofrunęło ku niemu z niewyobrażalną siłą, szybciej niż jakikolwiek wystrzelony pocisk. Mortimer jednak jakby od niechcienia pstryknął nadlatujący nóż palcami. Po chwili unieszkodliwiony sztylet zadźwięczał na posadzce, a demon popatrzył na Taylor czarnymi, martwymi oczami.

– Zainteresowałaś mnie, córo Isabelle. Dlaczego nadal walczysz? Przecież chłopak nie żyje.

Taylor rozłożyła ręce i przyciągnęła do siebie moc, która zdawała się wlewać w nią strumieniami, płynąc ze świec tworzących gwiazdę. – Przyzywam was, Molochu i Belzebubie – zaczęła znowu. – Wzywam was, żebyście uwolnili chłopca. Uhonorujcie odwieczną umowę...

– Chłopak nie żyje, panno Montclair – powtórzył Mortimer.

Taylor umilkła. Demon piorunował ją spojrzeniem czarnych oczu.

– Powinna pani do mnie dołączyć, panno Montclair. Moc jest... – Głowa Mortimera odchyliła się do tyłu i wygięła w nienaturalny sposób, po czym nagle wskoczyła z powrotem na miejsce – ... niewyobrażalna.

– Nigdy do ciebie nie dołączę – warknęła Taylor. – Nigdy. Jesteś odrażający.

Zrobiła krok w jego kierunku i splunęła mu w twarz.

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Gdy Mortimer znowu przemówił, głos demona rozległ się we wnętrzu jej głowy. – Za daleko się posuwasz. Ostrzegłem cię, córo Isabelle.

Nagle, bez ostrzeżenia, uniosła się w powietrze. Czuła, jak jej stopy odrywają się od posadzki, a powietrze świszczy w uszach. Przez chwilę nic nie ważyła, ale wiedziała, co to znaczy.

„A więc tak wygląda śmierć”, pomyślała oszołomiona.

Upadła na posadzkę u stóp ołtarza tak mocno, że straciła dech. Jej zebra przeszył niewyobrażalny ból, usłyszała okropny trzask.

Gdy w końcu udało się jej odetchnąć, paliło ją w piersi i rzeziła. Wiedziała, że to bardzo niepokojący odgłos, ale nie mogła zebrać myśli. Dzwoniło jej w uszach i nie była do końca pewna, gdzie się znajduje. W tym całym zamęciu tylko jedno wydawało się jasne. Było już po wszystkim.

Zawiodła.

Z trudem zmusiła się do otwarcia oczu. Wylądowała nieopodal ciała Sachy i zobaczyła jego dłonie, z palcami zaciśniętymi jak u dziecka. Nie wiedziała, gdzie jest Mortimer, ale to nie miało już znaczenia. Liczył się tylko Sacha.

Walcząc z bólem, powoli poczołgała się po nierównej kamiennej posadzce. Każdy ruch wiązał się z nieopisanym cierpieniem, a gdy w końcu straciła resztki sił, opadła obok Sachy i położyła rękę na jego rękę.

Miał lodowatą skórę.

– Sacha – wyszeptała. – Tak strasznie cię przepraszam. – Oddychała płytko, wsłuchując się w świszczanie w płucach. – Próbowałam.

Nie doczekała się odpowiedzi. Twarz chłopaka była zwrócona w jej stronę. Jego długie i ciemne rzęsy opierały się na policzkach, które wyglądały jak wyrzeźbione z marmuru.

Wydało się jej, że słyszy za sobą okrzyk Mortimera, ale nie zrozumiała słów. To, na czym jej zależało, było tuż przed nią.

Wtedy Sacha otworzył oczy.

Taylor wbiła w niego wzrok. Powietrze cicho świszczało przez dziurę w jej płucu. To się jej śniło. Była nieprzytomna, może nawet martwa. To by wszystko wyjaśniało.

Ale skoro nie żyła, dlaczego męczył ją tak okropny ból?

Sacha popatrzył jej w oczy, jakby czegoś w nich szukał. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie drgnęło. Potem, bardzo powoli, zacisnął palce na jej dłoni, tak mocno, że zabołało.

„Nie śnię”.

Poczuła się tak, jakby przeszył ją silny prąd, i zachłysnęła się powietrzem.

Rozległo się szcęknięcie i dotarło do niej, że złamane żebro właśnie się zrosło. Od razu odetchnęła głęboko, z ulgą. Ciepło rozlało się po jej głowie, kiedy zespoliła się czaszka. Taylor wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że i ta kość pękła.

Błyskawicznie dochodziła do siebie, a Sacha ani na moment nie odrywał od niej wzroku. Jego błękitne oczy były przytomne i czujne, całkiem jakby rozumiał, co się dzieje.

– Krew Wintersa – wyszeptał niemal bezgłośnie.

Wówczas zrozumiała.

A więc się udało. Rytuał się dokonał. Nie zawiodła, przynajmniej jeszcze nie.

„Demony kłamią”.

Chciał, żeby uwierzyła w śmierć Sachy i w przegraną walkę.

Pragnął, żeby się poddała.

Jeszcze nie było po wszystkim.

Taylor nagle poczuła wokół siebie alchemiczną energię. Szerokie, złociste pasma wiły się wokół niej jak strumienie, moc przelewała się niczym jeziora. Energia była wszędzie, bazylika wydawała się z niej stworzona.

Demon zdołał wcześniej ukryć moc, ale teraz ujawniła się w pełnej krasie.

Sacha też był tego świadomy. Wiedział wszystko, co działo się w głowie Taylor. Nie miała pojęcia dlaczego, ale była tego pewna. Znała jego myśli.

Nie bał się. Nie cierpiał.

Był wściekły.

Zauważyła, że lekko się uśmiechnął, gdy to pojęła.

– Gotowa? – wyszeptał. – Musimy zrobić to teraz.

Taylor nie pytała, o co mu chodzi.

Wiedziała.

Zamknawszy oczy, ściągnęła strumienie energii i poczuła, że Sacha robi to samo. Wyobraziła sobie, jak energia unosi ich nad ziemię.

„W górę”.

W następnej sekundzie stali pewnie na posadzce, a potem wisieli w powietrzu, ledwie muskając palcami kamienie. Moc krążyła w ich ciałach i otaczała ich niczym obronne pole siłowe. Energia przepływała im przez palce i zataczała kręgi wokół nich.

Po drugiej stronie pomieszczenia odwrócony do nich tyłem Mortimer podniósł jeden z kamieni i czegoś pod nim szukał.

Taylor i Sacha jednocześnie zmarszczyli brwi, zastanawiając się, co robił, po czym przemówili jednym głosem:

– Demonie, przyzywamy cię, byś zdjął odwieczną klątwę.

Mortimer odwrócił się z niemal komicznym zdumieniem na twarzy. W dłoniach trzymał zniszczoną starą księgę. Gdy spojrzeli za niego, dostrzegli otwór w ziemi, a w nim szkielet z mieczem w rękach, spoczywający w połamanych szczątkach wiekowej trumny.

– Odwieczne zasady nakazują ci zdjąć klątwę – powiedzieli Taylor i Sacha. – Musisz cofnąć przekleństwo.

Mortimer szybko doszedł do siebie.

– Te gierki mnie znużyły – westchnął.

Był jednak wyraźnie zdenerwowany.

Uniósł rękę, a Taylor ujrzała jego moc w postaci oleistych czarnych kulek. Ona i Sacha patrzyli z zainteresowaniem, jak energia sunęła ku nim ze zdumiewającą ociężałością. Zamachali rękami i alchemiczna moc wokół nich skierowała kulki na bok.

Mortimer wpatrywał się w nich z niedowierzaniem na twarzy.

– To niemożliwe – wymamrotał.

„Sztylet”.

To nie była myśl Taylor, lecz Sachy, ale usłyszała ją w głowie jak własną. Oboje przenieśli wzrok na ceremonialny nóż Zeitingera i oboje pomyśleli to samo.

„Nóż”.

Sztylet przyfrunął do nich i zawisł w powietrzu, gotowy i śmiertelnie niebezpieczny.

– Nie. – Mortimer zrobił krok do tyłu. – Zawarliśmy umowę.

– Zdejmij klątwę – powiedzieli, a ich głosy wypełniły kościół jakby chóralnym śpiewem. – Zgodnie z odwiecznymi zasadami nakazujemy ci, nakazujemy ci, nakazujemy ci.

Sztylet wystrzelił na drugi koniec pomieszczenia i przeszył pierś Mortimera. Siła ciosu oderwała go od ziemi i cisnęła nim o ścianę, na której zawisł. Czarna krew płynęła po jego piersi i zbierała się u stóp, tworząc kleistą kałużę.

Mortimer otworzył usta, żeby krzyknąć, i wydał z siebie dźwięk ogłuszający niczym tysiąc głosów. Przez cały czas patrzył na nich z niedowierzaniem. Księga wysliznęła mu się z palców, a z jego otwartych ust wypłynął długi, czarny cień, który pieniając się i wijąc, sunął po kamiennej posadzce. Nie miał rozpoznawalnych kształtów, ale Taylor i Sacha wiedzieli, że to dusza demona.

Przyglądali się z obrzydzeniem, jak wślizguje się do rozpadliny w posadzce. Po chwili silny wstrząs sprawił, że stara budowla zadrżała w posadach, a z sufitu posypały się kamienie. Dzwony na wieży zabiły chaotycznie.

Gdy Sacha i Taylor znów spojrzeli na posadzkę, okazało się, że jest nietknięta. Otchłań się zamknęła, ale ziemia nadal się trzęsła. Fragment ściany się obluzował i zawalił tuż obok nich, roztrzaskując się na tysiące kawałków. Odpryski muru wystrzeliły na wszystkie strony.

Sacha pociągnął Taylor ku schodom.

– Trzeba się stąd wydostać.

Nie musiał mówić tego na głos, zrobił to z przyzwyczajenia. Taylor i tak znała jego myśli.

Razem pobiegli przez kryptę, omijając gruzy. Gdy dotarli do schodów, Taylor się obejrzała.

Przybite do ściany zwłoki Mortimera kołysały się powoli, w rytmie wstrząsów ziemi. Wydawało się, że trup gnije w niewiarygodnym tempie – ciało już odpadało od kości, jakby zginął dawno temu.

– No chodź. – Sacha pociągnął ją za rękę, a Taylor posłusznie pognęła za nim.

Gdy wbiegali na schody, wszystkie ściany budynku drżały. Po chwili znaleźli się we wnętrzu kościoła i zobaczyli, że ogień migocze tam, gdzie zapalone świece upadły na posadzkę. Ciężki krzyż na jednej ze ścian huśtał się gwałtownie, ale nie spadał. Wszędzie dookoła kolumny kołysały się niebezpiecznie, a dzwony biły z dziką furją. – Szybko! – krzyknął Sacha, ciągnąc Taylor wzdłuż rzędu kaplic, prosto do wielkich łukowatych drzwi.

Były zamknięte, kiedy się tu zjawili, teraz jednak stały przed nimi otworem. Wypadli przez nie w chwili, gdy kamienny maskaron runął na ziemię tuż za nimi.

Na placu przed kościołem gromadzili się ludzie z pobliskich hoteli i mieszkań, większość w piżamach i szlafrokach. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem.

– Trzęsienie ziemi! – zawołał ktoś.

– Odsunąć się od murów! – wrzasnął po francusku jakiś mężczyzna.

– Co on powiedział? – odezwał się człowiek z amerykańskim akcentem.

– Może żeby uciekać ile sił w nogach? – zasugerował jego towarzysz.

Ściskając Sachę za rękę, oszołomiona Taylor przepychała się wśród gapiów. Czy ci ludzie niczego nie słyszeli, kiedy świat prawie się skończył? Czy mieli pojęcie, że otarli się o zagładę?

Taylor i Sacha przystanęli nieopodal, nadal wmieszani w tłum. Kilka minut później, kiedy ziemia w końcu przestała się trząść, turyści wzniesli okrzyk radości.

– W przyszłym roku znów przyjadę do Francji – powiedział ktoś. – Tu to dopiero potrafią zrobić widowisko.

Taylor przestała myśleć o ludziach wokół. Sacha stał blisko, dotykał jej ciepłym ciałem. Jego oczy były niebieskie i przejrzyste.

Wyciągnęła rękę i z zachwytem dotknęła jego twarzy.

– Daj słowo, że jesteś żywy.

– Jestem żywy, słowo – odparł.

– Byłam pewna, że cię straciłam.

Przyciągnął ją bliżej i położył jej dłoń na swojej piersi, żeby wyczuła miarowe i jak najprawdziwsze bicie jego serca.

- Nie ma mowy - zapewnił ją.

– Równie dobrze możecie wejść. – Louisa uniosła rękę i zamachała niecierpliwie.

Jej szpitalny pokój był śnieżnobiały i sterylnie czysty. Ostry zapach preparatu odkażającego łaskotał Taylor w nosie, gdy razem z Sachą weszła do środka.

Louisa leżała na łóżku, z głową unieruchomioną w skomplikowanym rusztowaniu z metalu i plastiku, które przypasano jej do czoła i piersi. Wyglądała tak, jakby ktoś zamknął ją w klatce. Długi rząd szwów ciągnął się od linii jej włosów przez całą długość jednej strony poobijanej twarzy, ale jej oczy były całkiem przytomne.

Nieoczekiwanie skrepowana Taylor nerwowo przyglądała włosy dłonią. Przygarbiony Sacha trzymał ręce głęboko w kieszeniach dżinsów.

– Cześć. – Taylor już miała zapytać: „Jak się masz?”, ale ugryzła się w język. Brzmiałoby to idiotycznie. – Alastair mówił, że u ciebie wszystko w porządku, ale musieliśmy się przekonać na własne oczy – powiedziała zamiast tego.

Louisa uważnie patrzyła na ciemny siniak na jej skroni. Inne obrażenia Taylor już się zagoiły. Sacha wyjaśnił jej, że krwiaki zawsze schodzą na samym końcu.

– No tak, byliście w okolicy, to przy okazji wpadliście. – Louisa mówiła spokojnie, ale Taylor widziała, że ucieszyła się na ich widok.

Do pomieszczenia wbiegła pielęgniarka w zielonym uniformie i wcisnęła przyciski, które uruchomiły irytujący dźwięk w trzech plastikowych urządzeniach. Następnie, mamrocząc pod nosem, pośpiesznie powcisnęła kilka innych guzików, żeby uciszyć tę kakofonię.

Louisa przewróciła oczami.

– Ciągle to robi – burknęła. – Zdarzało mi się bywać na cichszych wyścigach wrotkarskich.

Pielęgniarka wyszła z pokoju, nadal mamrocząc po francusku.

Sacha nie zdołał ukryć uśmiechu.

– Co mówiła? – Louisa spiorunowała go wzrokiem. – To też ciągle robi. Gada i gada.

Sacha uśmiechnął się jeszcze szerzej. Taylor czuła, że podobnie jak ona bardzo lubił Louise.

– Powiedziała: „Z tą są same problemy”.

– Cóż. – Louisa próbowała podrapać skórę pod metalowym prętem podczepionym do jej głowy. – Chyba jest inteligentniejsza, niż mogłoby się wydawać. Aua.

Sacha odruchowo wyciągnął do niej rękę, ale natychmiast znów wepchnął ją do kieszeni.

– Może lepiej, żebyś tego nie robiła? – zasugerował.

– Jak to jest? – Taylor z wahaniem wskazała na metalowe rusztowanie. – To znaczy, mieć złamany kark.

– Cudownie – odparła Louisa z przekąsem. – Ubaw po pachy.

Taylor uśmiechnęła się szeroko.

– Przyznaję, że to było głupie pytanie.

– Nie było głupie – westchnęła Louisa. – Po prostu mam dosyć tego miejsca. Denerwuje mnie. – Z nietypowym dla siebie wahaniem dotknęła metalowych prętów. – Szczerze mówiąc, teraz wcale tak bardzo nie boli. Po prostu czuję się tak, jakby ktoś uwięził mi głowę. – Poruszyła się ostrożnie. – Jeszcze tylko parę miesięcy i będę mogła się tego pozbyć. Bułka z masłem.

– Przyniosłem ci kawę, ale w tym kraju nie uznają mokki... – Do pokoju wpadł Alastair z dwoma papierowymi kubkami w dłoniach. Na widok Taylor i Sachy zatrzymał się tak gwałtownie, że musiał zakołysać kubkami, żeby kawa się nie wylała.

– No proszę. – Na jego zarumienionej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. – Cali i zdrowi.

– A spodziewałaś się czegoś innego? – Sacha buńczucznie wzruszył ramionami.

– Ależ skąd.

Alastair wręczył kawę Louisie, po czym przysiadł na brzegu łóżka. I on, i Louisa wpatrywali się w Sachę oraz Taylor z wyczekiwaniem, jakby spodziewając się ważnych nowin.

– No co? – zapytała Taylor, choć doskonale wiedziała, w czym rzecz.

– Nie drażnijcie się z nami. – Louisa machnęła ręką, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Jones dzwonił dziś rano i przekazał nam wieści. Czy to prawda?

Sacha i Taylor wymienili spojrzenia. „Zaczyna się”, pomyśleli jednocześnie.

– To prawda – potwierdziła w końcu Taylor.

– Nie wierzę. – Alastair pokręcił głową. – To niemożliwe.

– Wszyscy nam to powtarzają – odezwał się Sacha. – Ale... tak się stało.

– Pokażcie – zażądała Louisa. – Nie uwierzymy, dopóki nie przekonamy się na własne oczy.

Taylor i Sacha spodziewali się tego. Nawet nie chciało im się protestować.

Taylor ściągnęła z ramienia torbę, otworzyła ją i wyjęła z niej znalezioną w szpitalnej kaplicy świeczkę, którą tu przynieśli na wszelki wypadek. Podała ją Sachy i się cofnęła.

– Pokaż im.

„To głupota”, rozległ się jego głos w jej głowie.

„Wiem – odparła bez słowa i uniosła brew. – Zrób to, niech się cieszą”.

Sacha uniósł świecę. Skupił się i po chwili zamigotał na niej płomyk, wysoki i mocny.

Louisa głośno odetchnęła. Alastair odwrócił się do niej.

– To jakieś szaleństwo – mruknął.

– Jak? – spytała Louisa, świadoma, że nikt nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

– Krew Montclair w żyłach Wintersa – odparł cicho Sacha, nie spuszczając wzroku z Taylor.

Jego spojrzenie przyprawiło ją o dreszcz.

– Jones oszaleje – powiedziała Louisa z satysfakcją, jakby obłąkany dziekan był kimś najfajniejszym pod słońcem.

– Nie rozumiem. – Alastair miał chmurną minę. – Nie można zrobić z człowieka alchemika. W ten sposób nie zmieni się DNA, to naukowo niemożliwe. Jak to się stało?

Patrzył na nich z przejęciem, a Taylor wydało się, że dostrzega w jego wzroku lekki strach. Nie była zdziwiona. Już to przerabiali podczas telefonicznej rozmowy z kadrą kolegium. W tym momencie wszystko, co mieli do powiedzenia, przerażało ludzi, i dlatego nie ośmielili się wyjawić całej prawdy.

Taylor dysponowała teraz zdolnością błyskawicznego odzyskiwania zdrowia. Wszystkie jej rany zasklepiały się w parę minut. Jeszcze nie wiedziała, czy może umrzeć, i wcale nie śpieszyło się jej do testów.

– Nie wiemy – odparła. – Zeitinger też nie.

Pomyślała o tym, co profesor powiedział jej wcześniej o mrocznych obrzędach: „Odprawianie mrocznej ceremonii pozostawia ślady na duszy. Takie znamiona mogą przeniknąć do głębi, a niekiedy wręcz przejąć kontrolę nad człowiekiem”. Czy teraz miała w sobie mroczną moc? Tego też nie wiedziała. Jeśli tak, to nie mogła jej wyczuć. Koniec końców podobało się im to, kim teraz byli. Nie stali się ani mroczni, ani źli, tylko silniejsi. Lepsi.

– I co dalej? – zapytała Louisa.

– Jedziemy do Paryża – oznajmił Sacha, jakby to było oczywiste. – Sacha obiecał mamie, że wróci do domu, kiedy będzie już po wszystkim, i właśnie to zrobimy – dodała Taylor. – A potem jadę do Hiszpanii na spotkanie z najlepszą przyjaciółką.

Louisa patrzyła na nią przez chwilę.

– A później z powrotem do Świętego Wilfreda? – spytała. – Pewnie tak – odparła Taylor. – W każdym razie muszę zdążyć na początek roku akademickiego.

Miała neutralny wyraz twarzy, ale Louisa jak zwykle bez trudu ją rozgryzła. Pochyliła się i popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Dzieje się coś jeszcze?

Taylor była rozdarta. Nie chciała okłamywać Louisy, ale wolała jeszcze wszystkiego jej nie mówić. Należało przemyśleć, czym się podzielić, spróbować zrozumieć, co się właściwie stało, a to nie był odpowiedni moment.

– Wszystko w porządku – powiedziała.

Przeszła przez pokój i wzięła Louisę za rękę. Czuła ciepło krwi w jej żyłach, mocną tkankę mięśniową pod skórą. Atak Mortimera nie zniszczył Louisy. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś dojdzie do siebie.

Może wtedy nadejdzie odpowiednia pora, żeby powiedzieć całą prawdę.

– Daję słowo.

Nie kłamała. Naprawdę wszystko było w porządku.

„Powinniśmy się zbierać”.

Sacha pochwycił spojrzenie Taylor. Motocykl czekał na zewnątrz wraz z ich torbami. Na myśl o tym serce Taylor mocniej zabiło. Życie dopiero się zaczynało.

Mortimer zginął. Już nikt nie mógł ich zatrzymać.

– Musimy iść. – Taylor pochyliła się i delikatnie uściśnęła Louise. Gdy ją tuliła, zaczerpnęła wąskie pasemko energii z prądu, który płynął dookoła, i skierowała je na złamany kark przyjaciółki.

„Zdrowiej”.

Louisa drgnęła.

– Co to było? – Uniosła dłoń do szyi.

Tatuaże wyraźnie odcinały się na tle bladej skóry.

Taylor jeszcze nie wiedziała, jak skutecznie potrafi wykorzystywać swoje zdolności, ale postanowiła spróbować, na wypadek gdyby zdołała pomóc.

– To był tylko uścisk, nic więcej – odparła.

Z torbą w dłoni podeszła do Sachy, po czym odwróciła się do Louisy i Alastaira, żeby się pożegnać. Nagle poczuła niespodziewaną tęsknotę za wysokimi kamiennymi iglicami Oksfordu, za pełnym książek gabinetem Zeitingera i dniami spędzonymi na czytaniu starych, zakurzonych pergaminów w bibliotece. Miała tam wrócić jesienią, tym razem jako prawdziwa studentka. Postanowiła, że będzie ciężko pracować, a pewnego dnia zrozumie, co się wydarzyło podczas ceremonii w krypcie.

Przystanąli na szerokim progu.

– Do zobaczenia w Świętym Wilfredzie – powiedziała Taylor. Zanim Alastair i Louisa zdążyli odpowiedzieć, równym krokiem szła już z Sachą po szerokim szpitalnym korytarzu prosto ku słońcu.

Nadszedł czas na nowy początek.

KONIEC

C.J. Daugherty

Niegdyś reporterka kryminalna i dziennikarka śledcza, dziś autorka międzynarodowych bestsellerów z serii Wybrani. Pierwszą ofiarę zbrodni widziała w wieku dwudziestu dwóch lat i od tamtej pory ma obsesję na punkcie ciemnej strony ludzkiej natury. Jej książki o Akademii Cimmeria, osadzone w realiach elitarniej angielskiej szkoły z internatem, wskoczyły na szczyty list bestsellerów i zagościły w sercach młodych czytelników z całego świata. Serię przetłumaczono na dwadzieścia dwa języki. C.J. urodziła się w Teksasie, lecz od lat mieszka w Anglii, gdzie obecnie pracuje nad nową powieścią. Więcej dowiedzieć się pod adresem: www.cjdaugherty.com.

Carina R ozenfeld

Jako dziewięciolatka zasiadła do pisania pierwszej powieści, gdyż już nie wystarczały jej marzenia we śnie. Później podjęła pracę we francuskich pismach młodzieżowych, ale wieczorami nadal pisała książki. Pełnoetatową autorką została po tym, jak we Francji opublikowano jej pierwsze powieści. Do dzisiaj napisała już prawie dwadzieścia poczytnych książek, w tym *Les Clefs de Babel* i bestsellerową trylogię *La quête des Livres-Monde*. Carina znana jest także z serii powieści young adult *Phoenix* i *La symphonie des Abysses*. Ma na koncie ponad dwadzieścia nagród literackich, mieszka w Paryżu, a teraz pracuje nad książkami science fiction i fantasy.

Tytuł oryginału: The Secret City
Copyright © 2015 by C.J. Daugherty and Carina Rozenfeld
Copyright © for the translation by Małgorzata Hesko-Kołodzińska
Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska
Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak
Projekt okładki: © Design by LBBG – Jack Smyth
Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty
Fotografia na okładce: © Jordi Santacana Figuerola / Shutterstock.com
Adiustacja: Magdalena Adamek / dzd.pl
Korekta: Sandra Trela / dzd.pl,
Anna Woś / dzd.pl
ISBN 978-83-7515-700-0

moondrive

www.moondrive.pl



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

Table of Contents

Karta tytułowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Karta redakcyjna